

ANNA M. BRENGOS

# DZIEŃ prawdy

*Wciągające, oryginalne, pomysłowe. Polecam!*  
**Alek Rogoziński**



Anna M. Brengos  
**Dzień prawdy**



Radom 2021

Copyright © Anna M. Brengos  
Copyright © 2021 by Lucky

Projekt okładki: *Ilona Gostyrńska-Rymkiewicz*

Skład i łamanie: *Mariusz Dański*

Redakcja i korekta: *Halina Bogusz*

Wydanie I  
Radom 2021

ISBN 978-83-66332-60-7

Wydawnictwo Lucky  
ul. Żeromskiego 33  
26-600 Radom

Dystrybucja:  
tel. 501 506 203  
48 363 2519

e-mail: [kontakt@wydawnictwolucky.pl](mailto:kontakt@wydawnictwolucky.pl)  
[www.wydawnictwolucky.pl](http://www.wydawnictwolucky.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

DZIEŃ PRAWDY

Epilog

## Prolog

Chatynka z ociosanych bali głęboko wrosła w ziemię, a słoma ze strzechy miejscami tak posmutniała ze starości, że sięgała niemal połowy okien. Okna były nie byle jakie, bo z prawdziwymi szybkami w miejsce częstych jeszcze na wsi zwierzęcych błon. Zarówno wokół domku, jak i w glinianych donicach na parapetach kwitły kwiaty. To one nadawały temu miejscu przyjazny charakter i z daleka sygnalizowały, że mieszka tu kobieta.

Nisko osadzona górna belka ościeżnicy wchodu wymuszała głęboki pokłon na każdym gościu przekraczającym wysoki próg chaty.

Przybysza witał zapach ziół i smakowitego jadła oraz blask wypolerowanych rondli wiszących nad glinianym piecem. W brzuchu pieca zawsze wesoło migały dające ciepło płomyki, a na blasze zachęcająco pyrkał pełen sagan.

Otoczający chatynkę ogródek miał równo wytyczone grządki, starannie wypielone i obficie podlane. Na pochylonym płocie suszyły się dzbany i sztuki białego płótna.

Słychać tu było wszechobecne ptaki i wesołe nuty pieśni nuconej przez gospodynię.

Kto to taki?

Maryjka miała piętnaście lat, kiedy odumarli ją rodzice. Kiedy matce pękło serce, ojciec nie wytrzymał żalu i żaloby. Ledwie tydzień minął od pogrzebu żony, jak znaleziono go na skraju lasu, nad rzeką. Powiesił się o poranku, ale zanim to zrobił, oporządził całą zagrodę.

Choć było wielu chętnych, by zaopiekować się urodziwą Maryjką (już w trakcie konsolacji zgłaszali chęć ożenku), to dziewczyna wolała oddać się pod opiekę babce ze strony matki. Kobieta, choć niemłoda, niejednego w kozi róg by zapędziła. Zażywna staruszka zadziwiała witalnością, krzepą i jasnością myślenia. Po wsi szeptano, że swoją kondycję zawdzięcza konszachtom z siłami nieczystymi, lecz nikt nie śmiał jej tego zarzucić wprost. Jedni dlatego, że nie do końca dawali wiarę, by mająca serce na dłoni Maria mogła mieć do czynienia ze złem w jakiegokolwiek postaci, inni obawiali się guseł, w które święcie wierzyli.

Maryjka odziedziczyła po babce nie tylko imię, ale i rękę do kwiatów, bystry umysł i głód wiedzy. Babka była jej opiekunką, mentorką i przewodniczką przez życie. Obie swoją wiedzę czerpały z praw natury, podglądania przyrody i doświadczenia wcześniejszych pokoleń. Było zwyczajem, że matka córce przekazywała wiedzę, uczyła postrzegania świata i zostawiała przestrzeń do własnych doświadczeń. W efekcie kobiety w ich rodzinie, choć pozostające na marginesie oficjalnego nurtu edukacji, przeznaczonego głównie dla chłopców, przewyższały wiedzą, intelektem i umiejętnościami niejednego adepta szkół parafialnych, a w niektórych dziedzinach, jak botanika i ziołolecznictwo, mogły się równać z posiadaczami uniwersyteckich dyplomów. Chwalenie się tą wiedzą nie było dla nich ani korzystne, ani bezpieczne, więc ile mogły, zachowywały dla siebie i kolejnych pokoleń. Jednak nie wtedy, gdy w grę wchodziło czyjeś zdrowie lub życie. Przyjęło się we wsi, w której nie było lekarza, a do balwierza trzeba było po piachu i błocie dotrzeć do Miasteczka, że w przypadku kłopotów ze zdrowiem własnym lub domowych zwierząt wszyscy zwracali się do babki Marii, a stopniowo również do Marianki.

Obu zielarkom zdarzało się wstawać w środku nocy i brnąć przez zasy do kobiet w pólgu, ratować konie z kolki i dzieci z gorączki. Zapłatą był koszyk jajek, świeże ryby prosto z rzeki, wiązka chrustu albo garść nasion do ogródka. Dzięki wzajemnej sąsiedzkiej pomocy kobiety radziły sobie bez męskiej opieki. Dom był skromny, lecz ciepły i dobrze utrzymany.

Gdy siły powoli zaczęły opuszczać babkę Marię, jej obowiązki względem społeczności, jak obie pojmowały swoją misję, stopniowo przejęła Maryjka.

Maria zmarła tak jak żyła, skromnie i bez rozgłosu. Pewnego dnia usiadła na przyzbie, spojrzała w słońce, uśmiechnęła się i odeszła do Boga.

Maryjka była już na tyle silna i samodzielna, że choć pełna smutku po śmierci najukochańszej osoby, to bez lęku patrząca w przyszłość. Ufna w swoją wiedzę, zaradność i opiekę Boską.

Sąsiedzi, choć bardziej ufali doświadczeniu swych wóśów Marii, szybko przywykli, że Maryjka przejęła schedę po babce i nadal przychodzili do małej chatki na skraju wsi po ziola na kochanie, poradę w bólu zęba, czy ratować złamane ptasie skrzydła.

Pewnego dnia przybiegła do Maryjki gospodyni księdza po pomoc dla dobrodzieja w bólu pleców. Maryjka onieśmielona prośbą tak zacnej osoby uznała, że jest niegodną zaszczytu i wymówiła się od wizyty na plebanii.

Nie minęło pół nocy, kiedy alarm podniosły wiejskie psy i przed jej chatką zatrzymała się furmanka. Otuloną w kożuch pomimo pięknej wiosny postacią okazał się księżulo, który stękając z bólu, dał się przywieźć Kaźmierzowi od kowala. Zbołałego i jęczącego wprowadzono pod ręce do izby i posadzono na jednym z dwóch stojących przy stole zydli. Kaźmierz pomógł księdzu zdjąć szubę i podwinął księżowską koszulę. Oczom zgromadzonych ukazał się ogromny, nabrzmiały, o zaognionych brzegach czyrak. Wrzód był tak napęczniały, że z pewnością dawał o sobie boleśnie znać, utrudniając ruchy i uniemożliwiając oparcie się i spanie na wznak.

– Księżę dobrodzieju – tłumaczyła Maryjka. – Niechże ksiądz jedzie do miasta, do prawdziwego medyka. Nie mnie leczyć księżowskie ciało. Co innego pomóc cielakowi przyjść na świat, a co innego operować jego świętą osobę.

– Czyń, dziecko, co byś z cielakiem w takich razach robiła. Widać Pan Bóg chciał, żebym do ciebie przyszedł, bo medyk z miasteczka do Panny Świętej do Częstochowy się udał za syna podziękować. Nie ma do kogo odwołać się po pomoc. Czyń, co ci Pan Bóg podpowiada.

Maryjka przygotowała garnek wrzątku i czyste szarpie, wypaliła żywym ogniem nóż i przygotowała stertę ręczników. Znieczuliła księdza wódką i z tej samej butelki sownie połała pole operacji, przeżegnała się pobożnie i zdecydowanie przecięła nabrzmiałą skórę opinającą wrzód. Materia chlusnęła na dziewczynę, brudząc jej suknię zielonożółtą mazią. Ropa spływała po księżowskich plecach, ściekając prosto w welnianą portki. Maryjka szybko przetarła plecy ręcznikiem. Przy pomocy dwóch następnyc wycisnęła z rany resztkę materii, aż pokazała się czysta krew, ponownie przemyła miejsce operacji wódką i nałożyła opatrunek z ziół.

Ulga, jaką odczuł ksiądz, odmalowywała się na jego twarzy. Choć nadal błąd, z wdzięczności hojnie wynagrodził trud dziewczyny. Odprowadzony z honorami wspiął się na furkę i poleciał odwieźć wprost do łóżka.

Suknię musiała Maryjka wygotować, bo samą wodą z rzeki nie dało się doprać śladów operacji.

Nie minęła doba, jak cała wieś wiedziała o wyczynie Maryjki, chwalała dziewczynę i dziwiła się księdzu, że zdecydował się skorzystać z tak niefachowej pomocy. Śladem ojczulka zaczęli do Maryjki nadciągać kolejni sąsiedzi. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień przybywało jej pracy. Ponieważ miała poczucie służby ludziom, nie potrafiła nikomu odmówić. Bywały dni, że nie dojadła, nie spała, nie miała czasu ogarnąć izby. Mimo tak wielkiego obciążenia pracą ani trochę się nie wzbogaciła. Niektórzy sąsiedzi uznawali, że jej powołaniem jest pomagać i uważali to za coś naturalnego, że przychodzą do niej, jak po swoje. Inni, którzy czuowali się do wdzięczności, byli zbyt biedni, żeby ją okazać. Toteż Maryjka zadowalała się kawalkiem kołacza, dzbanem zebranych w pańskim lesie jagód albo wyświadczoną wzajemnie przysługą – Jaśko naprawił płot, gdy nastawiła skręconą nogę jego siostrze, a Jędrək narząbał stertę drew, gdy wyleczyła jego wielki jęczmień na oku.

Zdziwiła Maryjkę wizyta bryczki, która zajęchała pewnego słonecznego dnia w jej obejściu. Jeszcze bardziej zadziwiła ją osoba samego medyka z Miasta. Wszedł ze swoim praktykantem, rozejrzał się po

podwórcu, po izbie, po garnkach i suszących się pękach ziół. Pomruczał coś pod nosem, wsiadł do bryczki i odjechał. Zgiętej w ukłonie Maryjki nie zaszczycił ani słowem.

Mijały kolejne dni i tygodnie, dziewczyna zdążyła zapomnieć o całym zajściu, pielęła ogródek, doglądała kurek, warzyła zioła i mieszała maści. Aż pewnego południa, na sam Anioł Pański, przed domkiem pojawili się obcy ludzie. Widać urzędnik wysokiego szczebla wraz z pacholkami. Wywlekli Maryjkę z chaty i nic nierozumiejącą powieźli do miasta. Osadzili w tiumnie i kazali czekać na sąd. Dwa razy dziennie dostawała pożywienie. Podle było, lecz młody organizm dopominał się swego i zjadała wszystko do ostatka. Mimo to mizerniała z każdym dniem i bladła, odgradzona od powietrza i słońca.

Rozprawa odbyła się w sali ratuszowej, gdzie zebrała się gawiedź wszelka z Miasta i okolic. Wśród wielu obcych twarzy odnalazła Maryjka również te swojskie ze swojej wioski, znane z wolności, wdzięczne i lubiane. Ich widok dodał dziewczynie otuchy.

Nie na długo jednak, bowiem szybko się okazało, że przyjaciół żadnych na tej sali nie ma. Czy ze strachu, czy by się przypodobać jaśnie panom, a może z przekupstwa, jeden po drugim sąsiad świadczył na krzyż święty, że ta oto Maryjka z Wioski Małej, córka Stanisława i Heleny, ochrzczona w parafii tutejszej, siły nieczyste wykorzystując i z diabłem się bratając, uroki ludziom czyniła i przeciw Bogu i Najświętszej Paniencie bluźniła. Ostatni cios zadał niczego nierozumiejącej dziewczynie ksiądz dobrodziej, który powołując się na rany Pana stwierdził, że sam szatan Maryjce pomagał uroki zapowiadać i ksiądz w przytomności będąc, na własne oczy widział, jak Zły na pannę rzynał, aż jej sukienkę powalał.

I tak oto Maryjka została uznana za czarownicę. Nie pomogła jej próba wody, gdyż lato tego roku było piękne i rzeka miała niski poziom. Wrzuconej z mostu dziewczynie woda sięgała ledwie do piersi.

Nikt się za niewinną dziewczyną nie wstawił, nikt o niej dobrym słowem nie wspomniął, nikt nie zaprotestował, nie pocieszył, nie żałował.

Poprowadzono Maryjkę na przygotowany pośrodku rynku stos.

Podczas egzekucji, w chwili największego napięcia, gdy wszyscy zamarli w bezruchu i w ciszy, a w rękę kata płonęła już pochodnia, w niewinnej dziewczynie obudził się duch protestu.

– Kłamcy i obłudnicy, przeklinam was! – krzyknęła z wysokości stosu. – Na moją czystą duszę klęę się, zem niewinna. A was po stokroć przeklinam. Całą moją wieś przeklinam za kłamstwo. Kto tego dnia skłamię, niech go zło wszelkie spotka. Do ostatniego pokolenia. Póki naród wszelki kiedykolwiek cały dzień samej prawdy nie utrzyma, niech was ogień pokarze i wrzody obsypią. Każdy kłamca niech cierpi, jako ja cierpieć będę. W imię Ojca i Syna...

Jednak Maryjka nie cierpiała, bowiem zanim kat płonąca żagiew wsunął pomiędzy polana, serce dziewczyny pękło z żalu i rozczarowania, jak wcześniej jej matce.

Wiatr ogromny się zerwał i trzy razy trzeba było podkładać ogień pod stos, bo trzy razy już rozpalony płomień zdmuchnęło. Sypnęło kurzem i piachem po oczach gawiedzi, aż zasłaniali twarze i dusili się w tym tumanie. Chmura pyłu i kłątwa zawisła nad zebranymi i przeniosła się za nimi do Wioski Małej i została po dziś dzień, bowiem do tych czasów nigdy nie zdarzyło się, by przez cały 3 sierpnia (świętego Nikodema – patrona miłujących prawdę) mieszkańcy Wioski Małej w tej prawdzie wytrwali.

Mijają lata i wieki, a kłątwa trwa i zdjąć jej nikt nie potrafi.

Widać jeden dzień prawdy to dla Wioski Małej zbyt trudne wyzwanie.

Świeżo upieczona pani magister z pietyzmem schowała odebrany kilka godzin wcześniej dyplom do szuflady pomiędzy inne ważne dokumenty. Był tam już paszport, akt notarialny kupna ziemi i domu, wcześniejsze świadectwa, dokumenty bankowe i pamiątki po przodkach – zdjęcia, ordery i inne ważne, choć dla obcych całkiem bezwartościowe drobiazgi – zniekształcona kula esesmana wyjęta z pleców pradiadka ze strony mamy, wachlarz praprababci ze strony ojca malowany w sceny z polowań, okulary lenonki z różowymi szkielekami Babci Joanny z czasów licealnych, kiedy zafascynowana ideą dzieci kwiatów wiodła wolne jak na siermiężne czasy upadającego komunizmu życie, i inne przedmioty, których przeznaczenia nie sposób się domyślić.

Rodzice Zuzanny poznali się na koncercie Aerosmith na stadionie Gwardii, gdzie jej mama (jeszcze nią wtedy nie była) o mało nie straciła życia ściśnięta przez wielotysięczny tłum. Marek, późniejszy tata, kawał chłopca, rozepchnął rozentuzjasmowanych fanów i torując obojgu drogę swym potężnym ciałem, wywłókł Annę w bezpieczne rejony, gdzie liczba uczestników koncertu na metr kwadratowy gwarantowała możliwość oddychania.

Jako rycerz niosący ratunek został na zawsze u boku swej wybranki, z którą oprócz zamilowania do głośniejszej muzyki, a później Zuzanny, łączyła go wolna miłość, usankcjonowana sakramentem dopiero po sześciu latach od urodzenia córki, oraz wyjątkowa umiejętność wyczuwania mody lub koniunktury szczególnie rozwinięta w jego przypadku, dzięki której mogli sobie pozwolić na dostatnie życie przez wszystkie lata.

Los oszczędził im trosk i burz, a że oboje mieli dość swobodne podejście do problemów, przeto nie zważając na pomniejsze trzęsienia ich kawałka ziemi, beztrudnie spędzali dni, dbając o to, by żaden z nich nie był podobny do innego.

Zuzanna wzrastająca w atmosferze niefrasobliwości i braku priorytetów już jako dziecko zdawała się najbardziej odpowiedzialną osobą w rodzinie. Do dziś nie rozumiała, jak, myśląc głównie o planach na wakacje i menu na kolejne przyjęcia dla przyjaciół, rodzice ogarniali sprawy związane z zapewnieniem całej trójce bytu. Może dlatego nie stracili dachu nad głową i mieli zapełnioną lodówkę, że o takie przyziemne drobiazgi, jak pilnowanie rachunków i zawartości garnków dbała Babcia. To Babcia Joanna była skałą, na której z wysiłkiem, niewidocznym dla zewnętrznych oczu, utrzymywała się stabilizacja całej rodziny. To Joanna zadbała o zapisanie wnuczki na czas do szkoły, to ona tłumaczyła dziecku zawiłość tego świata, czytała bajki na dobranoc i smarowała kolana gencjaną. To jej Zuzanna zawdzięcza zakup butów na zimę w ostatniej minucie przed mrozami i aparatu ortodontycznego tuż po komunii. Komunię też zawdzięczała Babci, bo tylko Joanna w całym domu wierzyła w siłę nadprzyrodzoną, która czuwa nad ich bezpieczeństwem, przez innych zwaną Bogiem.

Skąd zatem brały się pieniądze na takie bytowanie?

„Brały się” z niepozornej starej drewnianej szkatułki, którą własnoręcznie stworzył pradiadek ojca (syn tej babci od wachlarza). Ofiarował ją (szkatułkę) swojej żonie, więc inicjały, które były wypalone wśród innych esów-floresów zdobiących wieko, należały do niej – H.N. – Hanna Nowak. Jak to się działo, że szkatułka zawsze zawierała banknoty w ilości wystarczającej na konieczne wydatki, tego nie wie nikt poza panem Markiem. To on dbał, żeby nigdy nie było widać pokrytego warstwą luszczonego się lakieru dna. Choć jego żona Anna pracowała, jej interesy wymagały ciągłego doinwestowania i kończyły się, zanim zaczynały przynosić dochód. Mogła sobie pozwolić na takie eksperymenty, gdyż dla odmiany inwestycje jej męża były trwałe i bardziej trafione.

Pierwsze duże pieniądze głowa rodziny zrobiła na obrocie odzieżą używaną. Żona jako bizneswoman również mogła mieć swój udział w „łańcuchu pokarmowym” second – i kolejnych „handów”, ale lepsze ciuchy zostawiała dla członków rodziny albo rozdawała przyjaciółkom, gorsze za



złamany grosz bez sentymentów przekazywała na czyściwo. Po zaledwie kilku miesiącach takich rządów państwo Nowakowie uznali, że ładniejsza część ich duetu stanowi raczej wyłom niż wsparcie całego przedsięwzięcia. Gdy rynek został nasycony ubraniami i na każdym rogu każdego miasteczka pojawiły się niekończące się szmateksy, a za nimi wkroczyli Wietnamczycy, pan Marek odkrył złotą żyłę w rozwijających się nowych technologiach. Telefonii komórkowa i części komputerowe okazały się czystszy, bardziej rentowny i, co nie bez znaczenia, bezpieczniejszym geszeftem, który z powodzeniem nadal się kręci. Jednak pan Marek jest wyznawcą „kociej teorii” w prowadzeniu interesów: „przy jednej dziurze kot zdechł”, więc zarobione na elektronice pieniądze zainwestował w spółkę sieci tłoczni soków owocowych. Umowa spółki jest tak skonstruowana, że jeszcze przynajmniej dwa pokolenia (jeśli same nic nie namieszają w papierach) będą czerpać z niej profity.

Po zapełnieniu po brzegi wszystkich kont i ustawieniu wszystkich firm na program perpetuum mobile państwo Nowakowie uznali, że mogą osiąść na laurach. Za bezcen kupili od Agencji Rynku Rolnego połac ziemie pięknie położonej opodal mostu nad rzeką i w ciągu zaledwie pięciu miesięcy postawili tu specjalnie dla nich zaprojektowany dom, składający się z trzech odrębnych mieszkań na górze połączonych wspólną powierzchnią wypoczynkową, czy jeśli ktoś woli pokojem dziennym lub salonem na dole, i wspólną kuchnią. Z przyzwyczajenia czy lenistwa założyli, że posiłki będą, jak dotąd, jedli wspólnie. Wspaniałe tło dla bryły domu stanowił piętrzący się tuż za rzeką las i ogromne topole od strony biegnącej przez Wioskę drogi. W tej pięknej okolicy postanowili osiąść, odcinając kupony od wciąż dochodowych, choć już niewymagających ich wysiłku biznesów. Z przeprowadzką wstrzymywali się do czasu, kiedy córka skończy studia, żeby nie musiała dojeżdżać do miasta na zajęcia.

Właśnie nastąpił ten czas.

Ostatnie rozdziały pracy magisterskiej nałożyły się na ostatnie prace wykończeniowe w domu, a okres oczekiwania na wyznaczony termin egzaminu zamiast na ugruntowanie wiedzy poświęcony został na wyposażanie wnętrza.

Pani Anna za punkt honoru postawiła sobie samodzielne zaprojektowanie kuchni, pozostawiając teściowie, córce i mężowi starania o całą resztę. Z łazienkami i garażem pan Marek nie miał najmniejszych kłopotów, zwłaszcza że w wyborze koniecznych akcesoriów towarzyszyła mu Zuzanna. Jednak pokoje, łącznie z sypialnią małżonków, niemal w każdym detalu zaprojektowała pragmatyczna Babcia, synowi zostawiając zadbanie o realizację jej wytycznych.

Swoją część domu (dwa „pokoiki” o łącznej powierzchni 35 metrów kwadratowych z niewielkim aneksem kuchennym i osobną łazienką) Zuzia urządziła „przypadkiem”. Przypadkiem złożyło się, że znajomi likwidowali mieszkanie po krewnych i mieli do wyrzucenia łóżko z kutym w secesyjnym wzorze wezłowie, sekretarzyk z milionem szuflad, toaletkę z wyblakłym lustrem i rozłożysty fotel. Choć ten ostatni wymagał pilnej i gruntownej interwencji tapicera, już na pierwszy rzut oka zapowiadał leniwe wieczory z książką i kotem na kolanach. Co prawda kota jeszcze nie było, ale przecież Zuza dopiero była na dorobku. Przyjdzie i na niego kolej. Staromodna szafa rzeźbiona w motywy roślinne również trafiła się Zuzi przypadkiem. Dziewczyna właśnie wybrała się do punktu handlu starzyzną w poszukiwaniu lampy, jeśli nie gotowej, to przynajmniej jakiegoś materiału na nią, kiedy okazało się, że komis jest zamknięty. Równie rozczarowany tym faktem okazał się posiadacz ogromnego mebla, przywiezionego specjalnie wypożyczoną na tę okazję furgonetką. Stali przed okratowanymi drzwiami, bezskutecznie usiłując dojrzeć we wnętrzu jakiś ruch, mimo przyklejonej do kraty kartki z napisem „Poszłem do Banku. Dziś już nie czynne!”.

– Kurwa! – usłyszała Zuzanna za swoimi plecami i nie będąc pewna, czy to do niej, czy o niej, odwróciła się, by stwierdzić, że poziom jej rozczarowania jest niczym w porównaniu z wściekłością drugiego klienta.

– Omówiłem się z lachmytą na dziś, że weźmie ode mnie tę szafę – zlorzeczył nieznamy. – Zablokowałem we firmie samochód, a tu, kurw... Przepraszam panią, ale mnie nerw zżera... I co ja mam z tą landarą teraz zrobić?

– Może jutro pan spróbuje – nieśmiało zaproponowała Zuzka.

– A potem pojutrze i popojutrze i jeszcze po ilu pojutrach będę tak celował, zastanę – nie zastanę, hę? A to nie taborek, że se go wrzucę do bagażnika, tylko kawał szafy. Patrz pani. – I szerokim gestem otworzył pakę samochodu, żeby zademonstrować Zuzce imponujących rozmiarów mebel.

Zuzanka z ciekawością zajrzała do wnętrza furgonetki. Jej oczom ukazała się wspaniale zdobiona, choć bardzo zniszczona szafa, wprost idealnie pasująca do zgromadzonych wcześniej mebli. Oko błysnęło jej z pożądania, ale nie dała po sobie poznać.

– A ile by pan za nią chciał? – spytała, siłąc się na obojętność.

– Jeśli ją tak będę woził wte i wewte, to więcej mnie transport będzie kosztował, niż ten krwio pijaci mi za nią zapłaci.

– Bo jakby pan niedrogo wziął, to ja bym się mogła zastanowić.

– Starość jeszcze w niezłym stanie jest, to tak ze stówkę bym wziął.

Zuzce aż ciśnienie podskoczyło na taką wiadomość.

– A jakby mi pan to jeszcze dowiózł do chałupy, to ile by tak w sumie...? – drążyła.

– Daleko ta pani chałupa?

– W Wiosce Małej, tuż z brzegu, zaraz przy moście.

– To musi być druga stówa, bo to kawał drogi jednak jest.

– Trochę drogo za ten transport – mruknęła, niby się targując Zuzanna, ale w obawie, że gość się wycofa z propozycji, czym prędzej dodała – no dobrze, niech będzie moja strata. Pan jedzie za mną.

Pojechał, podwiózł szafę pod same schody i jeszcze ją z Dominikiem i Kacprem od Bożymorskich, wyjątkowo trzeźwych o tej porze, wnieśli. Nieźle się przy tym naszarпали, bo mebel solidny, z litego drewna. Pomogło im trochę wyjęcie dolnych szuflad i trojga drzwi, w tym jednych ze rżniętym lustrem. W ferworze walki z ciężarem ułamali fragment gzymsiku, ale da się skleić. Bożymorscy dostali „na piwo”, przygodny nieznamy zainkasował swoją dołą i wszyscy rozstali się zadowoleni.

Jeszcze na odchodne były właściciel mebla zatrzymał się przy furgonce.

– Piękny dom – pochwalił. – Nie boicie się tu mieszkać?

– Że niby tak na uboczu i pod lasem? Mamy alarm – zlekceważyła Zuza.

– Ludzi to się tu nie trza bać. Swojskie chłopcy, co najwyżej po pijaku drą gęby albo się między sobą poszturchają. Wy nietutejsi, to nie wiecie, a sąsiedzi pewno nie chciały straszyc... Bo ten wasz dom to na miejscu zielarek stoi. Tam bliżej drogi do niedawna były pozostałości ich komina. To przekłete miejsce. I cała wieś przekłeta. Ale co ja tu będę siał popelinę po próżnicy. Pożyjecie, zobaczycie... Albo i nie. Bo na miastowych kłatwa może nie zadziała. Szczęść Boże – dodał na pożegnanie i odpałił swoją furgonetkę.

Pan Marek oderwał się wreszcie od negocjacji z kominiarzem, który marudził z zatwierdzeniem domu do odbioru, ale po użyciu właściwych argumentów w postaci dodatkowego portretu Kazimierza Wielkiego w tonacji zgniełej zieleni złożył już ostatni ze wszystkich wymaganych podpisów. Gospodarz odprowadził kominiarza do furgonki i wreszcie mógł sprawdzić, co tak bardzo zajmowało jego córkę i jej pomocników. Obrzucił krytycznym okiem to, na co Zuza patrzyła z czułością.

– Będzie trzeba przynajmniej dwa koła na renowację – orzekł.

– Że co proszę? – Zuzka myślała, że ojciec mówi o jakichś swoich potrzebach.

– Dwa tysiące potrzebujemy na renowację tej szafy, jeśli chcemy, żeby to było zrobione porządnie.

Zuza jak podcięta klapnęła na fotel, nie bacząc, że jeszcze nie został odkurzony, i nieprzytomnym wzrokiem wodziła między ojcem a szafą.

– Nie martw się, córuś – uspokoił tata. – Po odnowieniu jej wartość niewiele wzrośnie, ale nie kupiłaś jej jako lokaty kapitału, tylko będziesz w niej trzymała swoje majtki. Jeśli przyszłe wnuki nie będą po niej skakać, to jeszcze trochę wytrzyma.

Na tę noc rodzina Nowaków wróciła jeszcze na stare śmieci. Miała to być ich ostatnia noc w dotychczasowym mieszkaniu, które od następnego dnia zostało wynajęte wraz z umeblowaniem pracownikowi ambasady Ghany czy innej Gujany. W wynajmie pośredniczyła zaufana firma, biorąca na siebie odpowiedzialność za wiele formalności, biurokratyczne zabiegi i zobowiązania, którymi żadna ze stron nie musiała sobie zawracać zapracowanych głów. Podekscytowana przewodniczką Zuzanna długo nie mogła zasnąć.

Samochód z resztą dobytku niezbędnego do wygodnego funkcjonowania w nowym domu przyjechał równo kwadrans po świeżych lokatorach. Jego pojawienie się było sygnałem dla wszystkich sąsiadów, że nowi mieszkańcy wioski są gotowi, by ich odwiedzać. Tak uznali wszyscy, z wyjątkiem najbardziej zainteresowanych. W noszeniu gratów i urządzaniu się w swoich kątach co chwilę przeskadzał nowy gość składający swoje uszanowanie, ciekaw sąsiadów i deklarujący pomoc „w razie czego”. Teoretycznie właśnie istniała okoliczność „w razie czego”, bo Nowakowie chętnie wyręczyliby się w noszeniu sprzętów silnymi ramionami zażywnych chłopów, ale i tak musieli sami zdecydować o miejscu dla każdego przedmiotu. Zamiast pozwolić pętać się obcym po ich domu i pokazywać palcem co, gdzie, woleli powierzyć gości w dobre ręce, a sami zająć się pracą. Wyznaczyli więc Babcie... a może Babcia sama się wyznaczyła, do czynienia honorów domu. Pielgrzymka odwiedzających wysuszyła cały zapas coli, soków owocowych i toniku. Pochłonęła też wszystkie laski. Ze względu na piękną pogodę można było przyjąć gości na ogromnym tarasie, tłumacząc to brakiem miejsca do siedzenia w salonie. O ile sąsiedzi wracali do swoich domów niepokieszeni, że nie udało im się pozaglądać w kąty u Nowaków, to byli oczarowani serdecznością Babci, jej wdziękiem i jowialnością. Taaak, Babcia umiała czarować ludzi jak nikt na świecie. Choć niewpuszczeni za próg, wszyscy odwiedzający poczuli się ugoszczeni, uhonorowani i dowartościowani. Po wsi poszła fama, że Nowakowie to swoi ludzie, zasługujący na szacunek i sympatię. A jedyne co Nowaków zaciekawilo i zaniepokoiło po tych wizytach, to wciąż powtarzane pytanie, czy nie boją się zamieszkać w takim miejscu. Babcia przez moment odczuła lekką obawę przed przyszłością pod nowym dachem, ale postanowiła nie dawać wiary zabobonom.

A te, zgodnie z przestrogiami mieszkańców wioski, ujawniły się coś ponad miesiąc później. Sielski żywot trwał w najlepsze, przerywany jedynie regularnymi nalotami tabunu przyjaciół z miasta pragnących zobaczyć nowe lokum. Pani Anna, oprócz fetowania kolejnej parapełowy, systematycznie zmieniała ustawienie leżaka względem słońca, hodując sobie „tropikalną” opaleniznę. Pan Marek zjeżdżał na rowerze okolicę, a wieczorami na tarasie raczył się whisky i dominikańskimi cygarami, których co prawda nie znosił, ale dodawały mu w jego własnych oczach szyku. Babcia znalazła sobie towarzystwo do brydża, a Zuzanna zachodziła w głowę, co może robić na wsi dyplomowana absolwentka politologii. Słała do różnych instytucji CV i nie wierzyła, że na którekolwiek z kilkuset wysłanych otrzyma choćby odmowną odpowiedź. Już w połowie studiów utwierdziła się w przekonaniu, że wybór tego kierunku był największym głupstwem w jej życiu. Im częściej oglądała telewizję, im bliżej polityki się znajdowała, tym bardziej przekonywała się, że chcącabrać się w szambie, lepiej zatrudnić się w MPO niż w polityce. Jak mawiali jej koledzy z roku: „nie każde gówno da się zmyć”. Jakoś odwiedziła jej się kariera w strukturach unijnych, krajowych partiach czy nawet w dziennikarstwie. Choć miała wyrzuty sumienia z powodu chwilowej beczynności, to sama sobie dała dyspensę – przez wakacje planowała odpoczynek, ale obiecała sobie, że po wakacjach zajmie się budowaniem swojej przyszłości... przynajmniej tej zawodowej. Do tego czasu postanowiła odreagować trudny dla niej rok, upajając się spokojem nowego miejsca.

Jak w zegarku, na świętego Nikodema, zarówno w całej wsi, jak i u Nowaków przykre incydenty zaczęły wydarzać się z częstotliwością grubo powyżej średniej statystycznej.

Pierwszych symptomów działania kłątwy Nowakowie nawet nie odnotowali, ot, pan Marek złapał gumę – w końcu zdarza się, Babci złamały się okulary, panią Annę użądliła pszczoła, tylko Zuzance nic

przykrego się nie przytrafiło. Ze wsi zaczęły dobiegać niemiłe wiadomości – Bożymorscy mało nie zginęli, kiedy wybuchła kolba do chłodzenia samogonu (tajemniczą poliszynela było, że pędzą bimber). Pod Mostowskim zarwała się deska na antresoli w stodole. Stary Mostowski wpadł po ramiona w dziurę, zawisł nad pustym jeszcze sąsiedkiem, i trzeba było trzech chłopów, żeby mu pomóc się uwolnić. Marcinkowskiej zsunął się z kuchni garnek z ziemniakami, chlując jej na nogę wrzątkiem. Mały Bratkowiak wjechał rowerkiem do stawu, córka sklepikarza zatrzasnęła się w ubikacji i dostała ataku hysterii, weterynarza pogryzła koza od Rafalskich, a kombajnista, który całej wsi świadczył rokrocznie usługi swoją maszyną, wkręcił rękaw nowej koszuli w niszcarkę do papieru.

Wszędzie, gdzie się ludzie spotykali: w kolejce w sklepiku u Wrońskich, po mszy w kaplicy, na przystanku PKS-u... wszędzie sąsiedzi poszeptowali o tym, kto, kiedy, komu i w jakiej sprawie skłamał. Suma przykrych wydarzeń we wsi wskazywała na to, że i tego roku nie uda się zdjąć ze wsi kłątwy.

No to teraz przyjrzyjmy się, jak wyglądał ten dzień w Wiosce Małej minuta po minucie.

Rankiem pani Anna stwierdziła, że spośród wszystkich produktów, które zgromadziła na dzisiejszą herbatkę z przyjaciółkami, brakuje jej mąki. O ile można zrobić ciasto bez cukru, zastępując go miodem albo dając słodkie dodatki, bez masła – od biedy można zrobić ciasto na oleju, to bez mąki wyjdzie tylko beza. Pani Anna nie planowała bezy tylko tradycyjne ciasto z mąki, której nie miała. Zapewne przyjaciółki nie wyszłyby od Nowaków głodne – szaszłycki z połędwicy na grilla już kusiły kolorami pomidorków i papryki ponabijanych na patyczki, składniki na dwie sałatki czekały rozdrobnione, aby połączyć je majonezem w smakowitą całość, ale pani Anna wyraźnie zapraszała koleżanki na CIASTO. Wczoraj nie miała natchnienia, żeby je upiec, a dziś nie miała mąki. Ups.

– Podjechałbyś do Wrońskich, żeby nie dźwigała – zwróciła się z prośbą do męża.

Panu Markowi najwyraźniej nie chciało się ruszyć, bo nie odrywając wzroku od tabletu, na którym grał w „cukierki”, mruknął tylko:

– Nie mogę znaleźć kluczyków. Niech Zuzik skoczy.

„Zuzik”, który wbrew oczekiwaniom ojca przyszedł na świat dziewczynką, przywykł do męskiej formy swojego imienia i pewnie zdziwiłby się, gdyby papa zwrócił się do niej inaczej.

– Nawet chętnie – zgodziła się bez szemrania. – Niech się na coś przydam.

– To może być po drodze zobaczyła, czy Wąsowska nie sprzedaje papierówek, byłaby szarlotka zamiast keksu. I weź na wszelki wypadek śmietaną.

– I dla mnie czerwone wino – dołożyła swoje zamówienie Babcia.

– I orzeszki – uzupełnił listę ojciec.

Ponieważ uzbierało się tego dość sporo, Zuzia wytoczyła z garażu wózek na zakupy, żeby przez całą wieś nie dźwigać ciężkich siatek. Starannie zamknęła za sobą furtkę i przepisowo lewym poboczem ruszyła w kierunku wiejskiego sklepiku na drugim końcu wsi. Równie dobrze mogłaby iść środkiem asfaltu, gdyż droga, którą kroczyła, prowadziła znikąd donikąd. Stanowiła wewnętrzny trakt wioski – odchodziła na osiemdziesiątym trzecim, zataczała półkole i wracała na osiemdziesiątym siódmym kilometrze szosy prowadzącej prosto do Stolicy. Co kilkaset metrów gwiazdziste wyrastały z niej szutrowe lub bite dukty, którymi rolnicy ze wsi dojeżdżali na swoje pola. Rozbiegały się wachlarzem, aby skończyć się nigdzie, gdyż żadna z tych dróg nie miała przebiecia do jakiegokolwiek innej, prowadzącej do sąsiedniej wsi czy w ogóle gdziekolwiek. Kiedy spojrzano się na mapę satelitarną okolic, rysunek terenu przypominał pałki w koronie hrabiowskiego herbu. Na zdjęciach samolotowych wyglądało to jeszcze ciekawiej, bo łąny zbóż i rzepaku, pocięte jak tort miedziami, złożyły się jakby nawleczone na czarną nitkę asfaltówki, oddzieloną koralikami domów od szarej wstęgi rzeki, a wszystko to otaczała ciemna zieleń lasów. Tylko stawy Marcinkowskich stanowiły wyłom w tej symetrii, burząc harmonię do niczego niepasującą plamą, jakby na tę koronę orzeł nasrał.

Słońko świeciło, ptaszki śpiewały, gdzieś na łące cykały świerszcze, lekki wiaterek miło chłodził, chroniąc od upału. Zuzanna, nucąc nie wiedząc czemu kolędę, upajała się letnią aurą, bez troską i młodością, w czym ani trochę nie przeszkadzał ciągnięty i podskakujący na wybojach pusty wózek. Na tle ciemnego lasu coś błysnęło, jakby ktoś puścił lusterkiem zajączka. Ten błysk zbliżał się w szybkim tempie, a wraz z nim rósł stopniowo warkot motocykla. Gdy maszyna mijała Zuzankę, hałas stał się ogłuszający. Postać na motorze zakuta w biały kask z zasłoniętą przyłbicą lekko zwolniła. Prowadzący obejrzał się na nią, ale nie zatrzymał maszyny. Po chwili dodał gazu, wywołując jeszcze więcej decybeli, i zniknął gdzieś za plecami naszej wędrowniczki. Nastąpiła błoga cisza.

Zuzia nie zdążyła się nią nacieszyć, kiedy za plotem mijanego przez nią obejścia dał się słyszeć rozdzierający krzyk kobiety.

Dziewczyńskie serce podskoczyło do gardła. Przez szczelne ogrodzenie nie była w stanie określić tragedii, jaka się za nim rozgrywała. Porzuciła więc wózek na poboczu i ruszyła na ratunek. Pchnęła furtkę i wpadła na podwórko.

– A żeby cię cholera wzięła, głupie bydło!!! Trza cię było utopić, jakeś się tylko urodził, pomocię szatański!!! Bodaj cię ziemia pochłonięła!!! – złorzeczyła ubrana w stylonowy kwiecisty fartuch gospodyni.

Zdezorientowana i wystraszona Zuzanka zdołała ustalić źródło gniewu i urągania tęgą pani domu. Oto przypominający małego niedźwiadka szczeniak z zadowoloną miną ciągnął przez blokko na środku obejścia sztukę płótna, która po bliższym przyjrzeniu okazała się białym obrusem bogato zdobionym haftem richelieu. Szczeniak, uznając to za świetną zabawę, uciekał przed swoją prześladowczynią, wlokąc obrus po ziemi, z każdym pokonanym metrem powiększając jego zniszczenie. Tylko uszy mu podskakiwały radośnie.

Gospodyni dopadła winowajcę gdzieś w okolicy kurnika i chcąc odebrać psiakowi zdobycz, zaczęła mu wyszarpywać obrus z nieomalże po ludzku uśmiechniętego pyska. Nie trzeba było długo czekać, kiedy wielokrotnie prany materiał trzasnął na dwie części. Pies swoim pięknym białym futrem chlapnął w kałużę. Gospodyni zachwiała się, tracąc równowagę, jednak zdołała przytrzymać się siatki odgradzającej wybieg dla kur i uratowała się przed upadkiem.

– Skaranie boskie!!! Na parówki cię przerobię, gadzino przekłeta!!! – wrzeszczała jeszcze za psiakiem, który ze swoją połową zdobyczy czmychnął gdzieś za dom. – A pani do kogo? – spytała oszołomioną spektaklem Zuzkę.

– Ja... Ja przepraszam, że tak wtargnęłam bez pani wiedzy, ale jak usłyszałam pani krzyk, to myślałam, że coś się pani stało – sumitowała się Zuzia.

– A stało się, stało. Nie widzi pani? – uniosła powalaną błotem szmatkę na wysokość oczu dziewczyny. – Do worka wsadzę i pod mostem z kowadłem przy szyi wyrzucę!!! – wrzasnęła gdzieś w przestrzeń do nieobecnego już w zasięgu wzroku psa, a zwracając się do Zuzanki spokojniejszym już tonem, dodała: – Bo to, wie pani, wszystko przez kłatwę. Tfu! – splunęła pod nogi. – Na psa urok!

– Coś słyszałam... ale ja w kłatwy nie wierzę – zastrzegła Zuzanka, choć pilnie nadstawiała ucha, ciekawa lokalnych opowieści.

– Lepiej niech pani nie lekceważy siły przekleństwa, bo już ze cztery wieki nad nami ciąży, a tu ma pani żywy dowód na jej istnienie – znów uniosła tkaninę jako ilustrację. – Nie dalek jak przy śniadaniu powiedziałam do ojca, że mam pieskie życie, bo nic od niego nie dostałam i mi byle gówno w wianie dali, i masz pani...

– Jak to? – zdziwiła się Zuza.

– Ano, ojciec ziemię na brata przepisał, ale jak wychodziłam za męża, to i do budowy domu się dołożyli, choć niedużo, bo i dużo nie mieli, i wyprawę to taką mi matka wyszykowała, że wszystkie panny we wsi się zachwycały nad heklowanymi firanami, poduchami z gęsiego pierza, garnkami prosto z NRD... I plater z Hefry na 24 osoby mi matula kupili, i te obrusy to takie, że tylko gości przyjmować. Ale mnie

dzisiaj mało było, no to mam. Ech! – machnęła zrezygnowana ręką. Wstąpi pani na kawusię? Serniczek upiekłam.

W tym momencie Zuzka przypomniała sobie o porzuconej na szosie torbie i celu swojej porannej wyprawy.

– Dziękuję pani bardzo, ale może innym razem, bo ja właśnie idę po mąkę na ciasto dla mamy... Będziemy mieli dzisiaj gości – uzupełniła.

– A, to nie zatrzymuję. Ale serdecznie zapraszam w każdej chwili, opowiem pani, jakie tu się cuda wydarzały. Oj, niech pani nie lekceważy przestrogi. Broń Boże dzisiaj skłamać.

Odprowadziła Zuzię aż za furtkę i jeszcze raz ostrzegła:

– Niech panią Pan Bóg broni dziś przed kłamstwem!!!

Uspokojona i lekko rozbawiona sytuacją Zuzka zgarnęła odnaleziony na poboczu wózek i ruszyła w dalszą drogę. Daleko nie uszła, gdy spotkała nadchodzącą z przeciwka dziewczynę, mniej więcej jej rówieśniczkę. Postawna blondynka (oczywiście farbowana) prowadziła obładowany siatkami pełnymi wiktualów rower. Foliowe torby wypełniały koszyk na bagażniku i zwisały po obu stronach kierownicy. Przednie koło roweru było tak zdezelowane, że pojazd poruszał się zygakiem, to wznosząc, to opadając na zwichniętej obręczy i pogiętych szprychach. Zuzka bezwiednie odprowadzała wzrokiem dziewczynę i bicykl. Kiedy się mijaly, tamta nie wytrzymała jej spojrzenia i nieprzyjaźnie warknęła:

– Czego się gapisz?

Zuzia tylko wzruszyła ramionami i poszła swoją drogą, bo nie zamierzała wdawać się w żadne konfrontacje. Połamany rower to połamany rower, faktycznie, nic ją to nie obchodziło. Nawet się nie obejrzała, czy dziewczyna daje sobie radę, pchając wrak obciążony zakupami... Prawda, zakupy!

Na ławeczce przed sklepem (na wzór tej z popularnego serialu) siedziało dwóch chłopów w roboczych koszulach rozpiętych aż do pępeków. Wyciągnęli nogi obute w kalosze i, podobnie jak Zuzanka na początku swojego spaceru, teraz oni napawali się pięknem słonecznego dnia.

– Dzień dobry – grzecznie ukłoniła się Zuzka, na co obaj panowie unieśli swoje bejsbolówki. Jeden Szerszeni, drugi Utah Jazz, obie straciły barwy pod nierówną warstwą brudu i potu.

– Szanowanie pani – mruknął jeden i ponownie przymrużył oczy w błogim lenistwie.

Zuzka minęła mężczyzn i pchnęła sklepowe drzwi, które nie ustąpiły. Zorientowała się, że należy je pociągnąć i weszła do klimatyzowanego wnętrza. Owiał ją przesadny chłód, aż na jej przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Starannie zamknęła za sobą drzwi i roztarła ręce.

Trafiła na moment, kiedy kilkoro klientów zebrało się w niewielkiej kolejce. Karnie stanęła na końcu, uważnie rozglądając się po półkach i wśród wszechobecnych skrzynek z napojami i pieczywem.

– Jeszcze mi pani zważy tego sera, co ostatnio – składała zamówienie babka w średnim wieku. Sądząc z image'u, za wszelką cenę usiłująca zatrzymać młodość. Wszystko w niej było za kuse, oprócz obcasów, które dla odmiany były za wysokie jak na warunki wiejskich dróg.

– Chyba że przyjechała samochodem – pomyślała Zuzka, ale zdała sobie sprawę, że przed sklepem nikt nie zaparkował.

– Znowu latoś nie odczynimy, pani Wrońska – zagaiła klientka. Nie czekając na zachętę ze strony sprzedawczyni, kontynuowała: – Ten Artur, od Adamów, no... ten, co to miał iść na lekarza, tylko go na studia nie przyjęli...

– No... – sklepikarka dała znać, że wie, o kogo chodzi.

– No to on mojemu Zenkowi powiedział, że nie przyjedzie dziś zabrać tego drzewa, co na zimę do szklarni miał se od nas wziąć, bo do Miasta jedzie. A teraz jakżem szła do pani, to go widziałam, jak nieśli wędki z Martyniakiem i tam przy Chojnackich do rzeki skręcali... Jeszcze słoik ogórków konserwowych mi pani da, bo mój małosolnych nie lubi... Wiele to razem będzie?

– Trzydzieści pięć pięćdziesiąt, pani Gołębiwska, tylko drobne proszę.

Pani Gołębowska spakowała swoje wiktuały do przybrudzonej płóciennej torby z logo fundacji ekologicznej, odebrała resztę i stęknąwszy, zabrała siebie razem z zakupami.

– Świeży ten baleron? Bo dawno kupnej wędliny nie kupowałem.

– Ciekawe, czy można kupić niekupną? – pomyślała Zuza, ale oczywiście zachowała te wątpliwości dla siebie.

– Świeżutki, panie Leonie, świeżutki. Wczoraj przywieźli i tyle co przez noc w chłodni przeleżał – zarzekała się sklepowa.

– Pani mi da tak z pół kila. Jak te moi synowie siędą, to ino mig i zniknie. Ale chłopaki robotne, to i żałować nie ma co. I jeszcze dwie puszki makreli pani dołoży. I majeranek.

– To Kryśka nie ma majeranka w ogródku? – dopytywała sprzedawczyni, nabijając na kasę cenę konserw.

– Ano, nie wzeszedł jej. Koperek też się nie udał. Jedna pietruszka co ma nać taką, że krowę można wykarmić... To już wszystko, dziękuję. – Zapłacił i wyszedł. Zapłacił banknotem pięćdziesięciozłotowym, a że w kasie były niemal same setki, więc Wrońska wydała mu resztę moniakami.

– Co dla pani? – ekspedientka zwróciła się do Zuzanki.

Dziewczyna wymieniła wszystkie zamówione przez domowników produkty, z których jak się okazało, w sklepie brakowało jedynie jabłek na szarlotkę.

– Ale się pani nie martwi – podsunęła rozwiązanie sklepowa. – Zapyta pani Mostowskiego, tego w niebieskiej czapce przed sklepem, bo u niego jabłek zatrząsienie.

Zuzanka podziękowała, z wprawą wyprowadziła wypakowany zakupami wózek ze sklepu i podeszła do urzędujących na ławeczce kibiców NBI.

– Drobnych nie ma, słyszałeś? – dobiegł ją głos Mostowskiego. – Już tak zważniał, że o kolegach nie pamięta. Odkąd sobie nowy samochód kupił, to się przestał zadawać z bidą, co pekaesem jeździ... A panienka czego sobie winszuje? – Właściciel czapki Hornets oderwał wzrok od oddalającego się pana Leona i zwrócił się do Zuzki.

– Słyszałam, że można u pana kupić jabłek. Czy to prawda?

Mostowski potarł nos, podrapał się po karku, poprawił czapkę i się skrzywił.

– Generalnie to jabłka są. Jenó tera, to jeszcze niedojrzałe. W ogóle, pani, bida. Ledwo się człowiek na powierzchni utrzymuje.

– To przepraszam. Do widzenia panom.

Zuzanka uznała, że jednak trzeba będzie poprzestać na keksie i ruszyła w drogę powrotną.

Tym razem nie spotkała nikogo. Jedynie migając światłami i wyjąc kogutem minęła ją karetka pogotowia.

– Nie wszyscy mają miły dzień – pomyślała dziewczyna.

– Jabłek nie ma – obwieściła od progó. – Ponoć jeszcze niedojrzałe. Przynajmniej tak mówił pan Mostowski.

– Jaki Mostowski? Jakie niedojrzałe? Toż już u niego w sadzie cały dywan spadów leży w trawie, to jakie niedojrzałe? – zdziwiła się Babcia Joanna.

– A u Wąsowskiej pytałaś? – Pani Anna jeszcze miała nadzieję na szarlotkę.

– Zapomniałam – przyznała uczciwie Zuzka i wzięła się do rozpakowania zakupów.

Niepocieszona brakiem jabłek pani Anna zabrała się do swojego słynnego keksu. Postawiła rondel na kuchence, żeby w nim rozpuścić masło, odmierzyła właściwą ilość mąki, wyjęła z lodówki wytłoczkę jajek i dłuższą chwilę szperała w szafkach.

– Nie wiesz, gdzie mogą być orzechy? – zastrzeliła pytaniem Zuzkę wracającą z garażu po odstawieniu wózka.

– Powinny być w tej szafce nad ekspresem do kawy – Zuzanka zaczęła ścierać z blatu rozsypaną mąkę.

– Nie ma – pani Anna przetrząsnęła wszystkie półki. – A mama przypadkiem nie wie, gdzie się podziały? – spytała dla odmiany teściową.

– Nie wiedziałam – odparła Babcia Joanna, wsunęła do ust podkradzioną suszoną morelę i wyszła na taras, gdzie pan Marek nadal grał w „cukierki”. Od rana miał tylko jedną krótką przerwę w przesuwaniu palcem po ekranie tabletu, którą wykorzystał na zrobienie sobie kawy, gdy w tym czasie odradzały się jego „życia” utracone błędami w grze.

Przy wejściu na posesję pojawiła się dziwna postać w zwiewnej szacie o płomiennych barwach.

– Hej, hej – zawołała, machając przyjaźnie na powitanie. Pchnęła furtkę i nieproszona lekkim krokiem zbliżyła się do obojga Nowaków.

Zarówno pani Joanna, jak i jej syn patrzyli na nią w niemym zachwycie. Cóż to za zjawisko nawiedziło ich dom?

– Sąsiedzi kochani... – zagaiła zmysłowym głosem. – Ja właściwie do pana z taką nietypową prośbą.

– Słucham panią – pan Marek zdołał odzyskać rezon.

– Bo widzi pan, mój mąż i ja dziś oboje niechący skłamaliśmy... – nabrała tchu i chwilę zastanawiała się, jak najsensowniej wytłumaczyć powód i cel niespodziewanej wizyty.

Zarówno Marek, jak i jego matka nie potrafili znaleźć żadnego związku pomiędzy kłamstwami sąsiadów a nagłymi odwiedzinami, więc czekali w niemym skupieniu, aż sąsiadka wyartykułuje wytłumaczenie.

Widocznie spowita w rude tiule kobieta uznała, że najlepiej będzie opowiedzieć wszystko od początku, bo przysiadła na jednym z ogrodowych krzesel, odrzuciła blond loki wpadające jej do oczu i zaczęła referować.

– No więc tak: mój mąż... Ach, my się przecież nie znamy – pacnęła się w czoło w nagłym olśnieniu, – Jestem Robertowa Zatopekowa... znaczy Małgorzata Zatopek – podała wiotką dłoń najpierw Joannie, później jej synowi. – Zatopek... wiedzą państwo?

Widać nie wiedzieli, bo w ich wzroku pojawiły się znaki zapytania. Pani Joanna odłożyła na krzesło krzyżówkę wraz z okularami i cała zamieniła się w słuch.

– Jak ten czeski lekkoatleta, co biegał – wyjaśniła, jakby to było oczywiste, że znają wszystkich sportowców. – No więc mój mąż nie zorientował się, że jest już po północy i... no wiedzą państwo, jak to w małżeństwie bywa... trochę się kłóciliśmy i on tak w złości... no, tak bezmyślnie zupełnie, powiedział, że koza Rafalskiego jest mądrzejsza niż ja. A poszło o to, że zapomniałam mu przygotować białej koszuli na ślub kuzynki Jessiki, co to dziś mamy w Miasteczku. No i ja mu wtedy powiedziałam, że już uprałam, tylko wyprasować, ale kolorową, bo on nie jest panem młodym i biała mu niepotrzebna.

– Rozumiem – pan Marek kątem oka zerknął na tablet, czy mu w trakcie tego przydługiego wstępu nie wygasła gra. Stwierdził, że ekran jest czarny, więc odłożył urządzenie obok puste filiżanki po kawie. – Tylko nadal nie wiem, co to ma wspólnego z nami.

– No właśnie... Otóż, jak wspomniałam, było już po północy...

– ...I?

– I przecież ja nie jestem głupsza od kozy, to po pierwsze, a po drugie, to żadnej koszuli, ani białej, ani kolorowej mężowi nie naszykowałam, bo faktycznie zapomniałam.

– Przepraszam, ale nadal nie rozumiem – pan Marek usiłował wyciągnąć jakieś wnioski, ale nadal nijak nie dostrzegał związku.

– No bo ja sobie pomyślałam, że jakąś kolorową koszulę to powinien mieć czystą, a jak nie, to mu rano szybko upiorę, jaką będzie chciał i w takim upale to mu do południa wyschnie i, żeby się nie



złościł, to skłamałam, że one są już gotowe...

– ...I?

– I nie były – pani Robertowa Zatopkowa jakby zwiędła na swoim krzeselku.

– ...I? – ponagliła ją pani Joanna.

– ...I się to na nas zemściło. Bo Robert... znaczy mój mąż... Ja nie wiem, czy mówiłam... on jest weterynarzem. Na rano był umówiony u Rafalskiego, bo Rafalskiemu krowy mokrej trawy się nażary i jedną wzdęło, i Robert obiecał, że zobaczy, czy to co jej tam wczoraj zrobił, to zadziało...

– ...I? – pan Marek okazywał coraz większe zniecierpliwienie.

– ...I jak poszedł do tej krowy i coś tam przy niej doglądał, to się to nie spodobało kozie Rafalskiego. Zazdrośna była czy co? I go ugryzła. I Robert się strasznie zezłościł, a do tego musiał sam sobie, i to na trzeźwo, założyć dwa szwy, bo gdybyśmy z tym pogryzieniem jeszcze mieli się udać na ostry dyżur, to na pewno byśmy na ten ślub nie zdążyli.

– OK – pan Marek wziął głęboki wdech. – To teraz niech mi pani powie, w czym my możemy pomóc, bo na szyciu ran ani na kozach i krowach się nie znamy.

– A nie, nie! Bo jak ja te koszule mężowi tak szybko chciałam uprać, to mi się razem z nimi wrzuciły do pralki takie moje fikuśne majteczki...

Pan Marek tylko uniósł brew, a pani Joanna aż usiadła, nie bacząc, że wprost na czasopiśmie z krzyżówkami i okularach. Bardziej poczuła niż usłyszała chrupnięcie i zaskoczona wyjęła spod siebie połamane okulary.

– Och! – zawołała na ich widok Robertowa Zatopkowa. – Widzę, że pani też dziś skłamała, prawda? – I nie czekając na potwierdzenie, kontynuowała wywód. – I te majteczki to były bordowe, takie specjalnie więcej seksowne, bo my z mężem...

Pan Marek chrząknął znacząco, co przywołało sąsiadkę do porządku.

– No tak, nie powinnam się tu państwu zwierzać z naszych kłopotów małżeńskich. W każdym razie, ja nie wiedziałam... bo one nowe były... i te majteczki zafarbowały.

– I? – tym razem nie wytrzymała pani Joanna.

– I wszystkie białe koszule męża zrobiły się takie trochę różowowrzosowe... no, trudny kolor do określenia.

– I? – zgodnym chórem przynagliłi.

– I do zwierzaków to one się jeszcze nadają, ale na ślubie to już ten mój mąż w nich na pewno nie może się pokazać. I tak sobie pomyślałam, że pan to jest takiej samej postury jak mój Robert, to może by mu pan jakiejś swojej pożyczył... Ale błagam, jeśli pan nie chce pożyczyć, to niech pan po prostu powie, że nie pożyczy, tylko niech pan nie kłamie – zastrzegła.

– Nie muszę kłamać. Jeśli coś z mojej szafy się na sąsiada nada, to chętnie pożyczę.

– Pani tu chwilę poczeka – poleciła pani Joanna i zniknęła we wnętrzu domu w poszukiwaniu koszul syna. Po chwili wróciła z kilkoma wieszakami, pomagając sąsiadce wybrać coś odpowiedniego.

Uszczęśliwiona kobieta, rozwiewając falbany swojej sukni, pomknęła do siebie uspokoić męża i godnie go przyzodziać na ślub Jessiki... kimkolwiek ona była.

– Mamo – pan Marek zwrócił się do Joanny. – Skłamałaś? Dziś?

W pierwszym odruchu Babcia Joanna chciała zaprzeczyć, ale mignęła jej ostrzegawcza myśl, że jednak nie należy powtórnie kłamać, bo powoli okazywało się, że jednak coś jest na rzeczy.

– Tylko nie mów Ani – nachyliła się do syna konspiracyjnie. – Wyjadłam orzechy, które miała do keksu i się nie przyznałam.

– Mamo, jak mogłaś?! – udał oburzonego i wrócił do przerwanej gry.

Przez ten czas Zuzanka przygotowała ciasto do włożenia do pieca, nadziała serowe koreczki na wykałaczki, pozwiła wędlinę w fantazyjne ruloniki i ugarniowała półmiski z przystawkami, starannie zabezpieczając je w ogromniej szafie chłodniczej zastępującej w ich kuchni lodówkę.

Pani Anna w międzyczasie nałożyła makijaż i wpięła w uszy błyszczące kolczyki.

– Ubierz się jakoś, bo niedługo pojawią się goście, a ty straszysz tymi szortami – pani Anna wygoniła córkę z kuchni. – Ja tu się uwijam jak pszczołka, a później mi powiedzą, że kopcuszek za mnie wszystko zrobił.

Chwyciła ze stołu ścierkę, nie zauważywszy, że przycupnęła na niej jedna z wszechobecnych w okolicy os.

Krzyk pani Anny zwabił do kuchni teściową. Po zrobieniu okładu z cebuli przytrzymanego bandażem zdołano na tyle uspokoić poszkodowaną, że zamiast o ukąszeniu zaczęła myśleć o rozmazanym tuszu na prawym oku.

W samą porę, bo pod furtkę zajechały dwa samochody. Można by było o nich powiedzieć „eleganckie”, gdyby nie to, że oba były uwalane błotem aż po szyby.

Pani Anna wybiegła na spotkanie gości z rozpostartymi ramionami, piszcząc jak nastolatka.

– Chodźcie, kochane, chodźcie – ścisłała po kolei wysiadające koleżanki.

Całe ich barwne stadko wkroczyło na posesję, lustrując po drodze otoczenie.

– Trochę pobłądziliśmy... Co ci się stało w rękę? – padło pierwsze pytanie.

– Och, takie tam... Nie warto wspominać – dzielnie zlekceważyła ukąszenie gospodyni.

– Pięknie tu macie – zachwycała się Agnieszka obuta w srebrne sandaalki i przyciskająca do piersi kiczowatego krasnala, którego wręczyła zaskoczonej Annie jako prezent na nowe mieszkanie.

– Wspaniały dom! – zachłystywała się Ola, uważnie stawiając na wybrukowanym podjeździe klapki na wysokich koturnach.

– Och, takie tam... – zlekceważyła wszystkie pochwały pani Anna, bezwiednie powtarzając wciąż to samo zdanie i czym prędzej odstawiła krasnalowego koszmara gdzieś między krzaki.

Marek na karzące spojrzenie żony niechętnie odłożył tabletki i przywitał się wylewnie z jej koleżankami. Ledwie dał się wyściskać ostatniej, a już kolejne spojrzenie ślubnej połowicy odesłało go do przygotowania grilla, w czym chętnie pomogła mu córka.

Panie zwiedziły wszystkie kąty, rozpylając się nad każdym detalem wyposażenia i nie szczędząc słów zachwyty. Zajrzały nawet do piwnicy i na stryszek, a były też takie, które musiały zwiedzić garaż, by i tam obwieścić swoje uznanie dla zagospodarowania.

Po prezentacji pani domu zaprosiła wszystkich do nakrytego na tarasie stołu. Biesiada trwała w najlepsze, opowiadano sobie dowcipy, przerzucano się wspomnieniami ze szkolnych lat, oplotkowano wszystkich wspólnych znajomych i dawnych kolegów.

Zuzanna nudziła się jak mops, więc nie chcąc robić afrontu opuszczeniem przyjęcia, zaczęła na nim gospodarzyć, wyręczając w tym kontuzjowaną i zajętą plotkami matkę.

Właśnie wracała z kolejnym półmiskiem przystawek, gdy mama, chwalać się swoimi zdolnościami kulinarnymi, zaczęła się wtrącać ojcu do grillowania.

– Mówię wam, dziewczyny, wszystko na mojej głowie, nikt mi tu w niczym nie pomagał. Hybryda mi z paznokci zesłała, żebym was mogła nakarmić. Ale tak się cieszyłam, że się zobaczymy, że robota mi się w rękach paliła...

W tym momencie z nieznanых przyczyn, a pan Marek gotów jest nawet przysiąc, że w ogóle bez żadnej przyczyny, przewróciła się stojąca na grillowym blacie butelka z rozpałką. Trudno powiedzieć, kto ją tam zostawił, to w tej chwili absolutnie nieważne. Zawartość chlusnęła na żar brykietów i huknęło w górę chmurą ognia. Podniósł się ogólny krzyk, który zamarł na widok osmolonej pani domu.

Pan Marek zdążył odskoczyć i uniknął jakichkolwiek obrażeń, za to pani Anna stała oniemiała z opaloną grzywką i pozbawiona rzęs. Na szczęście nie zajęło się na niej ubranie i nie doznała żadnych poparzeń. Na widok nadpalonej synowej Babcia Joanna, siedząca do tej pory na uboczu i sącząca kolejne porcje winka, odstaawiła kieliszek, wzniosła oczy do nieba i wywołując konsternację wśród gości, gromkim głosem jęła się wyklócać z jego głównym lokatorem:

– No, tu już chyba trochę przesadziliś. Rozumiem koszule sąsiada, rozumiem moje okulary, ale żeby mi spalić synową, to już przegięcie.

To rzekłszy, zabrała wiszący na krześle sweterek i zdecydowanym krokiem opuściła towarzystwo.

Zrobiło się jakoś dziwnie, więc nastrój biesiady nieco przysiadł. Panie już z mniejszym entuzjazmem perorowały o starych Polakach, zjadły karkówkę, wypily wino i hektolitry domowej lemoniady, po czym zaczęły zbierać się do powrotu.

Kiedy pan Marek usłyszał, że dwie z koleżanek żony chcą wracać osobno, bo mają jakieś plany na późniejszy wieczór, zaferował się, że odwiezie je do Miasteczka, skąd co kilkanaście minut – do pół godziny mają busey do Stolicy. Na szczęście nie pił, więc chwycił kluczyki i szarmancko zaprosił gości do auta. W czasie, gdy wszystkie trzy panie Nowakowe sprzątały po przyjęciu, on bezpiecznie odstawił przyjaciółki żony na przystanek. W drodze powrotnej usłyszał głuchy huk i samochodem silnie zarzuciło. Cudem unikając wypadnięcia z szosy, stoczył się na pobocze. Wysiadł, żeby ustalić przyczynę wypadku. Jak się tego po objawach należało spodziewać, opona przedniego koła była rozerwana na całym obwodzie, a jej strzępy znaczyły ślad od miejsca, w którym pękła. No cóż, dobrze że Marek nie jechał z większą prędkością, bo tylko dzięki temu mógł zapanować nad kierownicą.

– Dzięki Bogu – pomyślał w duchu, a po chwili głośno dodał: – Kurwa, skłamałem.

Był sam, na rzadko uczęszczanej drodze, w środku lasu i właśnie robiło się ciemno.

Uświadomił sobie, że odkurzając bagażnik, wyjął z niego koło zapasowe i nie włożył go na miejsce. Telefon został na tarasie – wszak wyjechał tylko na chwilę – więc pomocy drogowej też nie wezwie.

Do domu miał około trzech kilometrów i musiał ten odcinek pokonać pieszo. W nierozchodzonych pantoflach od garnituru nie uśmiechało mu się drałować nierównym poboczem, ale nie miał wyjścia.

– Dlaczego powiedziałem rano, że nie wiem, gdzie są kluczyki? – zapytał sam siebie. I jedynie sam do siebie mógł mieć pretensje, że wtedy skłamał. – Kurwa – powtórzył i ruszył w drogę. Nie uszedł nawet połowy trasy, kiedy z przeciwną dał się słyszeć odgłos nadjeżdżającego motocykla. Postać w białym kasku minęła go z rykiem silnika i zniknęła w oddali.

– Szkoda, że nie w moją stronę – westchnął, chociaż motocyklista mógłby go nie zabrać, nawet gdyby jechał w jego kierunku.

Pani Anna zaniepokojona długą nieobecnością męża nie mogła sobie znaleźć miejsca. Krążyła po wypucowanej do czysta kuchni, wychodziła na taras, wyglądała na drogę. Analizowała miniony dzień i nie podobały jej się wnioski. Gdy zobaczyła idącego męża, ani trochę się nie zdziwiła.

– Wyprowadzamy się stąd – oznajmiła, gdy przekroczył próg. – Natychmiast – dodała kategorycznie. – W każdym razie przed następnym trzecim sierpnia. Drugi raz nie będę ryzykować, bo możemy tego nie przeżyć.

Trochę obawiając się, żeby niechcący znów nie skłamać, ot tak, na wszelki wypadek do nikogo się nie odezwała, tylko jak najszybciej położyła się do łóżka. Zaniepokojony tym mąż cichutko pozbył się ubrania, wziął krótki prysznic, umył zęby i wchodząc pod koldrę, nieśmiało spytał:

– Dobrze się czujesz? Śpisz już?

W odpowiedzi usłyszał tylko stłumione:

– Yhmmm... – W tym momencie oberwała się półeczka pod lustrem w łazience i z hukiem wylądowała w umywalce. – Wyprowadzamy się! Choćby pod most, byle dalej od tego miejsca – wrzasnęła Anna. – Ani minuty dłużej niż potrzeba – zadecydowała.

Poranek, choć słoneczny i przepiękny, wypełniony świergotem ptaków i zapachami ziół z nie do końca jeszcze zagospodarowanego ogrodu, w domu Nowaków trudno było nazwać pogodnym. Pani Anna jak chmura gradowa kończyła suszenie włosów, co w najmniejszym stopniu nie poprawiało jej humoru – wręcz odwrotnie – opalona wybuchem grzywka straciła nadany przez stołecznego stylistę kształt i sterczała jak szczytka.

Zamglona nadmiarem wypitego wczoraj wina Babcia, mrużąc oczy przed nadmiarem światła, rozbijała kolejne jajka na rodzinną jajecznicę. Marek jak wichura miotał się po domu, usiłując zorganizować naprawę samochodu. Nikt z jego miastowych kolegów nie będzie przecież tłukł się taki kawał drogi, żeby pomóc mu zmienić koło, a assistance jak na złość miało wciąż zajęty numer. Zuzanna chlipała z rosą łez na policzkach.

– Nie chcę się znów przeprowadzać – łkała. – Dopiero zyskałam prawdziwy dom, mieliśmy sobie tu mieszkać wszyscy jak szczęśliwa rodzina, spokojnie, daleko od zgiełku. Przez wasze grzechy znów mam się tulać?

– Zuzik, uspokój się – strofował ją ojciec, sam daleki od równowagi.

– Ma rację – niespodziewanie wtrąciła się Babcia. – Wszystko, co się wczoraj wydarzyło, jest wynikiem naszych grzechów i jak patrzę na te wszystkie skutki, to wychodzi na to, że nawet adekwatne do kłamstw, jakby wprost z nich wynikające. Wystarczyło trzymać język za zębami i nikogo nic złego by nie spotkało.

– Ale to były takie niewinne przejęzyczenia – usiłowała zbagatelizować występki przeciw prawdzie Anna.

– Widać tam – Babcia wskazała sufit nad głową – uznano inaczej. Ale oznacza to, że mamy unikać kłamania, a nie unikać tego miejsca. W jakimkolwiek punkcie na ziemi byśmy się nie znaleźli, kłamstwo jest złe.

– Mamo – Marek, który znalazł się między decyzją żony o wyprowadzce a opozycją swojej matki i córki, nie umiał zająć stanowiska. – Jakie proponujesz rozwiązanie?

– Ja zostaję – zastrzegła Zuzka. – A wy róbcie, co chcecie.

Naburmuszona klapnęła na krzesło i manifestacyjnie splotła ręce na piersiach.

– Kochani – Joanna uspokajającym gestem rozłożyła dłonie. – Nie musimy decyzji podejmować nagle ani w nerwach. Mamy rok do następnego dnia kłątwy.

– Pozostaje tylko mieć nadzieję, że przez ten rok nic złego się nie wydarzy – mruknęła pod nosem nieco uspokojona Anna.

– Nie kracz – upomniął ją małżonek.

Wszyscy w milczeniu zasiedli przy stole, na którym Babcia ustawiała bułki, masło, rzodkiewki i parującą jajecznicę.

– Smaczno – powiedziała, kończąc tym dyskusję o niepewnej przyszłości.

Nowakowie chętnie zapomnieliby o niemiłych przeżyciach minionego dnia, gdyby nie ziejący pustką garaż, walające się po całej łazience kosmetyki z oberwanej półki i jakże oryginalna fryzura pani domu. Snuli się nadąsani, udając, że wszystko jest okej. Ich nastrój powoli przejmowała aura. Stopniowo słoneczko coraz bardziej dawało się we znaki, powietrze robiło się z minuty na minutę gęstsze. Coraz trudniej było oddychać, a ubranie lepilo się do ciała. W końcu od zachodu przyszedł wiaterek, a na niebie wyłoniły się spiętrzone chmury. Wraz z pierwszymi kroplami ulewnego deszczu na tarasie pojawiła się pani weterynarzowa Robertowa Zatopkowa z powiewającą na wietrze koszulką Marka.

– Dzień dobry, dzień dobry – powitała zgromadzonych przy popołudniowej herbacie domowników, strząsając krople deszczu z ramion. – Uff! Zdążyłam.

Krytycznym okiem oceniła koszulę na trzymanym w rękę wieszaku. Stwierdziła, że poza kilkoma mokrymi śladami nic jej nie jest.

– Jest cała. Oddaję, dziękuję. Świeżo uprana i uprasowana. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że nas pan wybrał w opresji.

– Jaka tam opresja – zbagatelizował pan Marek. – W opresji to my teraz jesteśmy – dorzucił.

– Napije się pani z nami herbatki? – Babcia Asia czyniła honory domu. – Przecież i tak nie wypuścimy pani w taką ulewę. – Nie czekając na odpowiedź, poszła do kuchni, żeby przygotować dla niej filizankę aromatyzowanego hibiskusa.

Weterynarzowa dyskretnie, jak jej się wydawało, przyglądała się fryzurze Anny, wręcz zafascynowana. Pod wzrokiem pani Małgosi gospodyni poczuła się niezręcznie.

– Miałam mały wypadek z grillem – wyjaśniła, bezwiednie dotykając włosów nad czołem.

– Jasne... – z wyrozumiałością kiwała głową Zatopkowa i porozumiewawczo wywróciła oczami, dając do zrozumienia, że nie należy na głos wymawiać tego, co niewyjaśnione.

– Właśnie – Anna potwierdziła jej domysły.

– Pocieszę panią, że nie była pani odosobniona – spojrzała na strugi deszczu, machnęła ręką i poprawiła się na krześle. – Powinnam lecieć, bo tam na mnie robota czeka, ale przecież nie będę mokła. Robota nie zając... Mój mąż prawie w każdym domu w tej wsi miał coś do roboty. Bo to, wiecie państwo, każdy ma jak nie krowinę jakąś, czy prosiaki hoduje, to chociaż kota ludzie w domu trzymają. Chciał nie chciał, każdego we wsi się zna i niejedno o każdym się słyszało. A jak już przychodzi Dzień Prawdy, to plotki o karach, co to z tego przekleństwa spadają, to jeszcze przed człowiekiem do nas docierają.

Pani Małgorzata nie żałowała sobie cukru do herbaty, zamaszycie zamieszła w filizance, siorbnęła, odstawiła delikatnie filizankę na spodeczek i kontynuowała.

– Zaczęło się chyba od Jolki, co to z matką mieszkają przez plot z Jaśkiem, tym co w straży robi – pani Małgosia przeniosła kawałek keksu z patery na własny talerzyk i oblizała palce. – Jolka każdej soboty zostawia matkę bez opieki i gdzie jakaś dyskoteka w okolicy, tam Jolka na rowerze wywija w pierwszej parze z miejscowymi ochlapusami.

Zuzka, która z zaciekawieniem przysłuchiwała się rozmowie, właśnie wyobraziła sobie, jak Jolka na rowerze tańczy z pijanym miejscowym. Rozbawił ją ten miraż, ale nic nie dała po sobie poznać, czekając na dalsze rewelacje.

– Trzeba przyznać, że dziewczyna sama nie pije – kontynuowała Zatopkowa. – Zawsze trzeźwa, bo przecież po zabawie musi tym swoim rowerem wrócić, żeby matkę przed snem oporzędzić. Ale wszyscy, nie tylko w naszej wsi, ale w całym powiecie wiedzą, że Jolka pierwsza baletnica i gdzie zagrają, tam przebiera nogami. No i wczoraj jej się na gorzkie żale zebrało. Mówi o Wrońskiej w sklepie, jak już całe siaty zakupami zapakowała, że jak ten więzień w domu siedzi i ani nosa nigdzie na szeroki świat nie wystawi, tylko ciągle matki dogląda. No i daleko nie ujechała, jak ją kłątwa dogoniła. Drogowski, ten kompan Mostowskiego, co to razem ciągną piwo, twierdzi, że się na nich zagapiła, jak przed sklepem siedzieli, i przednim kołem wpadła w dołek, co to pies Jaśka ze dwa dni temu wykopał łapami. Koło w ósemkę jej się skręciło. A że rower obciążony Jolką i zakupami, to i szprychy poszły, i obręcz wygięta, i do domu na piechotę przez to głupie gadanie wracała.

– Czyli ta dziewczyna, którą wczoraj spotkałam, ma na imię Jolka – domyśliła się Zuzka, jednak nie przerwała opowieści weterynarzowej.

– I w ogóle to w tym roku jakby sklep był epicentrum wszystkich zdarzeń – Zatopkowa zamyśliła się nad tym odkryciem, ale po chwili kontynuowała. – Po niej, znaczy po Jolce, to Leon, ten mąż Kryski, co to z synami murarką się zajmują, jak wracał ze sklepu od Wrońskich, to portfel z wypłatą zgubił. I pewnie gdzieś przepadł, znaczy portfel, albo go jakieś zwierzaki do lasu wywlokły, bo przecież gdyby go ktoś z naszych znalazł, to tu sami uczciwi ludzie mieszkają i by Leonowi oddali. To za gruba rzecz jest, takie duże pieniądze sobie przywłaszczyć. Co innego głupstwo z gęby wypuścić, ale cudzych

pieniędzy to tu nikt nie ruszy. Tu może pani szkatułkę z brylantami na drodze zostawić i nic. Nie zginie. Cudza własność święta. A że obcy się tu nie kręca, to i wszystko bezpieczne jak w banku.

– Chociaż tyle – pomyślała pani Anna, mając na względzie inne zagrożenia.

– Tylko w głowę zachodzimy, czemu go to spotkało, bo że to kara boska, to więcej niż pewne. W Dzień Prawdy to tylko z kłamstwa takie rzeczy się zdarzają.

– Drobnych nie miał – wtrąciła Zuza, ponieważ zdając sobie sprawę, że to nieładnie plotkować o sąsiadach. Na szczęście nikt nie powiązał jej zdania z konsekwencjami, jakie spotkały Leona, gdy mając pełne kieszenie moniaków odmówił drobnym na piwo Drogowskiemu i Mostowskiemu – dwóm kibicom NBI.

– Nawet ten mały brzdąc od Bratkowskich pomagał szukać portfela, tym bardziej że mu Kryśka obiecała, że jak znajdzie, to mu nakupują lizaków, ile da radę zjeść. No właśnie... Mały Bratkowiak zaczął się przechwalać, że on na swoim rowerku to szybko całą wieś przeszuka, bo jeździ lepiej niż Szurkowski. I daleko nie ujechał, bo jak się zaczął popisywać tą swoją jazdą, to wylądował w stawie Marcinkowskich razem z rowerkiem. Synowie Leona go płaczącego wyciągali, a Bratkowska jeszcze z godzinę go nie mogła uspokoić, tak ze wstydu szlochał.

Pani Małgosia zrobiła sobie małą przerwę w opowiadaniu na chwycenie kęsa keksu. Popiła zimną już herbatką hibiskusową, zajrzała na spód spodeczka, żeby odczytać nazwę manufaktury i wróciła do relacji.

– Po południu... A nie, przepraszam. Jeszcze przed obiadem, to Chojnacki przez okno w pokoju u wnuka zobaczył, jak Artur, ten od Adamów, siedzi z Marciniakiem nad rzeką, rybki sobie łowią. I nagle Artur po szyję w rzece się znalazł, a Marciniak wrzeszczy, że chłopca trzeba ratować. To Chojnacki wszystko rzucił i leci nad rzekę. Okazało się, że Arturowi haczyk zawadził o jakąś przepływającą kłodę. Miała być duża ryba, a okazało się, że kawał drewna go do wody wciągnął. Dobrze, że się chłopak nie utopił. Tylko mu wędkę porwało, ale tam, furda wędka. – Małgosia machnęła ręką. – Dobrze, że żyje. Wędkę miał jakąś super-hiper i jakieś wypasione dodatki. Ja się na tym nie znam, ale mój Robert też trochę wędkuje i mówił, że jeden worbel czy wobler, czy jak to się tam nazywa, to z setkę kosztuje. To Artur pewnie z tysiącza stracił na tym łowisku. To już lepiej by zrobił, gdyby u Marcinkowskich w stawie kija maczał, mniej by go to kosztowało.

Zuzanna szybko skojarzyła drewno na opał szklarni czekające na odebranie przez sąsiada, z kłodą, która go naraziła na stratę cennego sprzętu, ale tym razem powstrzymała się od komentarzy.

– Po południu... – Małgosia wróciła do wątku przerwane go kolejną porcją keksu. – ...po południu Wrońska zamknęła sklep i dalej to już się niczego nie dowiemy, co jej ludzie o wczorajszych wydarzeniach donieśli, poza tym, co ją samą spotkało. No więc zamknęła sklep i wzięła się za swoją robotę: jakieś pranie, sprzątanie, gotowanie... I właśnie to gotowanie uratowało ją przed plajtą. Zabrakło jej soli. No wiecie, skończyła się. Normalka. No to ona nie musi latać po sąsiadkach i pożyczać, tylko wzięła klucze do sklepu i poszła po tę sól. Jak weszła, to się kobieta przeżegnała, bo najpierw nie mogła zapalić światła, a potem się okazało, że cała podłoga była zalana wodą. Zawołała męża i pół nocy zbierali tę wodę z podłogi i ratowali towar z chłodzi. Rano elektryk powiedział, że na jednym korku wisiły chłodzi i klimatyzacja. Jak przyszedł taki upał, to wszystko nie wytrzymało i dupło... Znaczy, tego... no... zepsuło się. Znaczy, korki wywaliło. Do poniedziałku to mogło jej to wszystko w tym upale zaściardnąć w tych lodówkach. Tyle towaru by się zmarowało, bo ona tam miała pomrożonych wędlin, mięs, kostki rybne i jakieś inne mrożonki.

– To te świeże wędliny pana Leona – pomyślała Zuzka, ale i to spostrzeżenie zatrzymała dla siebie.

– Kiedy w środku nocy Wrońscy uporali się ze sprzątnięciem potopu w sklepie, to w domu w kibelku znaleźli półprzymną córkę. Ponoć zatrzasnęła się tam, jak tylko wyszli i nie mogła się samodzielnie wydostać. Wołała o pomoc, ale oni nie mają okna w tej ubikacji, to nikt jej nie słyszał. A że rano Jolce powiedziała, że jest otwarta na wszelkie propozycje aranżacji domu, chociaż wcześniej z rodzicami ustalili, że niczego nie będą zmieniać, tylko odmalują ściany, to i Jolka się trochę wściekła, licząc na

zlecenie, i tam na górze – tu wymownie wzniosła wzroku ku niebu – też się to widać nie spodobało. Państwo znają Jolkę? Ona we wsi za artystkę robi. Zdolna dziewczyna jest, to jak coś trzeba, jakiś szyld, czy coś do kapliczki gustownego, to się Jolkę prosi. Wyżyć dziewczyna z tego nie wyżyje, ale zawsze świeży grosz na waciki jej wpadnie. Bo tak to żyją z renty matki, co to już staruszka. Dawniej to jej za dzierżawę Adamowie coś tam odpalali, a teraz to Jolka bierze z Unii dopłaty do upraw, a Adamowie ze sprzedaży płodów z tej jej ziemi żyją. A jak młoda Wrońszczanka uprzytomniła sobie, co Jolce nagadała i, że przez to znalazła się w takiej sytuacji, to z emocji zemdląca, bo się zlekła, że ją jeszcze coś gorszego spotka. Jak tak sobie teraz pomyślę, co się u kogo wczoraj wydarzyło, to najgorzej to chyba u Jaśka ich dotknęło, bo ojciec mu obiecał, że zaczeka, aż syn ze służby wróci i razem się wezmą za czyszczenie rynny. I nie zaczął, tylko sam wlaź na drabinę. I zaraz z tej drabiny zleciał. Ta karetka, co tu wczoraj hałasowała, to do niego. Ale nie wiem, co mu się stało i czy długo będzie w tym szpitalu, bo ja tam plotkami nie lubię się zajmować.

Pani Joanna i Zuzia tylko wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Dobrze, że weterynarzowa Robertowa Zatopkowa nie interesuje się plotkami, bo o czym innym rozmawiałyby z sąsiadami. Małżeństwo Nowaków już w połowie tyrady pani Małgosi przestało słuchać, jak trajkocze, ale Zuzia z Babcią, doceniając zakres wiedzy o sąsiadach, odnotowały, że drogiej pani Zatopkowej nie należy za bardzo wtajemniczać w domowe sekrety, jeśli nie chce się ich roztrąbić po całej wsi.

Gadatliwy gość tak się zasiedział przy jednej filiżance herbaty i własnym opowiadaniu, że deszcz zdążył się wypadać do ostatniej kropelki.

– Tak miło się z państwem rozmawiało, ale tam mój Robert pewnie już obiadu wygląda. Prosił tylko, żeby przekazać, że jeśli może się czymś za tę kosztulę zrewanżować, to on chętnie...

Wszyscy czworo Nowakowie odetchnęli z ulgą, gdy za sąsiadką zatrasnęła się furtka.

Zuzia z Babcią zabrały się do sprzątania ze stołu, natomiast pani Anna oszołomiona nadmiarem wiadomości dotyczących wczorajszych wydarzeń nie wytrzymała napięcia i wybuchła.

– Mówiłam! Mówiłam! Ani pięciu minut dłużej tu nie zostaną. Trzeba było słuchać ludzi, jak nas ostrzegali przed tym miejscem. „Ja tam w gusła nie wierzę” – słyszałam. No to jak nie wierzycie, to teraz macie. Człowiek na każde słowo będzie musiał uważać, język zębami sobie będzie musiał przytrzymywać, żeby mu się przypadkiem coś nie wymyskło.

– Aneczko – próbowała uspokajać synową pani Joanna. – Przecież nie mamy w nawyku oszukiwania ludzi, to chyba taka groźba nie prowadzi na nas jakiegoś specjalnego niebezpieczeństwa.

– Specjalnego może i nie, ale niespecjalne to i owszem. Widziała mama i sama na własnej skórze odczuła, że wystarczy niewinne przejęzyczenie i szast-prast, nieszczęście gotowe. Marek, zbieramy się stąd!

– Teraz? – pan Marek właśnie przewijał listę kontaktów w telefonie, szukając kogoś, kto by mu pomógł z samochodem.

– Natychmiast.

– Oświadczam, że ja się stąd nigdzie nie ruszam – milcząca dotychczas Zuzanna z rozmachem postawiła na stole dzbanek świeżej lemoniady, aż chlusnęło na obrus.

Wszyscy członkowie rodziny ze zdziwieniem odebrali jej nagłą manifestację. Na ogół spokojna dziewczyna dziś epatowała taką determinacją, że aż się przestraszyli.

– Dostyc tych przeprowadzek – oznajmiła. – Ja nie jestem jakiś mebel, żeby mnie przedstawiać z kąta w kąt, bo wam się tutaj przestało podobać. Ledwie znaleźliśmy swoje miejsce, postawiliśmy cztery ściany, nawet nie wszystkie pudła jeszcze rozpakowane, a wy już chcecie uciekać. Róbcie, co chcecie, ja tu zostaję.

Zuzka klapnęła na najbliższe krzesło, manifestacyjnie splatając ręce na piersiach w geście odcinania się od pomysłów rodziców o przeprowadzce. Już drugi raz tego dnia.

– Ależ dziecko, no co z tego, że tu jest pięknie: rzeka, las, ogródek, przestrzeń i powietrze...

– Cieszę się, że zauważyłaś – Zuzka nie dawała za wygraną.

– ...Skoro w każdej chwili może ci spaść cegła na głowę. Wystarczy małe kłamstwo...

– Właśnie! – córka przerwała jej obcesowo – Wystarczy nie kłamać!

Po wybuchach obu pań nastąpiła niezręczna cisza.

– Kochani – przerwała chwilę niemiłego zgrzytu Babcia Asia. – Proponuję, żebyśmy wszyscy spróbowali ochłonąć po tych rewelacjach. Zgodnie z tym, co ludzie gadają, to tylko jeden dzień w roku wisi nad wsią takie zagrożenie. I ten dzień właśnie minął. Zatem mamy rok na podjęcie decyzji.

– Ja tu nie zostanę nawet tygodnia – upierała się pani Anna. – Słyszysz? – zwróciła się do męża. – Wyjeżdżamy.

– Na razie to nie mamy czym – uciął dyskusję na temat natychmiastowej wyprowadzki pan Marek. – Chociaż po tych przygodach skłonny jestem przyznać, że wyprowadzka na to zadupie nie była najlepszym pomysłem. W mieście już dawno by mi pomoc drogowa zaholowała samochód albo któryś sąsiad podrzucił z kołem do wulkanizacji.

– Mało tu masz sąsiadów? – córka nie oddawała pola. – Weterynarz ma wobec ciebie zobowiązanie za koszulę, to pewnie się chętnie zrewanżuje.

– Albo mniej chętnie, ale zapytać nie zawadzi – poparła wnuczkę pani Joanna.

– Marek, ty szykuj ten samochód i jazda stąd, póki nam jeszcze łbów nie poukręcali – kontynuowała dramatyzowanie Anna.

– Mamo, daj spokój, przecież to jest spokojna okolica, każdy to potwierdza, tylko trzeba przez jeden dzień..., JEDEN!, pilnować tego, co się mówi.

– Pax vobiscum! – Babcia uderzyła dłonią w stół, chociaż takie stanowcze zachowanie zdarzyło się jej po raz pierwszy. Zazwyczaj z drugiego rzędu sterowała dyskretnie rodzinną barką, ale widać dziś ją też poniosło. – Naprawimy samochód, wyjedziecie sobie na jakieś wczasy, odpoczniecie po tych budowach, przeprowadzkach i traumach co poniektórych – tu wymownie spojrzała na synową – zdystansujecie się do wydarzeń, a jak wrócicie, to podejmiemy jakąś decyzję.

– Ja zdania nie zmienię. Nie ruszycie mnie stąd nawet buldożerem – zastrzegła Zuzanna.

– Ja, mówiąc szczerze, też się nigdzie nie wybieram. Podobają mi się tu. Ale jak wiesz, nie my w tym domu rządzący. Chodź, trzeba się brać do obiadu.

Wspólne przygotowywanie posiłków było jedną z ulubionych czynności Babci i wnuczki. Niebawem zgodnie gospodarzyły w kuchni, wymyślając nowe potrawy i testując eksperymentalne przepisy. W trakcie pracy często słuchały muzyki albo same wyśpiewywały stare przeboje. A że głosy miały całkiem ładne i do tego zgrane, w całym domu robiło się miło, gdy okupowały kuchnię. Pani Anna chętnie zostawiała im pole do popisu, sama nie gustując w mieszanin w garnkach, a przede wszystkim przesadnie dbając o coraz to innego wzoru hybrydę na paznokciach.

Zanim na stole pojawiły się aromatyczne dania, pan Marek zdążył z pomocą chętnego do rewanżu weterynarza obrócić z kołem zapasowym, wstawić samochód do garażu, umówić się z sąsiadem na wieczorną szklaneczkę whisky i jeszcze zamówić parę opon w sprzedaży wysyłkowej – ta pięknieta nie kwalifikowała się do wulkanizacji.

Pani Anna w gabinecie męża przetrząsała na jego laptopie internet w poszukiwaniu kryjówki jak najdalej od nawiedzonych miejsc. Schodząc na obiad, miała już gotowy plan opuszczenia zagrożonego terytorium.

– Co tam masz? – spytał Marek, widząc minę małżonki. Wyglądała jak kanarek, któremu udało się wytargać kota za wąsy i zwiąć.

– Grecja! – Anna triumfalnym gestem uniosła plik kolorowych wydruków. – Uuummm, pięknie pachnie – wyraziła zachwyt nad pieczenią. – Bilety z Modlina są za bezcen, a najbardziej oplaca się wynająć cały dom. Masz tydzień, żeby pozamykać wszystkie sprawy i jedziemy. Wy – tu zwróciła się do pozostałych kobiet. – Rozumiem, że się z nami nie wybieracie?

– Mnie tu dobrze – potwierdziła Zuzka.



– Na mnie też nie licz. Nie przepadam za podróżami samolotem. Poza tym jestem potrzebna na miejscu. Chyba nie zostawicie dziecka bez opieki.

„Dziecko” uniosło w zdziwieniu brwi, ale nie oponowało. Obecność Babcia nie była konieczna, ale w niczym jej nie przeszkadzała. Wręcz odwrotnie, w takim dużym domu czuła się różnie, mając przy sobie bratnią duszę. Babcia Asia, w skrócie Baasia lub Baacia, była jej pierwszą najlepszą przyjaciółką, powiernicą sekretów i mentorką.

– A niech sobie jadą – fuknęła Zuza, wkładając w usta pokaźną porcję pieczeni.

Wieczorem Anna w swoich apartamentach (jak nazywa poszczególne części domu) planowała logistykę wyprawy. Serfowała po necie w poszukiwaniu najtańszych pośredników wynajmu nieruchomości i połączeń promowych pomiędzy greckimi wyspami. Marek przy pomocy czterdziestoletniego łyskacza zacieśniał sąsiedzkie więzi z weterynarzem. Wykorzystując moment spokoju, Zuzanna usiadła na tarasie i wyciągnęła nogi na krzeselku, chłonąc zapachy, ciszę i widok gwiazd, jakiego próżno szukać w mieście. Joanna dosiadła się do niej z książką, szczerze opatulając się polarową bluzą syna ściągniętą z wieszaka w przedpokoju. Obie wykorzystywały tę chwilę, by odetchnąć od troski, która zawisła nad domem.

– Życie jest do dupy – zawyrokowała Zuzka kategorycznym tonem.

Joanna starannie zamknęła książkę, zaznaczając zakładką czytany fragment. Odłożyła na okładkę poklejone plastrem okulary i złożyła dłonie na blacie stołu.

– Kochanie – westchnęła. – Życie jest wypadkową wszystkich decyzji, jakie w nim kolejno podejmujesz. Jeśli nie przydarzy ci się jakaś niespodziewana choroba, to nawet nieszczęśliwy czy szczęśliwy wypadek się zdarza, bo zdecydowałaś, że w danej chwili znajdziesz się tym konkretnym miejscu.

– No i jestem w czarnej dupie – Zuzka brnęła.

– Chyba nigdy czarnej dupy nie widziałaś – obruszyła się Babcia. – Rozejrzyj się. Każdemu takiej dupy życzę. Masz kochających rodziców, dom... a tam dom... prawie pałac. Masz na chleb i nóż do chleba. A propos, zjadłabyś kawałek ciasta?

– Może bym i zjadła, gdyby nie to, że już zjedzone. Ale zostało jeszcze wino, panowie nim wzgardzili na rzecz czegoś mocniejszego. Chcesz?

– Dawaj.

W poszukiwaniu napoczętej butelki merlota i kieliszków przeniosły się do kuchni, gdzie podjęły przerwana rozmowę.

– No i czego nam więcej do szczęścia potrzeba? – zadała retoryczne pytanie Joanna, zataczając kieliszkiem kółka dla lepszego wydobycia aromatu.

– Może jakiejś ludzkiej stabilizacji? – podsunęła nieśmiało Zuzka. – Ja nie chcę żyć jak moi rodzice. Oczywiście kocham ich – zastrzegła. – Szanuję za to, jacy są i co osiągnęli, ale nie potrafię tak ciągle gonić za marzeniami, snuć kolejnych planów, zanim się jeszcze poprzednich nie skonsumowało, zmieniać miejsc, domów, przyjaciół, współpracowników.

– Przyjaciele to nie bielizna, żeby zmieniać, jak się znosi. Ojciec ma cały telefon zapchany kontaktami, a kto mu dzisiaj z samochodem pomagał? Gdzie ci jego przyjaciele? Pewnie gdyby zadzwonił do Piotra, to by go z zagranicy ściągnął do tej zmiany opon. To jest przyjaciel. O takich trzeba dbać. A reszta? Nie dziw się, że tacy przyjaciele nie zatrzymają go w jednym miejscu. A interesami w dzisiejszych czasach można zarządzać z każdego miejsca.

– Ale jakieś swoje trzeba mieć. Jedno. Stałe. To się nazywa DOM. Po co wywalili taką chałupę, która aż ludzi w oczy kole? Przecież nawet jej teraz nikt od nich nie kupi. Ko zechce mieszkać w przeklętym miejscu?

– Hola, hola! Jak na razie, to to miejsce wcale nie jest bardziej przekłete niż reszta wsi – sprostowała Joanna.

– Żadna różnica. I tak porośnie pokrzywą i zamieni się w gołębnik.

– Chyba że mu na to nie pozwolimy – Joanna wykapała ostatnią kropelkę wina i pociągnęła wnuczkę z powrotem na taras.

– Zostałabyś tu ze mną? – Zuzanka zaczęła mieć nadzieję.

– Pewnie. Już jestem za stara, żeby się uganiać za mrzonkami moich dzieci. Też miałam nadzieję na spokojny port.

– Hmm... – Widać pojawiły się u Zuzy jakieś wątpliwości. – Po pierwsze, to chyba nie tak bardzo spokojny, sądząc po wczorajszych wypadkach, a po drugie, to co my tu będziemy robić? Ja muszę sobie zaplanować jakąś normalną przyszłość, jakąś pracę...

– ...Jakiegoś męża i jakieś dzieci – wtrąciła Babcia.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Z czego ja tu będę żyć. Ty chociaż masz emeryturę, a ja nie zamierzam odcinać kuponów od interesów ojca, bo to nie moje pieniądze, tylko jego. Jak długo można być na garnuszku rodziców?

– Zdaje się, że tak nominalnie, to ty ich ostatnio karmisz, a nie odwrotnie – sprostowała Joanna.

– Owszem, gotuję. Bo lubię. Ale nie zarabiam na to, co wkładam do garnka.

– Spokojnie. Zaczyniesz – zapewniała z przekonaniem Joanna.

– Gdzie? Co? Jak? – Zuzia nie wydawała się przekonana.

– Jeśli to miejsce rzeczywiście jest tak niezwykle, jak legenda głosi, to da nam siłę, żeby nas przy sobie zatrzymać. Tylko słabi zawodnicy poddają się przed gongiem.

– Co za jełop nie zamknął moskitiery i nie zgasił światła w kuchni!!!! Całe stado komarów naleciało!!!! – W całej okolicy dało się usłyszeć głos rozeźlonej pani Anny.

– Mówisz, słaby zawodnik? – obie zatopiły nosy w prawie pustych kieliszkach, niewinnie spoglądając na Annę, która z miną gromowładnego Zeusa szukała winnego.

– O, tu jesteście. No to wam jeszcze jedną historię dołożę do pieca. Za nic tu nie zostanę – strzelała słowami jak nakrecona. – Robert nam właśnie opowiedział, jak to z Jaśkiem strażakiem i kombajnistą ratowali od śmierci Mostowskiego. Włazł na antresolę w stodole, bo po różnych kątach ma pochowane flaszki na czarną godzinę. Akurat dyskutowali z Drogowskim o przyczynie plagi w sadzie, uznając, że to też przekleństwo jakieś. Mostowski tak tępił krety, że po całym sadzie rozpanoszył mu się turkuć podjadek i wszystkie... może nie wszystkie, ale kilka jabłonek poprzewracało, tak miały podgryzione korzenie. Teraz będzie latał po wsi i szukał kretów, żeby turkucia wytepić.

– To kara boska, że nam jabłek nie chciał odstąpić – mruknęła pod nosem Babcia.

– Tak się tym przejął – kontynuowała relację Anna. – Że musiał się napić. No i wlazł nad sąsiek i cały czas się przemawiali z Drogowskim o przyczynę tej plagi. Wtedy powiedział, że on twardo po ziemi stąpa, w żadne gusła nie wierzy i że to te krety wszystkiemu winne. Niby w gusła nie wierzy, ale czerwone wstążki to na każdym drzewie powiązał od uroku. No i mu się deski od tego twardego stąpania po ziemi zarwały pod nogami. Gdyby rąk nie rozłożył, to by z tej antresoli poleciał na goły beton, bo sąsiek pusty. Zawisł tak i dyndał, póki nie przyszli mu z pomocą Jasiak z siekierą i Robert ze swoją torbą, co to do zwierząt z nią jeździ, i jeszcze kombajnista, co od siebie przydziwigał porządną drabinę, żeby uwolnić chłopca z pułapki. Chyba z półtorej godziny tak dyndał w tej stodole. To jedno wydarzenie na poparcie moich decyzji. Jest jeszcze kolejne. Robert nie zdążył jeszcze od Mostowskiego dojść do własnego domu, kiedy musiał użyć Marcikowskiej maści, co się krowom wymiona nią leczy. Tak nad gotującymi się ziemniakami wyrzekała, że nie ma co do garnka włożyć, bo jej mąż z sąsiadami wszystko przepija, że jej ten garnek spadł na nogi. Do doktora daleko, to ją Robert poratował maścią gojącą ze swojej apteczki. I ja mam tutaj zostać?! W życiu!!! Macie jeszcze trochę wina? – Uniosła pod światło pustą butelkę i zrezygnowana opuściła taras, zabierając ją ze sobą do pojemnika z recyklingiem.

Zuzanka z niepokojem obserwowała, jak rodzice pakują bagaż do samochodu. Dla wygody zdecydowali się na podróż samolotem, ale teraz okazywało się, że z tą wygodą sprawa jest problematyczna. Ograniczenie wagi walizek przez linie lotnicze wymagało dokonania radykalnej selekcji zabieranych rzeczy. O ile Marek nie miał z tym żadnego problemu – poprzestał na dodatkowej parze spodni, kilku podkoszulkach, kąpielówkach, bieliźnie i przyborach toaletowych, to Anna nie mogła się zdecydować, czy zabrać na wszelki wypadek coś eleganckiego i na wszelki wypadek coś sportowego i na wszelki wypadek trochę książek i... strasznie dużo jej się tych wszelkich wypadków namnożyło.

– A ty na wszelki wypadek weź nieprzemakalną kurtkę – upomniała męża.

– Nie zamierzam łaźnić po deszczu – oznajmił Marek, domykając nie bez trudu walizkę w połowie wypchaną rzeczami żony.

Zuzanna zobowiązała się odwiedzić ich na lotnisko. Papa wspaniałomyślnie zostawił jej samochód do użytkowania bez ograniczeń. Może tylko dlatego, że do samolotu by go raczej nie zabrał.

– Tylko Zuzik – upomniał. – Nie szalej. A gdyby co, to wiesz, to tylko maszyna. Najważniejsze, żebyś na siebie uważała. Ubezpieczenie znajdziesz gdzieś tam w biurku na dole. Pod umowami z Polskimi powinny być wszystkie polisy. I pamiętaj, żeby alarm włączać, jak wychodzisz. Na noc też by nie zawadziło. I z kartą do bankomatu to za bardzo nie szalej, bo mamy ustalony od złodziei limit dzienny i miesięczny. Przy waszym gospodarowaniu to do końca świata go nie przekroczycie, ale jakby co, to dzwoń.

W terminalu pożegnali się bez zbędnych sentymentów. Zuzanna nie czekała, żeby im pomachać, bo miała w planach jeszcze pobuszować po Stolicy, zanim wróci na wieś.

Pobyt w wielkim mieście trochę ją rozczarował. Trwały wakacje, więc wszystkie koleżanki, które obdzwońniła, mając nadzieję na spotkanie, wyjechały. Ulubiona z czasów studenckich cukiernia była zamknięta z powodu remontu. Opalacze, które skusiły ją do odwiedzenia barwnego butik, okazały się za duże. Z każdym kolejnym niepowodzeniem parował z niej dobry humor, z którym wyruszyła na podbój Stolicy. Wsiadając do samochodu po nieudanych zakupach, zauważyła przy tylnym kole pięćdziesiątówkę.

– Hmmm – pomyślała. – Jednak mam trochę szczęścia. Trochę, bo nawet nie za dychę. – W tym momencie przypomniała sobie, że obiecała Joannie dostarczyć świeżą prasę. Babcia, nie babcia, ale starsza pani Nowak uważała się za nowoczesną kobietę, nadążającą za postępami damskiego świata. Rada nie rada, Zuzia wróciła do galerii handlowej w poszukiwaniu saloniku prasowego. Wydała na kolorowe pisma dla Babci więcej niż na wszystkie pozostałe swoje zakupy razem wzięte. W kieszeni ponieważ znalazła przed chwilą piątkę, aż się prosząc, żeby ją jak najszybciej wydać.

– I jeszcze proszę jeden zakład Lotto na chybił trafił.

– Trzy złote. Nie ma pani akurat? To może weźmie pani „z plusem” i dam pani zdrapkę za złotówkę albo dopłaci pani złotówkę i dam dwa zakłady. Jest kumulacja, to warto.

Zuzanka nie miała pojęcia, o czym mówi obsługująca ją panienska, ale zaplanowała wydać znaną piątkę i tylko piątkę, więc zgodziła się na wersję dokładnie w ramach tej kwoty. Zdrapka nie przyniosła żadnej wygranej, więc zrezygnowana Zuzka, złorzecząc na brak szczęścia, zgarnęła do torebki obstawiony kupon i ruszyła w drogę powrotną do Wioski Małej. Wychodząc z saloniku, zauważyła (trudno było nie zauważyć, w końcu po to tam był) tak zwany potykacz, na którym podana była kwota kumulacji. Widząc potykacz pod ostrym kątem, odczytała na nim 5 000 000.

– Też mi kumulacja! – prychnęła lekceważąco. – Przy jednym zakładzie i tak nie mam na nią żadnych szans.

Wjeżdżając na posesję, nie zauważyła, że zanim automatycznie zamknęła się za nią brama, do ogrodu wbiegł podobny do wilka pies. Wrota się zamknęły, ale zwierzak nawet nie zainteresował się

faktem, że został uwięziony. Z zadartym ogonem i z nosem przy ziemi obiegał wszystkie kąty, jednak bardziej rozglądał się po włościach, niż je obwąchiwał.

Zuzanka wprowadziła samochód do garażu. Razem z Babcia, która nie mogła poskromić ciekawości, co wnusia widziała, słyszała i kupiła w wielkim świetle, wypakowywały sprawunki, nosząc paczki międzym otwartym garażem a kuchnią. Przystankiem pośrednim w tym transporcie był stół na tarasie.

– Rysiek! – dało się słyszeć wołanie zza płotu. – Rysiek, sierściuchu, gdzie się chowasz?

A potem rozległ się ogłuszający gwizd.

Zuzanka właśnie odwróciła się od stołu, na który rzuciła stertę świeżych warzyw, gdy stanęła oko w oko z ziejącą psią mordą. Jej właściciel był wielki, wyglądał na silnego i choć nie zachowywał się wrogo, to w zaskoczony dziewczynie wzbudził respekt.

– Rysiek, przybłędo! – Okrzyk za płotem znów poparła seria gwizdnięć.

Zuza, nie ruszając się z miejsca i bacznie obserwując reakcję psa, zawołała:

– Jeśli Rysiek przypomina owczarka alzackiego, to najpierw upewnij mnie, że jest po śniadaniu.

W futrze pojawiła się najpierw głowa, a za nią cała reszta wysokiego, dobrze zbudowanego młodego człowieka.

– On nie weźmie żarcia od obcych, więc proszę nie próbować go karmić – młodzieniec nieproszony wszedł do ogródka i zbliżał się do tarasu.

– Miałam raczej obawy, żeby to mnie nie zjadł.

– Proszę mu wybaczyć wtargnięcie. Zwykle potrafi się zachować. Ale zanim państwo postavili tu dom, ten kawałek terenu był miejscem jego harców.

– A pan to kto, młody człowieku? – wtrąciła się do rozmowy Babcia, która właśnie nadciągnęła z kuchni po kolejne zakupy.

– Przepraszam, powinienem się przedstawić.

Podali sobie dłonie i jednocześnie wymienili nazwiska. Nowak nałożyło się na Kowalski i wzajemna reakcja na to, co usłyszeli nie była przyjemna.

– Nie należy robić sobie żartów z cudzego nazwiska – zauważyła prawie wrogo Zuzka.

– Też jestem tego zdania – podobnym tonem odpowiedział przybysz.

– To może jeszcze raz. – Tym razem Zuzia wyciągnęła rękę do chłopaka: – Nazywam się Zuzanna Nowak, a to moja Babcia.

– W takim razie bardzo mi miło panie poznać. Jan Kowalski – mężczyzna potrząsnął podaną ręką.

– Jaja pan sobie robi? – padło podejrzliwe pytanie.

– Gdzież bym śmiał! Miałem wrażenie, że to panie sobie ze mnie żartują, bo już o mnie słyszałyście.

– Aż tak sławny to pan chyba jednak nie jest – sarkastycznie zauważyła Zuzka, a Babcia, rozumiejąc już qui pro quo, zaczęła dostrzegać komizm sytuacji.

– Jasiak? Strażak? Sąsiad z tego domu z talerzem Canal+ – ustalała fakty.

– A jednak mnie ktoś zna. Owszem, Jak Kowalski, z zawodu ratownik medyczny w straży i faktycznie, jako jeden z niewielu mam Canal+. Dają więcej sportu niż Polsat. – A ty czego cieszysz mordę? – To pytanie skierowane było do psa, który zamiatając taras puchatym ogonem, wyrażał przyjazne zamiary. – Przepraszam za tego zdracę – Jasiak chwycił psa za obrozę i skierował w stronę furtki.

– Zuziu – Joanna upomniała wnuczkę. – Gdzie nasza gościnność? Może napije się pan z nami lemoniady? Dla Ryśka też znajdzie się coś mokrego. Chodź piesku.

Joanna opróżniła miskę z fasolki szparagowej, którą obierała przed przyjazdem Zuzki, i napelniła naczynie wodą. Pies zadowolony z poczęstunku rozchlapując wodę na boki, z błyskiem w oczach obserwując, co robią ludzie.

A ludzie, jak kulturalni ludzie, usiedli do stołu, na którym Zuzka ustawiła oszroniony dzbanek i komplet kolorowych szklanek.

– Skąd wzięło się imię tego psa? – spytała zaintrygowana Babcia. – Jest zwyczaj, że zwierzętom nie nadaje się ludzkich imion.

– Tak właściwie to tylko skrót imienia. Rysiek, zanim do mnie trafił na stałe, był szkolony na psa poszukującego ludzi w zwałiskach. Na szkoleniu wykazywał takie zdolności, że wszystkie służby się o niego starały. Mógł trafić do poszukiwania materiałów wybuchowych albo narkotyków, ale trafił do ratownictwa. I prawie pod koniec kursu jakiś dowcipniś psiknął mu gazem pieprzowcowym w nos. Zwierzę nie dość, że się naciępało, to musiało przerwać szkolenie. Pół roku pracy poszło na marne. Facet wyleciał ze służby w tej jednostce, ale psu to wężu nie wróciło. W każdym razie nie tak, jak rokował.

– Ale czemu Rysiek? – drążyła Babcia.

– Od marihuany, której w pierwszej wersji miał szukać. Wiedzą panie, maryśka. A że to nie suka, tylko pies, więc został Ryśkiem.

Pies, jakby wiedział, że o nim mowa, z wywalonym na wierzch językiem wodził mądrymi oczami.

– Chcieli go uspić, bo już się nie nadawał do pracy, ale powiedziałem, że się zajmę stracencem – pies położył mu głowę na kolanie, mocząc zaślinionym pyskiem nogawkę. Chłopak nawet na to nie zwrócił uwagi – ani nie odgonił mokrego zwierzaka, ani nie wytarł zafaflunionych spodni.

Zuzanka zastanowiła się, czy bardziej ją to rozczuliło, czy obrzydziło – to się nazywa ambiwalentne uczucia – zrywała się sama z siebie.

– No dobra, pchlarzu, zasiedzieliśmy się, a panie mają robotę. – Faktycznie, stół nadal był zawalony wypakowanymi zakupami, których reszta wciąż spoczywała w bagażniku. Część towarów wymagała pilnego umieszczenia w lodówce.

– To do zobaczenia – Janek skinął głową na pożegnanie. Jednak zanim zdążył odejść, usłyszał, jak Zuzanna tłumaczy się przed Babcią.

– Nie kupiłam pieczarek, bo były tylko takie kaptcie zbrązowiałe.

Chłopak odwrócił się.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale mamy las. Nikt tu nie kupuje pieczarek w sezonie grzybowym.

Kobiety popatrzyły po sobie.

– Lubię zbierać grzyby – stwierdziła Babcia.

– A ja chyba nigdy nie zbierałam, ale lubię las. Jak mnie nauczysz odróżniać jadalne od trujących, to może też coś znajdzie. Tylko czy się nie zgubimy?

– Na początek mogę zostać przewodnikiem – zaoferował się Jasiek. – Jutro mam służbę, ale pojutrze możemy się wybrać na prawdziwki.

– A podgrzybki też tu są? – Babcia aż paliła się do wyprawy.

– Są, ale jeszcze na nie za wcześnie, za to kurek zatrzęsienie. To do środy!

– Baaciu, zostaw to podlewanie i chodź tu szybko, bo rodzice są na łączach! – Zuzanka zbiegła na taras ze swoim laptopem i ustawiła tak, żeby obie dobrze widziały ekran i obie mieściły się w zasięgu kamery.

Na monitorze pan Marek w rozpiętej kolorowej koszuli i ze szklanceką wina w dłoni uśmiechał się szeroko na tle błękitnego nieba.

– Jak sobie radzicie, dziewczynki? Samochód cały? Wilki was nie zjadły?

– Żartuj sobie, żartuj – strofowała go matka – Jeden chciał, ale był na diecie. Nie chcę ci robić przykrości, ale radzimy sobie świetnie. Mamy od was wakacje. Rozpieszczamy się i dogadzamy sobie.

- Baacia zamówiła krzewy do ogrodu, bo już niedługo będzie można sadzić. I oświetlenie na zewnątrz nam rozprowadzili.
- Przed furtką też? - Marek choćby z daleka, ale czuł się gospodarzem.
- Wszędzie. A najładniej wygląda, jak w nocy pada światło na drzewa od dołu z tych lampek wzdłuż ścieżki.
- Tylko uważajcie przy podlewaniu, bo woda i prąd to nie najlepsze zestawienie.
- Posuń się. - W ekranie pojawiła się głowa pani Anny - O, widzę, że też się opaliłyście. Ja już zużyłam cały zapas olejku. Jutro musimy jechać do miasta po nowy.
- Uciekliśmy ze wsi na wieś - podsumował ich wyjazd pan Marek.
- Trzeba było siedzieć na tyłku i nie szukać wrażeń po świetle. My tu mamy wspaniałe wakacje - zachwalała pobyt w domu Babcia.
- Bo nie wiecie, jak tutaj pięknie - Anna zachwycała się Grecją. - I ludzie przyjaźni, i ciepłe morze.
- I nos sobie spiekłaś, i odparzyłaś nogi od pantofelków - zrywał się jej mąż.
- Bo niepotrzebnie chciałam być elegancka. Teraz chodzę tylko w klapkach lub sandałkach. Ach! - westchnęła. - Jak tu cudnie!
- Może do nas dołączycie? - zaproponował pan Marek.
- Mamy lepsze zajęcia niż odparzanie nóg. Jutro idziemy na grzyby. A wy tam bawcie się dobrze.
- Wzajemnie, dziewczynki. To darz bór!

Babcia nie byłaby Babcią, gdyby nie dbała o wnuczkę i nie strofowała jej bez względu na to, czy ma do czynienia z małą dziewczynką, czy z absolwentką politologii.

- Załóż coś z długim rękawem, bo jak będziemy łązić po zagajnikach, podrapiesz sobie ręce.
  - Ugotuję się w czymś cieplejszym - narzekała Zuza.
  - To weź jakąś flanelową koszulę ojca.
  - A jak ją rozerwę na gałęzi?
  - Nawet nie zauważy, że mu czegoś w szafie brakuje. Gotowa?
- Joanna zlustrowała wnuczkę, sprawdziła, czy dom został zabezpieczony, i starannie zapięła suwak kieszeni, do której schowała klucze.
- Punktualnie o umówionej godzinie skrzypnęła furтка i na ścieżce pojawiło się dwóch młodzieńców.
- Pozwoliłem sobie zaprosić Artura. Chciał się wykpić, że ma dużo roboty, ale w jego robocie nie odbija się karty, może pracować, kiedy chce. - Jasiek dokonywał prezentacji.
  - To czym się pan zajmuje, młody człowieku? - Zuzance zrobiło się wstyd, że Babcia tak bezpośrednio wypytuje, ale babciom się takie zachowanie wybaczca.
  - Rodzice się uparli, żebym został lekarzem, ale widać Opatrzność miała względem mnie inne plany, bo nie zdałem na państwowe studia.
  - I co pan robi w związku z tym?
  - Może to i mniej zaszczytne zajęcie, ale pracuję w drewnie. Nieraz, jak chłopaki od Leona robią jakąś murarkę, to ja za nimi później trafiam do klienta robić schody albo z meblami na zamówienie.
  - Może paniom coś trzeba wystrugać? - zachęcał do współpracy Janek. - On naprawdę jest zdolny.
  - Przestań, bo panie pomyśla, że im się narzucamy z robotą. A tak w ogóle, to ja teraz mam tyle zamówień, że nie nadążam. Nie żebym się wymawiał, tylko tak od ręki to byłoby trudno.
  - Dziękujemy za propozycję, ale już tu wszystko mamy ogarnięte...
  - ...Chyba że renowacja szafy - Zuza weszła Babcie w zdanie.
  - A możemy o tym porozmawiać, chodząc po lesie? - Jasiek zapraszającym gestem otworzył furtkę.

Zanim przeszli przez mostek i dalej szosą w znane Jankowi rejony, gdzie miały być grzyby, wszyscy byli już w świetnej komitywie. Artur obiecał obejrzeć szafę, a Babcia umówiła się z Jaśkiem, że pomoże mu przy szykowaniu grzybków do octu... Jeśli jakieś znajdą.

Rozeszli się w szeroką tyralierę, będąc od siebie oddaleni w zasięgu głosu i wzroku, pilnując, żeby się nie zgubić. Pomagał im w tym Rysiek, biegając pomiędzy nimi, jakby sprawdzał listę. Grzybów co prawda nie było wiele, ale trafiały się z taką częstotliwością, żeby zachęcać do dalszego poszukiwania. Zuzanka stwierdziła, że bez względu na to, ile znajdzie, i tak będzie to bardzo miły poranek. Jak każdy mieszczuch zachwycała się majestatem lasu, jego kolorami, zapachami i odgłosami. Jedynie nierówny teren i wszechobecne pajęczyny psuły jej wrażenie. Potykała się na górkach i dołkach, kijem odgarniała pajęczne sieci. Choć pozostali towarzysze grzybobrania byli od niej daleko, to miała poczucie ich obecności i nie bała się ani lasu, ani odosobnienia.

Do czasu.

Biegający między nimi pies właśnie znalazł się w pobliżu Zuzanny. W ciągu całej wyprawy zadowolony, wymachujący ogonem, z radosnym błyskiem w oku, raptem zatrzymał się, zjeżył sierść i uniósł przednią łapę w myśliwskim geście wystawiania zwierzyny. Chwilę trwał w bezruchu, po czym warknął złowieszczo. Zuzance serce zamarło. Nie wiedziała, jakie zagrożenie się pojawiło, jednak z zachowania psa wywnioskowała, że dzieje się coś złego. Rysiek przywarł do ziemi i powoli, jakby się skradając, zmierzał w kierunku ogromnej karpki. Zuza, wstrzymując oddech, śledziła jego poczynania. Wyglądało na to, że pies w pewnym momencie się rozluźnił, obiegił dookoła jakąś stertę nie wiadomo czego, zatrzymał się nad nią i krótko szczeknął, jakby nawołując, żeby podejść i podziwiać jego znalezisko. Z wielkim niepokojem, rozglądając się na boki, Zuzanka zbliżyła się do psa. To, co zobaczyła, wywołało niekontrolowany, choć stłumiony krzyk.

– Jezus, Maria!

Skryty za karpą, zapadnięty w głębokim mchu leżał strzęp człowieka. Mężczyzna był uwalany ziemią, cały pokrwawiony, nie ruszał się i trudno było na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy oddycha. Zanim dziewczyna zbliżyła się do niego, uważnie rozejrzała się wkoło. Niczego niezwykłego nie zauważyła – las żył swoim życiem i tylko leżący u jej stóp... być może trup nie pasował do reszty otoczenia. Pochyliła się nad ciałem i przyglądała się ruchom jego klatki piersiowej. Choć niewyraźne, to jednak były.

– Boże, trzeba wezwać pogotowie – Zuzanna sięgnęła do kieszeni po telefon. W tym momencie nieprzytomny, jak jej się wydawało mężczyzna żelaznym uściskiem chwycił ją za rękę.

– Nie powiadamiaj nikogo. Nikogo! – podkreślił twardo i na dobre stracił przytomność.

– Ludzie! – krzyknęła Zuzka, w czym zaczął jej szczekaniem wtórować Rysiek. – Babciu, Jasiek, hop, hop!!!

Jak to, nie powiadamiać? Sama sobie w środku lasu nie poradzi z udzieleniem pomocy. Może nie powiadamiać pogotowia, ale kogoś w ogóle to musi.

Po krótkiej chwili zaniepokojeni jej nagłym wezwaniem pojawili się wszyscy grzybiarze.

– Co tam znalazłaś? – spytała zbliżająca się Joanna, która zjawiła się pierwsza.

– Nie co, tylko kogo.

– O mój Boże! – Babcia chwyciła się za serce, a koszyk z grzybami wypadł jej z rąk.

Nadchodzący chłopcy, widząc jej reakcję, przyspieszyli, by sprawdzić, co wywołało takie przerażenie kobiet.

– Ja pierdolę! – wyrwało się Arturowi.

Jasiek, nawykły do stosowania wyuczonych procedur, najpierw fachowo sprawdził puls, zajrzał w źrenice, obmacał kości. Poza powierzchownymi uszkodzeniami naskórka i poważnymi stłuczeniami nie stwierdził żadnych ran ciętych ani postrzałów. Stan organów wewnętrznych trudno było na oko ocenić, jednak obmacane żebra wydawały się niepołamane. Krew, która wywoływała tak upiorne wrażenie, pochodziła z rozciętego łuku brwiowego i rozbitego nosa. Dodatkowy efekt wywoływały

silnie spuchnięta warga i równie opuchnięte i zasiniałe oko. Sygnałem o największym niebezpieczeństwie była utrata przytomności. Mogła świadczyć o poważnych urazach zagrażających życiu.

– Potrzebne pogotowie – zawyrokował.

– On nie chciał pogotowia – na wpół oniemiała Zuzka przekazała wolę nieprzytomnego.

– Co znaczy „nie chciał”, bez pogotowia długo nie pociągnie – Janek już szykował telefon, żeby wybrać numer.

– Zaczekaj – Zuzka chwyciła go za rękę. – On to tak powiedział, że chyba ma jakiś powód, żeby nie chcieć do szpitala.

Janek zamyslił się. Na jego czole pokazała się pionowa zmarszczka. Babcia i Artur w napięciu czekali na decyzję.

– Wczoraj rano... – Jasiek stuknął telefonem w dłoń i ważył każde słowo – ...mieliśmy wezwanie ze dwa kilometry stąd. W górze rzeki – ruchem głowy wskazał kierunek. – Policja nas ściągnęła, bo znaleźli dwa samochody. Dokładniej jeden samochód rozbity z zakleszczonym poszkodowanym w środku i ślady drugiego prowadzące wprost do wody. Wycieliśmy tego faceta, co był na brzegu. Karetką zabrali go do Miasta. A nurkowie z oddziału ratownictwa wodnego wyciągnęli wrak. Nie był pusty.

– O Boże! – Babcie całe zajście przerażało.

– Słuchajcie... – Janek jak na młodego beztróskiego chłopaka był nadzwyczaj poważny. – Ten człowiek mógł mieć powód, żeby unikać wszelkich służb.

– Ale to nie morderca? – Zuzka domagała się zaprzeczenia swoich domysłów.

– Tego zagwarantować nie mogę. Chociaż... Tam wszystko było stratomane i wszędzie pełno krwi. Myślę, że to raczej ofiara. Morderca byłby w lepszym stanie. Poza tym ktoś ten samochód stoczył do wody i nie mógł być tak zdemolowany jak ten tu, bo nie dałby rady.

– To co robimy? – trzeźwo zapytał Artur.

– Tak czy inaczej nie możemy go tak zostawić.

– Tylko jak go stąd zabrać? Samochodem nie pojedzie.

Faktycznie, ukształtowanie terenu znacznie utrudniało nawet chodzenie po lesie, a co dopiero mówić o jeździe samochodem, choćby terenowym. Były to okolice nasilonych walk partyzanckich, a front przewalał się wte i wewte. Starzy mieszkańcy Wioski opowiadali, że trzy razy ich różne wojska wyzwały. Las porośnięty był liniami okopów i podziurawiony lejami po bombach. Choć porośnięty roślinnością, nie dawały zapomnieć o historii tych ziem. Stanowiły trudny teren, za trudny dla jakiegokolwiek auta.

– No dobra – zdecydował wreszcie Janek. – Na szczęście to niedaleko, bo zatoczyliśmy kółko i Wioska jest blisko. Weź mój koszyk. – Wręczył kobiałkę Arturowi. – A ja wezmę jego.

Nie bez wysiłku przerzucił sobie wiotkie ciało mężczyzny strażackim chwytem przez plecy i uważając na każdy krok, ruszył przodem do wsi.

Na skraju lasu, tuż przed mostem zatrzymał się. Dla reszty pochodu było to sygnałem, by też stanąć. Jasiek był czerwony i cały zły potem, ale trwał z tym ogromnym obciążeniem dzielnie.

– Zastanawiam się, co z nim zrobimy. Lepiej byłoby, żeby za dużo ludzi nas nie widziało.

– Raczej nie będziesz z nim tak paradował przez pół wsi. U mnie matka by chyba trupem padła, jakbyśmy go tam zanieśli – Artur zajął w twarz poszkodowanego, szukając oznak życia.

– Nie wystarczy go gdzieś położyć, trzeba się będzie nim jeszcze zająć – rozsądnie analizował sytuację Jasiek, chociaż ciężar doskwierał mu już bardzo.

– Nie ma się co zastanawiać, chłopcy – podjęła decyzję Babcia. – Nasz dom jest najbliżej. Nikt do nas nie zagłąda, nie mamy żadnych wizyt, syn z Anią tak szybko nie wróca. Poza tym, trochę z harcerstwa te medyczne czary-mary pamiętam, więc damy radę.



– A jak wam umrze? – trzeźwo zauważył Artur.

– To powiemy, że właśnie przyszedł nie wiadomo skąd. Nawet nie całkiem skłamiemy. Teraz i tak można.

Jasiek, szczerze mówiąc, był już tak zmęczony, że z ulgą przyjął wiadomość o kresie podróży. Zanim znaleźli się za ogrodzeniem, rozejrzeli się, czy nikt ich nie widział. Mieli szczęście – o tej porze wszyscy we wsi zajęci byli swoimi obowiązkami.

Decyzja, gdzie położyć poszkodowanego, była łatwa. Postanowiono wykorzystać pokój gościnny, przygotowany na dole na wypadek dłuższych wizyt znajomych. Od salonu oddzielał go krótki przedpokój, a przez ścianę miał łazienkę. Co prawda nie był jeszcze wyposażony w żadne sprzęty poza starym łóżkiem, niewielkim stolikiem, dwoma krzesłami i pustą komodą, ale w tej chwili żadne inne meble nie były tu potrzebne.

Kobiety bez słowa przygotowały pokój na przyjęcie lokatora. Otworzyły okno, wpuszczając świeże powietrze, jednocześnie opuściły rolety, żeby złagodzić upał. Łóżko wyścieliły kocem, na którym chłopcy ułożyli mężczyznę. Jęknął, gdy jego ciało opadło na posłanie.

Jasiek rozprostował obolałe kości.

– Jutro nie będziesz mógł się ruszyć – straszyl go przyjaciel.

– Najważniejsze, żeby on jak najszybciej się ruszył, o mnie się nie martw.

Chwilę cała czwórka stała w milczeniu nad nieprzytomnym. Pierwsza ocknęła się Babcia.

– Przecież nie będzie tak sobie tu leżał – zauważyła. – Trzeba go obmyć, rozebrać z tych powalanych ciuchów, porządnie zbadać, czy nie połamany...

– Sami medycy, jego mać, a leczy faceta nie ma komu – Artur przesunął krzesło, żeby nie tarasowało swobodnego dostępu do łóżka. – Trzeba by go było prześwietlić.

– Chyba latarką – ironizował Janek. – Skąd weźmiesz rentgen, jeśli nie chcesz wtajemniczać w to oficjalnej służby zdrowia?

– Od nieoficjalnej – padła odpowiedź.

– Czyli co?

– Zatopek ma rentgen. I to przenośny. Jak krowa u Rafalskiego okulała, to przyjechał do niego z takim urządzeniem – pokazał orientacyjne gabaryty. – Pomagałem krasulę przytrzymać, bo się tak gadzina bała, że mało nie rozwalila obory. Wiązaliśmy ją za rogi i zdrowe nogi do kojca.

– No to trzeba Zatópka dopuścić do tajemnicy – myślał na głos Jasiek.

– Chyba ci rozum odjęło! – zaoponowała Zuzanna. – Jeśli dowie się Zatópek, to i Zatópkowa, a za nią cała wieś. Przecież to największa plotkara, jaką znam.

– A tak na macanego nie da się stwierdzić, czy kości całe? – Babcia szukała bezpiecznego rozwiązania.

– Ręce i nogi to chyba całe, ale ubranie uwalane w ziemi, mogli go kopać po żebrach, a tego tak na oko nie da rady sprawdzić. Jeśli mu odbili nerki, to będzie krew w moczu. Poza tym złamane żebro może przebić płuco albo co...

– O co albo co... – przedrzeźniała Zuzka. – Do sądu ostatecznego będziecie tak stać, czy bierzemy się do roboty? Idę po miskę. I zobaczę, czy oprócz plastra na odciski mamy coś w apteczce.

– Ja go mogę umyć, ale chyba zręczniejsz byłoby, gdyby chłopina nie musiał się wstydzić, jak się ocknie, że go baby oglądały – Babcia Joanna poniekąd wymusiła na chłopcach zaangażowanie się.

Jasiek spojrział na zegarek.

– Dobra – zdecydował. – Ogarnę go, opatrzymy i będę musiał lecieć do ojca do szpitala. Wczoraj miałem służbę, to nie byłem, a dziś myślałem, że pójdę po grzybobranie, a trochę nam się przeciągnęło. Dawaj tę wodę – machnął ręką na Zuzannę, która właśnie wróciła z pełną miską. Pod pachą miała mydelniczkę, a przez ramię przerzucony ręcznik. – Wynocha, że tak grzecznie powiem.

Janek bezceremonialnie wyprosił kobiety z pomieszczenia. Niespełna pół godziny minęło, gdy pacjent umyty i opatrzony leżał w czystej pościeli, a jego ubranie z grubsza oplukane pod szlauchem z błota i zastygłej krwi teraz obracało się w bębnie pralki. Zanim tam trafiło, komisyjnie opróżniono kieszenie. Nie było w nich ani portfela, ani telefonu. Znaleźli jedynie pendrive, połamaną paczkę tiktaków, jakąś śrubkę i zmiętą chusteczkę do nosa, z której wypadła karta pamięci. Wszystkie te precjoza skrupulatnie ułożono na stole w zasięgu wzroku właściciela, gdyby się ocknął.

– Muszę lecieć – oznajmił Jasiek.

– Mówiąc szczerze, też powinienem się pokazać w domu. Nie będą się panie bały zostać same z tym facetem? – Artur aż palił się do wyjścia, jednak przyzwoitość nakazywała zainteresować się kobietami.

– Nieprzytomny nic nam nie zrobi. Bardziej obawiałabym się tych, którzy go tak urządzili – Babcia była nad wyraz pragmatyczna.

– Dlatego lepiej, żeby nikt więcej się o nim nie dowiedział. Jak wrócę ze szpitala, to tu zajrzę. Jeśli panie pozwolą, oczywiście.

– Oczywiście, pozwolimy. – Zuskę przerożała cała ta sytuacja, jednak nadrabiała miną.

Odprowadziła chłopców do furtki. Gdy się zegnali, kątem oka zauważyła Jolkę, patrzącą na nich z nieukrywaną wrogością.

Zuzanka wróciła do domu z niemylm wrażeniem zagrożenia.

– Jeśli mamy udawać, że tu nikogo nie ma, to życie musi toczyć się normalnym trybem – Joanna usiłowała przywrócić ją do porządku. – Ja tu uprawię te wszystkie grzyby, a ty wyciągaj kurczaka z zamrażalnika, bo trzeba chłopu nagotować rosółu.

Wykonywanie codziennych czynności przywróciło pozory normalności i pozwoliło zapomnieć o traumie. Panująca cisza, którą tylko na chwilę przerwał warkot przejeżdżającego opodal motocykla, wpływała na kobiety kojąco. Ani się spostrzegły, gdy skrobiąc młodą włoszczyznę i zdejmując skórki z masłaków, zaczęły podśpiewywać „Dumkę na dwa serca”.

Obie panie Nowak zdawały sobie sprawę z tego, że Janek nie pojawi się tak szybko. Zanim pokona drogę do i ze szpitala, zresztą nie wiadomo czym, zanim porozmawia z ojcem, a może jeszcze z lekarzami, a przecież przy łóżku chorego też trzeba chwilę posiedzieć – toż nie wpadnie i nie wypadnie... Jednak czas jego nieobecności dłużył im się denerwująco. Co chwilę jedna z nich zerkała w okno albo wychodziła na taras, żeby rzucić okiem na mostek, czy ktoś nie jedzie, albo biegła do pokoi na tyłach domu, żeby stamtąd wyrzecz na drogę od strony wsi. Na szosie panował zwykły ruch mieszkańców, a jedyną odmianą tuż przed zmrokiem był widok czarnego BMW majestatycznie sunącego środkiem drogi.

– Ktorego chłopca stać na taki wózek? – zastanawiała się Joanna.

Rolnicy to raczej praktyczny naród. Jeśli inwestują, to w maszyny do gospodarstwa. Samochód, nawet taki, którym mają się pokazać pod kościołem, nie służy im do szpanowania bogactwem przed sąsiadami. Poza tym nie ma tu czym szpanować. Wioska, sądząc po obejściach, nie należy do najbogatszych. Owszem, nie ma biedy, walących się płotów ani zapadniętych chałup, ale, z wyjątkiem ich domu, budynki mieszkalne to tradycyjna polska zabudowa, mniej więcej według jednej sztancy. Joanna co prawda nie znała wszystkich mieszkańców, ale takie auto nie pasowało do żadnego z nich.

Nie miała czasu zastanawiać się nad pochodzeniem i przeznaczeniem czarnej limuzyny, gdyż przy ich furcie pojawiła się pani Zatopek. Dziś dla odmiany cała w błękitnych falbanach. Z daleka machała na powitanie.

– Och, kochaneńkie, czy wam też ten upał tak doskwiera? – wymownie spojrzęła na dyżurny dzbanek z domową lemoniadą.

Zuzanna usłuźnie napełniła szklanki. Weterynarzowa wychyliła zawartość niemal jednym haustem.

– Hmm... Ciepła – stwierdziła z niesmakiem.

– Już tu chwilę stoi, to zdążyła się zagrzać – usprawiedliwiała się, nie wiedząc czemu Joanna.

– Wpadłam na chwileczkę, żeby panią zaprosić na partyjkę brydzyka. W czwartek wieczorkiem spotykamy się u sołtysowej. Danuśka robi przepyszne paszteciki. Mogę jeszcze lyczka? – podsunęła pustą szklankę.

– Naturalnie – Joanna uzupełniła naczynie. – Pojutrze, powiada pani... – Tu Babcia spłoszonym wzrokiem odnalazła Zuzankę. Ta tylko nieznacznie skinęła głową. – Chętnie. Dawno nie byłam w miłym towarzystwie, to będzie okazja, żeby przewietrzyć korale.

– No to jesteśmy umówione. Tak na dziewiętnastą zapraszam. Do sołtysowej znaczy. – Zatopkowa wstała od stołu i kierując się do wyjścia, zauważyła na rozłożonej pod drzewami suszarce męskie ubrania.

– Myślałam, że pan Marek wyjechał – poprawiła na ramieniu plażowy koszyk z niebieską wstążką w odcieniu sukni.

Joannę nieco zezłościło to nagłe zainteresowanie sąsiadki. Jako matce pochlebiało jej, że syn ma powodzenie u kobiet, ale lojalność wobec synowej i poczucie odpowiedzialności za całość i szczęście rodziny nie pozwalały na tolerowanie takiego natręctwa.

– Mój syn rzeczywiście wyjechał. Z żoną. A ubrania trochę ucierpiały w czasie przeprowadzki. Niby już się zagospodarowaliśmy, ale jeszcze nie wszystko jest rozpakowane. Zwłaszcza zimowe ciuchy. Myślę, że nie mamy się po co spieszyć i wszystko będziemy urządzić stopniowo.

– Naturalnie. No to do czwartku. Pa – pożegnała się Zatopkowa, tym razem na dobre.

– Pa – mruknęła niezbyt przyjaźnie Joanna, sprząając szklanki. – Co za wścibska baba – sarkała. – Gdyby nie to, że dobrze gra w brydża, to wołałabym jej nie oglądać.

– Szczególnie teraz, kiedy może nas wydać – Zuzanka nie wiedząc czemu trwożliwie rozejrzała się po okolicy.

Jej czarne myśli zagłuszył hałas motocykla. Postać w białym kasku zjechała z mostu i zniknęła gdzieś wśród domostw.

– Początkowo miałam obawy, czy mogę cię zostawić samą, żeby iść na tego brydża, ale wydaje mi się, że musimy się zachowywać, jakby nigdy nic. Boże, żeby on wydobrzeł szybko i niech się już wyjaśni, skąd się wziął w tym lesie, bo ja sama się czuję jak przestępca. Zajrzyj do tego Anonima. Martwi mnie coraz bardziej, bo coś u niego za długo trwa ta śpiączka.

Zuza posłusznie poszła do pokoju gościnnego. Niepewnie uchyliła drzwi i wsadziła głowę przez szparę. W pomieszczeniu nic się nie zmieniło, oprócz tego że ze stołu zniknęły znalezione w kieszeni poszkodowanego pendrive i karta pamięci. Były tu, kiedy poprzednim razem zaglądała, już po wyjściu chłopaków. Czyli to nie żaden z nich. Zuzanna rozejrzała się uważniej. Nie zauważyła żadnych oznak obecności kogoś obcego. Okno było uchylone, a doniczka ze skrzydłokwiatem stała w takim miejscu parapetu, że nie sposób byłoby wejść czy wyjść ani sięgnąć przez okno. Zajrzała pod łóżko – nic.

– Duchy – pomyślała.

Jedyną oznaką życia było brzęczenie zbłąkanego komara. Dziewczyna podeszła do łóżka. Chory nadal leżał bez ruchu z zamkniętymi oczyma, jednak jego oddech był pewniejszy, a przerażająca błądź skóry ustąpiła miejsca niezdrowemu rumieńcowi. Zuzanka nie była pewna, czy mężczyzna jest nadal nieprzytomny, czy tylko śpi. Za plecami usłyszała kroki Joanny. Babcia zbliżyła się do chorego i łagodnym gestem położyła mu dłoń na czole.

– Chyba ma gorączkę. To niedobrze – stwierdziła.

– Czyli co teraz? – Zuzanna czuła się całkowicie bezradna.

– Nic – padła krótka odpowiedź. – Trzeba przeczekać.

– Może jakiś antybiotyk? – zasugerowała dziewczyna.

– Skąd? A poza tym to nie zapalenie płuc, tylko pobicie. Mam tylko nadzieję, że nie sepsa. Co prawda ziemią miał ubrudzone ubranie, a rany były raczej czyste, ale grom go wie.

Dzwonek przy furtce oderwał je od chorego.

– Dały sobie panie radę? Wszystko tu w porządku? – Janek był lekko zdyszany. W jasnym T-shircie opinającym ciało prezentował się niemal atletycznie.

Zuzanna, rejestrując jego umiśnienie, przestała się dziwić, skąd miał tyle siły, żeby przytaskać Anonima z lasu, choć chłop też nie ułomek.

– Nic nie jest w porządku – odpowiedziała lekko historycznie. – Miałam zażywać wakacji, odpoczywać beztroško i szaleć przed dorosłym życiem, a tu mam obcego faceta na karku, prawie trupa, i problemy z przestępcami.

– Zdaje się, że właśnie tak ci się to dorosłe życie zaczęło – posumowała Joanna. – Zje pan z nami rosółku? Co prawda trochę oszukany, bo na samym kurczaku, ale całkiem niezły.

– Mówiąc szczerze, chętnie skorzystam z zaproszenia, bo w szpitalu mi zeszło trochę dłużej, a chciałem jak najszybciej wrócić tu do was, żeby zdać relację. Nie pomyślałem nawet o zakupach. Nic to, coś tam w lodówce zawsze się znajdzie na kolację, a rano skoczę do sklepu Wrońskich, to przeżyję.

Usiedli do stołu. Parujący rosół klócił się z pogodą, ale smakował wybornie.

– Jutro zrobię chłodnik, bo kto to słyszał jeść zimowe zupy w taki upał. Ale szykowałam to dla naszego gościa – Babcia wskazała w kierunku pokoju, w którym leżał poszkodowany. – Czy jest jakiś sposób, żeby nie wywołując żadnego zagrożenia dla nikogo, dowiedzieć się, kto to i skąd się wziął?

– Ostrzegam, żeby nawet nie próbować nikogo wypytywać. Jak byłem u ojca, to się takich rzeczy dowiedziałem, że mi się odechciało pomagać komukolwiek w czymkolwiek. – Janek upewnił się, że jego słowa wywołują właściwy efekt.

Zaciekawione kobiety słuchały z niepokojem.

– Mnie w tym szpitalu wszyscy znają, szczególnie ci, którzy jeżdżą do wypadków, bo co jakiś czas spotykamy się przy różnych karambolach. Jak kierowca zobaczy kawałek prostej drogi, to nie patrzy, tylko grzeje bez opamiętania. Nic dziwnego, że mamy tu w okolicy wezwania do zdarzeń drogowych przynajmniej raz na dwa tygodnie. Jak nie wycinać poszkodowanych, to spać chemię na rozlane paliwo i olej, żeby następni nie wpadli w poślizg. Przy pożarach też się spotykamy z tymi z pogotowia, więc już jesteśmy za pan brat. Dzięki tym znajomościom to mojemu ojcu założyli lekki gips na nogę, bo tak normalnie, to nawet nie zaproponują, żeby zapłacić te parę złotych, tylko ładują w beton. No więc spotkałem ratownika z karetki, która zabierała tego gościa znad rzeki. Sprawa na odległość pachnie kryminałem, więc facet, znaczy ten co go wycinaliśmy, jest pod specjalnym nadzorem. Może się nim zajmować tylko wyznaczony personel i pod drzwiami postawili mu anioła stróża. Ponoć już się nim jakiś szemrany typ interesował i wypytywał. I o tego naszego prawdopodobnie też, tylko kumata pielęgniarka spłoszyła dziada. Ten ratownik ma szwagra w jakichś służbach w Mieście i mówi, że tego wyłowionego to łączą jakieś porachunki z dłużnikami czy jakąś inną mafią. Po tym wypadku jeszcze dwóch jest poszukiwanych. Zaginieni to jeden z tych bandytów i jeden, co tę ich siatkę rozpracowywał.

– Jezus, Maria – Joanna wystraszyła się nie na żarty – wszystkich nas tu wymordują.

– Całkiem być może, więc może lepiej... Przepraszam – rozmowę przerwał telefon Janka.

Chłopak przyjął połączenie.

– No? – rzucił do słuchawki. Chwilę wsłuchiwał się w słowa rozmówcy, a jego twarz robiła się coraz bledsza. – Dzięki, stary, uważaj na siebie.

Nowaczki domyśliły się, że rozmowa miała związek z ich podopiecznym.

– I co? – przynagliła Zuzka do wyjaśnień.

– Uprawdzili tego wyciętego. Ponoć sterroryzowali personel na oddziale, poturbowali ortopedę, który próbował ich zatrzymać, ale na szczęście nikomu nie zrobili większej krzywdy. Skończyło się na siniakach i ukruszonym zębie. Kurwa – nie wytrzymał napięcia Jasiek. – Przepraszam – zreflektował się. – Słuchajcie, ja myślę, że w tej sytuacji, to nie możecie się narażać. Wzywamy gliny.

– A jeśli ten nasz to właśnie glina? – zasiała wątpliwość Joanna.

– A jeśli bandyta? – Zuzka już sama nie wiedziała, co myśleć.

– Chyba nie chcecie czekać, żeby się na własnej skórze przekonać, z kim macie do czynienia?

Jankowi trudno było odmówić racji, jednak Babcia władczym gestem uniosła dłoń.

– Zaczekajcie! – powstrzymała pochopne działanie. Utkwiła nieobecny wzrok gdzieś w głębi ogrodu. Nieomalże słychać było, jak myśli. Zmarszczone czoło i zastygła sylwetka czyniły ją niemal natchnioną.

Młodzi wpatrywali się w nią ze skupieniem, czekając, co im za chwilę objawi.

– Trzeba słuchać intuicji – odezwała się wreszcie. – A intuicja mi podpowiada, że mamy siedzieć na dupie i udawać, że nic się nie stało.

– Baaciu, mogłabyś się nie wyrażać przy obcych – zwróciła jej uwagę Zuzanna.

– Cicho, smarkata – choć znaczenie Babcinych słów było lekceważące, to intonacja wskazywała na coś zupełnie odwrotnego. – Po pierwsze, on nie jest żaden obcy, bo łączy nas braterstwo krwi. A tak dokładnie, to krwi tego tam – wskazała w stronę pokoju. – A po drugie, to dzieckiem nie jest i kilka wyrazów też już zna, co miał okazję zaprezentować.

– Przepraszam – sumitował się Janek.

Babcia tylko machnęła ręką i wstała od stołu, żeby zajrzeć do chorego. Młodzi podreptali za nią. Lekko zagubieni przysiedli wokół. – Joanna przycupnęła na brzegu łóżka, młodzi na krzesłach. W milczeniu i całkiem bez sensu wpatrywali się w opuchniętą twarz.

– Zostanie mu blizna na brwi – zauważyła Joanna.

– Dobrze, że nie stracił oka. Aż granatowe – Jasiak przyglądał się mężczyźnie. – Trzeba go będzie ogolić – zauważył zupełnie bez związku, bo wygląd był teraz najmniejszym problemem Anonima.

Gdy tak gapili się na niego, nagle drgnęły mu powieki i otworzył oczy.

– W imię Ojca i Syna – przeżegnała się Joanna. – Żyje.

Nieznamy powiódł zmrużonymi oczami po zgromadzonych, ale nie miał siły na żadną reakcję.

– Pić – wyszeptał.

Na to hasło kobiety rzuciły się do kuchni.

– Woda z miodem – zaordynowała Joanna.

Gdy wrócili, Janek wprawnymi dłońmi obmacywał brzuch pacjenta. Ten tylko nieznacznie krzywił się z bólu, ale nie było to sygnalizowaniem obrażeń wewnętrznych, tylko reakcją na urażenie kontuzji.

– Na wszelki wypadek tylko po łyżeczkę – przestrzegł chłopak.

– A może rosółku? – zaproponowała Babcia.

– Dopiero jutro. Witaj wśród żywych – Janek poklepał mężczyznę po dłoni. – Nie martw się, jesteś tu bezpieczny.

– Dzięki – wyszeptał pobity i ponownie odleciał. Tym razem w ozdrowiający sen.

Cała trójka odetchnęła z ulgą, zdając sobie sprawę, że nieznamy przynajmniej im nie umrze. Jednak ich niepokój nie został całkowicie rozwiązany.

– Przyprowadzę do was Ryśka. Zamieniłem się z kumplem na dyżury, bo będę musiał odebrać ojca ze szpitala, więc jutro i tak mnie tu nie będzie. Nawet dobrze się składa, że morda nie będzie sama w domu siedziała. Panie będą się czuły bezpieczniej, a futrzak nie będzie dziczał. Tylko proszę go nie przekarmiać. Ja wszystko co potrzebne przyniosę.

I rzeczywiście, po kilku minutach zjawił się ponownie z psem i z całym jego wyposażeniem.

– Zostań – wydał komendę.

Pies posłusznie przysiadł na zadzie i grzecznie czekał, aż jego pan pożegna się i wróci do siebie. Gdy tylko zniknął, zwierzę rozejrzało się przytomnie po otoczeniu, zakręciło, pozwiedzało wszystkie kąty w pomieszczeniach na dole, po czym ułożyło się przy łóżku chorego.

Panie Nowak stwierdziły, że mogą ich zostawić sam na sam i również udały się na spoczynek.

Ledwie sprzątnęły po śniadaniu. Zuzanna wróciła do siebie, by podlać kwiaty, zanim upał wtargnie do jej pokoju. Na dole Joanna zamiatała taras, gdy zaalarmowało ją krótkie szczeknięcie Ryśka. Zwabiona psim wezwaniem weszła do pokoju gościnnego. Rysiek zadowolony machał ogonem, a ich dziwny podopieczny powitał ją spojrzeniem przytomnych oczu. Nie miał siły się unieść, a tym bardziej wstać, jednak patrzył trzeźwo. Widać po nim było, że wraca do siebie.

– Gdzie jestem? – spytał po chwili.

– W bezpiecznym miejscu – odparła. – W każdym razie, dopóki my jesteśmy bezpieczne, tobie też nic nie grozi.

– A jeśli nie?

– To sama zabiję cię gołymi rękoma.

I choć trudno było wyobrazić sobie Babcie, jak morduje rosnącego faceta, to jednak ten leżący tutaj nie miałby za grosz siły, żeby walczyć o życie.

– Chyba jestem głodny. – Widać niezbyt przejął się groźbami.

– Nie chyba, a na pewno. I nie dziwię się... Zuzanka!!! – krzyk Joanny umarłego postawiłby na nogi, ale ich gość był tylko LEDWIE żywy, ewentualnie LEDWIE martwy, więc jego nie postawił.

Zuzka zaniepokojona takim wrzaskiem w okamgnieniu znalazła się przy Babci.

– Co się stało? – z trudem łapała oddech, bardziej z przerażenia niż z wysiłku w pokonaniu schodów, szczególnie, że w dół.

– Mamy dla ciebie dobrą nowinę – oznajmiła Babcia.

– Ooo! Ocknął się – zauważyła dziewczyna dopiero w tej chwili.

– I jest głodny, znaczy zdrowieje.

– I alleluja!!! – Zuza wzniosła oczy do nieba. – Zrobię jakies kanapki.

– Chyba raczej kaszkę na wodzie. No okej, może być i na mleku.

– Nie mamy kaszki – przytomnie zauważyła Zuzka

– Muszę wstać – ranny przerwał ich dywagacje.

– No to mamy problem – Joanna realnie oceniała siły kobiet w transportowaniu gościa do łazienki. – Wytrzyma pan chwilę?

– Chwilę – przytaknął.

– Dzwon po Jaśka, ja się biorę do śniadania – Babcia czuła się w swoim żywiole, kiedy mogła dyrygować domownikami.

– Jasiek ma służbę, dzwonię po Artura – Zuzka pognęła po telefon.

Artur zjawił się prawie natychmiast. Kiedy podchodził do furtki, znikąd pojawiła się Jolka.

– Co? W konkury? – rzuciła złośliwie i oddaliła się w stronę swojego domu.

– Cholera, trzeba na nią uważać – pomyślał Artur i ruszył z odsieczą Nowaczkom.

Toaleta zajęła poturbowanemu ponad pół godziny i wyczerpała go tak, że na śniadanie nie miał już siły. Musiał odpocząć, więc ponownie ułożony w pościeli zasnął pod opieką czujnego Ryśka.

– Byłem rano u Wrońskich po pieczywo – relacjonował Artur. – Podjechali jacyś faceci wypasioną bryką i wypytawali Drogowskiego i Mostowskiego, co to zawsze siedzą przed sklepem. Że niby kolegi szukają, co na urlop tu w okolicy przyjechał i, czy przypadkiem chłopaki go nie widzieli. Zatrzymałem się i grzebałem w portfelu. Udawałem, że pieniądze mi się nie zgadzają, żeby posłuchać, co im który powie. I Mostowski, taka gadatliwa ropucha, cały zyciorys by im opowiedział. On jest taki spragniony rozmowy, że niepytany papie jak baba. I mówi im, że żadnych obcych tu nie ma, a nowi, to tylko Nowaki, czyli znaczy wy. Ale tam same baby teraz zostały, mówi, i letniaków żadnych nie przyjmują.

I jeszcze mówi, że niech się lepiej przyjrzą, jaką chałupę ten nowy Nowak wywalił, bo, mówi, takich domów to się dla letniaków nie buduje, tylko dla siebie. No to oni go pytają, czy może gościa jakiegoś sobie nie zaprosił, a Mostowski mu na to, że nie zaprosił sobie, bo sam wyjechał. Idiota! Tak się właśnie napuszcza złodziei na dom. Według mnie to panie teraz muszą się tu zamykać na cztery spusty, bo jak ci obcy usłyszeli, że same kobiety w takim wielkim domu zostały, to mogą się połaścić.

– Ale na co? Poza tym, że dom porządny, to my tu nie mamy żadnych bogactw – zdenerwowała się Joanna. – Wciąż się przeprowadzamy z miejsca na miejsce, to ani porządnymi meblami, ani kosztowności. Co tam, te dwa pierścionki, to Ania ze sobą zabrała do Grecji. Pieniądże przecież w banku. Stary laptop chcę kraść?

– Może w ogóle niczego nie chcę kraść. Tylko tak gadam, na wszelki wypadek, żeby jednak uważać. My z Jaśkiem też będziemy mieli oko, ale cały czas nie możemy tu siedzieć, bo każdy ma swoją robotę. Å propos, musimy lecieć. Wpadnę koło południa i później pod wieczór. A jakby co, to dzwonicie.

W południe przyjechała zamówiona jeszcze przez Marka ekipa do montowania zraszaczy. Wszyscy jakoś zapomnieli, że mają termin na dziś.

– Tylko ich mi tu brakowało – Zuza starannie złożyła ubranie gościa i zaniósła mu do pokoju, po czym wróciła, żeby sprzątnąć suszarkę. – Mam tylko nadzieję, że nie będą mieli potrzeby pętać się po domu.

Ekipa składała się z prawdziwych fachowców. Mieli ze sobą wszystko co trzeba i z werwą zabrali się do roboty. Pomimo upału sprawnie rozprowadzili rurki, prawie nie niszcząc przy tym trawnika. Pasma wykopywanej darni odkładali na rozłożoną folię, a po rozciągnięciu rur i zasypaniu ich ziemią z powrotem układali na miejscu. Do domu weszli tylko po to, żeby w piwnicy zainstalować pompę Kärchera. Kran do niej w zewnętrznej ścianie już wcześniej przewidzieli hydraulicy przy okazji zbrojenia całego domu. Podpięcie i zaprogramowanie samych spryskiwaczy i komputera oraz czujników wilgoci było jedynie dopełnieniem formalności.

Ach, ta nowoczesność!

Automatyzacja dotyczyła nie tylko podlewania podwórka, ale nawet ustalenia niedogadanych szczegółów. Rozliczenie z firmą też odbyło się elektronicznie – online z Grecji.

Joanna obawiała się, że montaż tak skomplikowanych urządzeń będzie trwał tydzień, tymczasem panowie rozprawili się z robotą jeszcze tego samego dnia. Obie strony zadowolone z wyniku pracy pożegnały się z ulgą – fachowcy, bo mieli dość tyrania w upale i każdy spieszył się do rodziny. Domownicy, bo wreszcie nastąpił względny spokój i można było zająć się doraźnymi obowiązkami, w tym opieką nad chorym.

Trzeba przyznać, że nie był kłopotliwy. Nadal głównie spał. Artur zgodnie z obietnicą zajrzał dwukrotnie, żeby pomóc z męskimi sprawami, a poza pićm i skromnym jedzeniem mężczyzna nie miał żadnych więcej życzeń. W chwilach świadomości nie zadawał żadnych pytań, czym nieco dziwił Joannę. Ona, będąc na jego miejscu, chciałaby wiedzieć, z kim ma do czynienia, jak tu trafiła i co się stało z resztą szemranego towarzystwa. Wyglądało na to, że mężczyzna całkowicie zdał się na swoich wybawicieli. Artur widząc, w jakim stanie pomimo uprania jest ubranie, przyniósł mu dwa swoje podkoszulki i zapasową bieliznę. Zachowała mu się jakaś jeszcze dziewicza w szafie. Mieli wrażenie, że teraz przebrany i wykąpany ich pacjent czuje się chociaż trochę swobodniej. Postępem było, że samodzielnie mógł się odwrócić na bok. Sprawiało mu to ból, ale zaczął się o własnych siłach poruszać, co nie znaczy chodzić.

Nieocenionym opiekunem okazał się tu Rysiek. Samą swoją obecnością dodawał otuchy choremu, gdy zostawali sami. Kładł mu łeb na pościeli, liżał po rękę i trzącał pocieszająco łapą. Kiedy orientował się, że jego podopiecznemu czegoś brak, alarmował którąś z kobiet nawoływaniem wystarczająco dla nich zrozumiałym.

Wieczór mijał tak spokojnie, że wszyscy zapomnieli o jakimkolwiek zagrożeniu. Zuzanka czytała kryminał i nie potrafiła zamknąć książki przed skończeniem. Pomimo późnej pory brnęła przez kolejne stronicie, ciekawa, kto był mordercą i jak go zdemaskują. Powieść trzymała ją w takim napięciu, że kiedy usłyszała odgłos psich pazurów na schodach, aż drgnęła. Uniosła głowę znad książki i w drzwiach swojego pokoju zobaczyła Ryśka. Nie zamykała się, chcąc wywołać chociaż trochę przeciągu w nadal upalne noce. Pies zaskomlał cicho i dał dziewczynie znać, żeby za nim zeszała. Zaintrygowana Zuzka odszukała pod łóżkiem kaptcie i nie zapalając światła, cichutko podążyła za przewodnikiem.

Rysiek zatrzymał się przy drzwiach na taras, „wystawił zwierzynek” i warknął. Zuzka wytężyła wzrok i w ciemnościach dostrzegła skradający się cień. Przeraziła się nie na żarty. W pierwszej chwili rozejrzała się za czymś, co mogłoby jej posłużyć jako broń. Złapała łopatkę z wyposażenia kominka. Z ciężkim argumentem w ręku poczuła się trochę pewniej, jednak nadal kombinowała, w jaki sposób unieszkodliwić włamywacza. Nic nie przychodziło jej do głowy. Zdawała sobie sprawę, że sama, a nawet z Baacią, nie poskromi złoczyńcy. Tym bardziej że może być uzbrojony. Jak na złość telefon zostawiła na górze i nie miała jak wezwać pomocy. Była bliska załamania, gdy niespodziewanie uruchomiły się zraszacze. Intruz wstrząsnął się i zaklął. Zuzce przemknęło przez myśl, że może uda jej się spłoszyć złoczyńcę, wykorzystując efekt zaskoczenia. Dopadła do tablicy rozdzielczej i włączyła oświetlenie ogrodu. Tym razem napastnik nawet nie zdążył krzyknąć. Zatańczył w konwulsjach i padł na ziemię jak marionetka odcięta od sznurków. Równocześnie huknęło i zgasty wszystkie światła oraz wyłączyło się nawadnianie. Zuzanna aż podskoczyła. W jednej chwili przy jej boku pojawiła się biała zjawa w powłóczystej szacie. Nie był to żaden duch, tylko zaalarmowana hałasem Babcia w swojej za dużej koszuli nocnej. W ręku dzierżyła szklaną pozytywkę „śnieżną kulę” wielkości głowy niemowlaka – jedyne narzędzie obrony, jakie miała pod ręką w swoim pokoju. Zdążyła w samą porę, żeby zobaczyć, jak wspólnik podnosi z ziemi gramolącego się i nie całkiem przytomnego napastnika i obaj niezdarnie oddalają się w głąb ogrodu, prawdopodobnie wycofując się w bezpieczne miejsce.

Zuzka wyskoczyła na taras, jednocześnie uwalniając Ryśka. Pies skoczył za intruzami, ale zanim dopadł plotu, ich już nie było.

– Stój, bo strzelam – na wszelki wypadek krzyknęła jeszcze Zuzka i chociaż wyszło jej to nieco piskliwie, miała nadzieję, że odstraszyła napastników skutecznie i więcej tu nie wróca. W każdym razie nie dziś.

– Co się tu stało? – spytała Babcia, odkładając na stół swoją broń.

– Woda i prąd, to nie najlepsze zestawienie – zacytowała ojca Zuza. – Instalując podlewanie, musieli zrobić jakieś przebicie w oświetleniu, bo kiedy włączyłam światła, to go poraziło.

– Super – ucieszyła się Joanna.

– Nie jestem pewna, czy tak super, bo teraz zostałyśmy bez prądu. Oby korki wywaliło tylko nam, bo jeśli poszła cała faza, to pół wsi jest bez światła. Nie wiesz, gdzie jest latarka?

– Nawet jeśli gdzie jest, to pewnie bez baterii, bo nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś jej używał. Czekać, w kredensie coś powinno być.

Joanna zniknęła w kuchni, skąd po chwili wróciła z zapalniczką i kompletem urodzinowych świeczek. Zuzka przyjęła z jej rąk akcesoria, krytycznym wzrokiem spojrzała na ten ekwipunek, w końcu wzruszyła ramionami i zabrała się do naprawiania prądu.

– Świczki jak świeczki – uznała. – Przyświeć mi tu.

– Cześć, dziewczynki. Nie wracamy.

Tymi słowy pan Marek rozpoczął z Grecji seans łączności w czwartkowy poranek.

– Jasne, posiedźcie tam sobie jeszcze, jak wam dobrze – pełna dobrych intencji Joanna zachęcała syna do wydłużenia urlopu.

– W ogóle nie wracamy – sprecyzował Marek.



– Jak to w ogóle? W ogóle, w ogóle? – dopytywała córka.

– W ogóle – potwierdził. – Zostajemy tu.

– Na stałe? – zdziwienie Zuzanny było jak najbardziej uzasadnione.

– Będziemy się odwiedzać. Ale tak w ogóle, to zostajemy tak w ogóle.

– Jak to? – Joanna przysunęła sobie bliżej laptop.

– Kupujemy ten dom, który teraz wynajmujemy i zakładamy tu tawernę – wyjawiał swoje plany Marek.

– Jak to tawernę, dlaczego tawernę? – Nowaczki w Polsce były całkowicie zdezorientowane.

– Normalnie. Jak Anna zobaczyła ten dom, to zapalała do niego niepoohamowaną miłością.

– Mogłaby ją jednak trochę pohamować. Ma dom tutaj. Nowy, w ojczyźnie – Joannie nie spodobał się pomysł synowej. Zwykle nie krytykowała jej decyzji, ale ta wydawała się szalona.

– Nie bądźmy zaściankowi. Teraz Europa jest jak jedna wioska – tłumaczył syn.

– To może byście wrócili do własnej – Joanna poprawiła ustawienie ekranu laptopa. – Chyba czas dorosnąć. Wywaliliście kupę kasy, żeby stworzyć sobie tutaj gniazdo. Ściągnęliście nas na koniec świata, gdzie nawet Panu Bogu mapa się skończyła. Rzuciliśmy całe dotychczasowe życie i przyjaciół, żeby z wami tu osiąść, a wy teraz zostawiacie to wszystko jak używaną chusteczkę do nosa i szukacie wrażeń w wymarłych cywilizacjach?

– Mamo, to Grecja, nie Jukatan – uspokajał Marek.

– Synu, czy ty masz owsiki w tyłku, że nie potrafisz na dupie usiedzieć?! A pomyślałeś może o córce?

– Krótka wymiana spojrzeń między porzuconymi zaszyfrowała, że obie są ciekawe odpowiedzi.

– Cały czas myślę o córce. Kocham cię, Zuzik. Ale zgodnie z tym, o czym rozmawialiśmy przed wyjazdem, to moja dorosła córeczka chciała sama decydować o swoim losie i rodzice nie są jej potrzebni do szczęścia, tylko raczej ktoś przystojny.

– Nie czas na żarty, tato – Zuzka nie wytrzymała krytyki. – Nie chodzi o to, żeby tu trzymać nad nami kloz, bo same nie damy sobie rady.

– A o co chodzi? – Marek sięgnął poza ekran po szklaneczkę i pociągnął z niej spory łyk.

– O nic – naburmuszyła się Zuzia.

– A jak wy będziecie prowadzić tawernę, skoro Ania nawet jajecznicy nie potrafi usmażyć? – Babcia nie żałowała złośliwości.

– Do gotowania to się tu kogoś znajdzie, a nawet już znaleźliśmy. Tylko potrzebny jest mały remontik i trochę drobiazgów do kuchni, kilka stołów, zastawa...

– To znaczy, że zaczynacie od zera? – otworzyła synowi oczy Joanna.

– Od zera nie, bo mamy na to środki. À propos, Zuzik... Zuzka, jesteś tam? – Córka po strzeleniu focha zniknęła poza ekranem.

– Jestem – wsadziła głowę w zasięg kamerki.

– Wiem, że chcesz być samodzielna i bardzo ci się to chwali. Ale też wiem, że trudno ci będzie z dnia na dzień wystrzelić z oszalałającą karierą.

– Na razie to żadnej kariery się nie spodziewam – mruknęła.

– Nie martw się, córeczko. Ja tu trzymam rękę na pulsie i nie dam moim dziewczynkom zginąć. Gdybyście miały jakieś kłopoty, to w dokumentach masz numer telefonu do mecenasa Tarczyńskiego. On łaski nie robi, nawet w środku nocy powinien ruszyć tyłek, gdyby trzeba było. A jak nie, to ja już go skasuję. – Zabrzmiało groźnie i obie Nowaczki dokładnie wiedziały, co Marek ma na myśli. W końcu go znały. Z pozoru brat łąta i ciepły miś. W interesach, szczególnie gdy wyczuł nieuczciwość, zamieniał się w żarłocznego grizli.

– Mówisz tak, jakby chodziło tylko o pieniądze – nadal dąsała się Zuzia.

– Kochanie, przecież nie umieramy, tylko będziemy mieszkać troszkę dalej. Są samoloty, promy, masz samochód. Przecież tu nawet paszport nie jest potrzebny. Samolot leci około trzech godzin.

– No – zakpiła Zuza. – Tylko do samolotu trzeba dojechać kolejne trzy i od samolotu następne...

– A co to dla was jest te dziewięć godzin? Do Suwałk się dłużej jechało. A jak tu do nas przyjedziecie, to zobaczycie, że można się zakochać w tym miejscu. Zresztą, w każdej chwili możecie tu zamieszkać razem z nami.

– Już się rozpędziłam – sarknęła matka. – A tę chałupę tutaj to zostawisz na jebał pies?

– Mamo, nie wyrażaj się! – Marek poczuł się zgorzogniony słownictwem rodzonyj matki.

– Dobra – zakończyła dyskusję Joanna. – To w końcu wasze życie. W takim razie życzymy wam szczęścia, powodzenia i wytrwałości. A gdyby wam się odwidziało, to wiecie, gdzie nas szukać.

– Kocham was, tato. Tylko tak fukam. Wszyscy damy radę. Pa!

Po zakończeniu połączenia w Polsce zapadła przytłaczająca cisza. Kobiety patrzyły sobie w oczy, oczekując jedna od drugiej słowa wsparcia albo zaprzeczenia tego, co usłyszały.

– Dobra – powtórzyła Babcia. – Damy radę. Niech im tam Pan Bóg dopomoże. Tylko po cholereę nam teraz taka wielka chałupa? – Z głębi domu usłyszały radosne szczeknięcie – Chodź, córuś, zajrzyjmy do Anonima.

Zstały go siedzącego na łóżku. Był bład jak lilie na ołtarzu, z całych sił musiał podierać się rękoma, żeby nie upaść, ale siedział.

– Wszelki duch! – wrzasnęła Babcia na ten widok. – Człowieku, ani mi się waż wstawać! Za słaby jeszcze jesteś na takie wyczyny.

Ich oczy spotkały się w niemym pojedynku.

– No chyba że chcesz siusiu – Joanna podparła się pod boki.

Nieznamy tylko pokręcił przecząco głową. Choć to niewielki gest, był dla niego nie lada wysiłkiem. W jednej chwili zwiądl. Kobiety rzuciły się, żeby pomóc mu z powrotem się ułożyć. Zuzanka poprawiła poduszkę, żeby miał wyżej pod głową.

– Nie za duszno tu? – spytała. Znow zaprzeczył ruchem głową. – Może coś panu trzeba? – Kolejne zaprzeczenie. – Może do kogoś zadzwonić, kogoś powiadomić, kogoś wezwać?

Tym razem ruch zaprzeczenia był powolny i pełen determinacji.

– To może rosółku? – Joanna zmieniła zakres propozycji.

W oczach chorego pojawiło się jakby rozbawienie, ale widać oferta Babci przypadła mu do gustu, bo z dużym wysiłkiem wydusił:

– Chętnie.

Jedzenie zmęczyło Anonima tak, że zasnął, zanim przelknął ostatni łyk.

Dzwonek przy furtce zaskoczył Joannę, gdy odnosiła miseczkę po rosole. Była w połowie drogi między kuchnią a domofonem. Rozterka – odstawić miskę do zlewu czy otwierać trwała krótko.

Jasiek, pokonując ścieżkę, cały czas śledził, co się dzieje za płotem.

– Znow się tu kręć? – spytała zaniepokojona Zuza.

– Kto? Nie, to tylko Jolka. Już drugi raz ją widzę, jak tu zagląda. Po co?

– Nie wiem, ale wołę Jolkę niż tych, co tu grasowali po nocy...

– O, pan Janek, dobrze, że pan zajrzał do nas, bo ja się wybieram na brydża, a bałabym się zostawić Zuzanny samej. – Joanna w pełnym rynsztunku – z karminem na ustach, utuszowanymi rzęsami i ciemną kreską brwi, w kłapeczkach na obcasiku, obwieszona koralami i z teatralną torebką

schodziła po schodach, mozołąc się po drodze z zapięciem bransoletki. – Pomóż mi, chłopcze – podstawiła Jaškowi nadgarstek.

Chłopak chwilę mierzył się z krnąbrnym zameczkiem.

– Czy naprawdę ktoś tu się w nocy kręcił? – dociekał.

– Zuzia ci opowie, bo ja muszę lecieć. Bawcie się dobrze – przesłała im całusa. – I nie czekajcie z kolacją.

– Jeśli tu grasują jacyś bandyci, to może ja panią odprowadzę – zaferował się Janek.

– A kto będzie gwałcił starą babę? Tu się, dziecko, bardziej przydasz. No to pa.

I klapiąc kłapeczkami ruszyła, żeby ogrzać sąsiadki.

Młodzi zostali. Zapadła chwila niezręczności przerwanej przez Zuzankę.

– Jadłeś? – spytała. – Bo jeśli dziś nie skończymy tego rosółu, to jutro będzie do wyrzucenia.

– Rozumiem – roześmiał się Jasiiek. – Mam zjeść, żeby nie wyrzucić.

– Nie, no... – zaczęła sumitować się Zuzka, ale zorientowała się, że chłopak tylko się przekomarza.

– Dzięki, jadłem. Musiałem przygotować przyzwoity obiad, bo Bartkowiak swoim oplem pomógł mi przywieźć ojca do domu. Lekko nie będzie – pożałił się.

– Bo?

– Bo gips, niechby nawet lekki, jest od kostki po pachwinę, a mojego ojca trzeba wiązać, jeśli się chce, żeby spokojnie posiedział. Wziąłem kilka dni wolnego, to teraz go dopilnuję, ale boję się o ten czas, kiedy będę musiał iść do roboty. Bo to nie chodzi o to, żeby sobie szklanki wody nie wziął, tylko on zaraz będzie po całej wsi latał, obciążał tę nogę i jeszcze się z tym kulasem gdzieś zwali na łeb. A jak mu przyjdzie do głowy, że tych pieprzonych rynien jeszcze nie oczyścił, to wlezie na drabinę jak dwa razy dwa.

– No to widzę, że nam się mnożą pacjenci do pilnowania. Najgorsze, że mamy problem, żeby upilnować sami siebie.

– Właśnie! Opowiadaj, jak to było z tymi w nocy...

Zuzanka opowiedziała całe zajście, nie pomijając ani śnieżnej kuli w rękę Babci, ani swojego piskliwego „stój, bo strzelam”. Nadrabiała miną, próbując wszystko obrócić w żart, ale oboje wiedzieli, że żartować to tu absolutnie nie ma z czego.

– Rysiek – Janek zwrócił się do psa, który od początku wizyty nie odstępował go na krok, porzuciwszy dotychczasowego podopiecznego. – Od dziś tu mieszkasz, rozumiesz?

Pies krótko szczechnął, dając znać, że głupi nie jest i nie trzeba mu dwa razy tłumaczyć.

Zuzanna chciała wykorzystać obecność Janka.

– Może jak tu jesteś, to zajrzyjmy z męskimi sprawami do Anonima? – zaproponowała nieśmiało.

– Jasne. Sam powinienem o tym pomyśleć.

Po dokonaniu toalety, przebraniu i odświeżeniu pościeli, wszyscy troje nieco zmęczeni ulokowali się w pokoju gościa.

Sytuacja wymagała wyjaśnienia, ale nikt nie kwapił się, żeby zacząć.

W końcu Jasiiek wziął na siebie ciężar poprowadzenia trudnej rozmowy.

– Mniej więcej wiemy, co się stało nad rzeką. Byłem tam – zaczął, obserwując, jak ich podopieczny zareaguje na tę informację.

– Widziałeś? – Nieznajomy aż się uniósł na posłaniu i patrzył na Jaška z napięciem. Chłopak zaprzeczył ruchem głowy. – Żyją?

Jasiiek ponowił ten sam ruch. Głowa chorego ciężko opadła na poduszkę.

– Szukają pana. I jeszcze jednego.

Oczy mężczyzny, a dokładniej jedno, to nieopuchnięte, stało się stalowe.

– Znowu zwiął, skurwysyn.

– Ten z lexusa został uprowadzony ze szpitala – Jasiek czekał na reakcję rozmówcy. – Ma pan pomysł, gdzie go mogli zabrać?

– Pewnie już nie żyje – szczęki mężczyzny zacisnęły się w niemym bólu.

– Powinniśmy powiadomić służby. Pana też pewnie szukają.

Nieznamy odwrócił twarz w ich stronę.

– Służby to ja.

– Może chce się pan skontaktować z kolegami albo z rodziną?

– Na szczęście nie mam rodziny, bo musiałbym się o nich bać. I, jak widać, kolegów też już nie mam. Muszę to wszystko przemyśleć – mówienie sprawiło mu coraz większą trudność. – Chyba znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy musimy sobie wzajemnie zaufać.

Powieki mężczyzny opadły.

– Zaufać? Uff, uff! – wymknęło się Zuzannie, która w napięciu przysłuchiwała się tej wymianie zdań. – Sorry – zreflektowała się. – Jeśli rzeczywiście jest pan z policji albo innej agencji, to pomożemy, chociaż wolałabym wiedzieć, w co się pcham.

Zuzka, widząc wycieńczenie mężczyzny, stwierdziła, że ciąg dalszy rozmowy musi zostać odłożony. Dała znać Jankowi i wyszli, zostawiając go pod opieką Ryśka.

– Słuchaj – zwróciła się do chłopaka. – Jeśli boisz się o ojca, to wychodząc do pracy, przywoź go do nas. Jeden czy dwóch do opieki to żadna różnica.

– A jak mi wypadnie nocka, to co mam zrobić?...Właściwie to racja, przecież ojciec w nocy śpi, a do łazienki chyba sam trafi. Dzięki. Przemyślę to. No i muszę porozmawiać z ojcem. Mamy na to jeszcze kilka dni.

– Widziały panie? – Artur postawił na stole wiaderko.

– Ryby – stwierdziła Zuzanna, zaglądając do środka.

– Co?... A, tak. Ryby. Już oprawione, żeby tu flakami nie uwałać wszystkiego. Rano złowiłem.

– Jest rano – zauważyła Joanna.

– Rzeczywiście. Ale my z Martyniakiem byliśmy na rybach już o piątej. Widziały panie? – powtórzył pytanie, ale nie dotyczyło ono zawartości wiaderka.

– Co miałyśmy widzieć? – Zuzanna przyniosła miskę, żeby przełożyć w nią połów.

– Na płocie.

Jako Arturowi nie chciało przejść przez gardło, co takiego niby jest na płocie, co miałyby oglądać, więc zaciekawione wyszły za nim przed furtkę. Połowa przeseł płotu ozdobiona była nawet zgrabnym, choć ewidentnie złośliwym napisem: ŻONA DLA ROLNIKA.

– Głupota jakaś – fuknęła Zuzanna. – Niby co to ma znaczyć? Po prostu zniszczyli płot.

Dotknęła palcem napisu i stwierdziła, że farba już zaschła.

– Wczoraj, wracając od sołtysowej, nie widziałam, żeby to tu było. No fakt, szłam już po nocy, to mogłam nie zauważyć. Myślicie, że kto to?

– Domyślam się – Zuza cedziła słowa. – Co za głupia bzdziągwa!

– Że niby kto? – chciał wiedzieć Artur.

– Zazdrosna kłepa... Podglądaczka zawistna... Czy ona się w którymś z was kocha? – Pytanie zaskoczyło Artura.

– Ale kto? – nadal nie miał pojęcia, kogo Zuzanna podejrzewa o wandalizm.

– Jolka. Kto by machnęła taki duży napis takimi równiutkimi literami? Trzeba mieć wprawę.

– Ale co ma jej miłość do tego, że nam zniszczyła płot? – Babcia nie mogła uwierzyć w nieczyste intencje sąsiadki.

– Niektóre lwice wyleniale tak mają. Pies ogrodnika, sam nie zje... Dobra, nie ma co wszczynać wojen. Dogadamy się. Idę wstawić ryby do lodówki, bo się w tym upale zaściardną.

Z myślą o możliwościach chorego, zamiast po prostu usmażyć otrzymane w prezencie ryby Nowaczki postanowiły zrobić z nich pulpety i zupę rybną. Do pulpetów niezbędna im była bułka, najlepiej tarta. Jednak w zasobach kuchni nie było żadnej, nawet grahamki. Rada nie rada, Zuzka zmieniła buty, sprawdziła zawartość portfela, przerzuciła torbę przez ramię i ruszyła po niezbędne produkty.

Po drodze dołączyła do niej poznana przy okazji ratowania drogocennego obrusa pani Czerwińska.

– Rażniej nam będzie tak we dwie się przejść. Pani też do sklepu? – Łatwo było założyć taką hipotezę, bo i po cóż można było iść tą drogą w tę stronę z pustą torbą na zakupy.

Zuzanna rozleniwiona upałem nie miała ochoty gadać, ale nie przeszkadzało jej towarzystwo sąsiadki. A ta niezrażona milczeniem trajkotała jak nakręcona:

– Państwo tu od niedawna, to pewnie nie znacie ani ludzi, ani okolicy, a to bardzo ciekawe miejsce na ziemi. O, tu na przykład – wskazała rumowisko na wzgórzu na pustej parceli. Tu dawnej... O, bardzo dawno temu, bodaj ze dwieście lat, jak stał kościół. Bo teraz to tylko kaplicę taką mamy, że do niej w niedzielę ksiądz ze mszą przyjeżdża. Ale tylko latem, bo zimą to trzeba by było ogrzewanie jakie założyć, a nikomu się nie chce. Jakby tak skrzyknął chłopów, toby w jeden dzień piec założyli, ale nie ma komu krzykać. A ten kościół, co tu był, to spłonął. Nie muszę pani mówić, że na świętego Nikodema to było. Bodaj w osiemset sześćdziesiątym którymś. Proboszcz osobiście się do tego przyczynił, i to na mszy świętej, kłamiąc. Włazł na ambonę... Gruby taki był i chytry. I mówi: – Kościół od Boga jest – mówi – i Pan Bóg nakazał o swój kościół i jego sługi boże dbać – mówi. – Księdzu swojemu cześć i dobra wszelkie oddawać. Nie chować lepszych kąsków po komorach, tylko na plebanię przynieść i złotem, bogactwem się nie otaczać, jeno pod obrazem Matki Boskiej złożyć w ofierze za opiekę – mówi. – A kto o księdza swojego nie dba i ofiarować dobra mu nie może, to niechby i odpracować swoje zasługi u Pana Boga przyszedł. – A, dzień dobry, panie Zatopek, coś pan tak wyleciał na drogę?

Rzeczywiście, weterynarz wypadł zza swojej bramy jak wystrzelony.

– Pani Czerwińska, pani mi pożyczyc telefonu. Wyszedłem na drogę, bo wyglądam na tych darmozjadów z hurtowni leków. Mieli tu być godzinę temu i ani widu, ani slychu. Miałem do nich dzwonić, gdzie się łachmyty podziewają, ale mi telefon padł.

– Sąsiedzie kochany, nie noszę ze sobą telefonu. Przecież pan wie, że my się z telefonami to tak nie za bardzo...

Zuzanna sięgnęła po własny.

– Proszę bardzo – podała Zatopkowi.

– Bardzo jestem zobowiązany. Panie pozwolą, że się oddalę, bo muszę z nimi po męsku porozmawiać.

Weterynarz odszedł kilka kroków i odwrócił się do nich tyłem.

– Co to ja.... Kontynuowała opowieść Czerwińska. – Aha... I jeszcze ten ksiądz mówi: „A kto zaniedba swoje obowiązki względem Kościoła i sługi bożego – mówi – tego kara od Boga spotka i ogień piekielny pokarze za jego chciwość”. Ludzie ze mszy powychodzili z takimi myślami, że niesprawiedliwość jakaś chyba była w słowach księdza i każdy tylko z sąsiadami po kątach opowiadał, że bogactwa żadnego w chałupie nie ma i leciał do domu, żeby przed oczami pochować co bardziej wartościowe rzeczy.

– Oddaję – przerwał opowieść Zatopek, wręczając Zuzce telefon. – Koty będziemy w powiecie kastrować, a zniczulenie mi tak dowożą – dodał w usprawiedliwieniu. – Za godzinę będą. Przez godzinę to ja bym wszystkie koty ze wsi męskości pozbawił. Dziękuję paniom.

Kobiety ruszyły w dalszą drogę.

– Co to ja... Aha. No i pochowali. No i długo nie trzeba było czekać. Jeszcze tej samej nocy burza się taka zerwała. Wiater był taki, że dzwony same zaczęły dzwonić. Ludzie obraży Matki Boskiej w oknach

wystawiali, żeby ich od piorunów uchroniły. I uchroniły. Ale nie przed wiatrem, który pozrywał strzechy z tych domów i obejść, co to ludzie bogactwo zataili. Ale widać ksiądz proboszcz obrazu w oknie nie zamieścił, bo jak pizdnęło... Wybaczy panienka... Jak huknęło i żywym ogniem z nieba rzygnęło tak, że wieża kościelna się zawaliła i pożar od razu objął całą świątynię. Jak będziemy wracać, to pani jeszcze opowiem o tutejszych ciekawostkach. A jakby pani jajek brakowało, to niech pani tutaj nie kupuje, bo to hodowlane. U mnie zawsze świeżych jajeczek uzbieramy tak z dziesięć za jednym razem, a jak więcej potrzeba, to pani mi wcześniej powie, to odłożę.

W rzeczy samej, właśnie dotarły do sklepu.

Po dokonaniu zakupów Zuzanna chętnie uwolniłaby się do gadatliwej towarzyszki, jednak nie wypadało tak po prostu dać dyla.

– Trudno, poświęcę się w imię dobrego współzycia sąsiedzkiego – pomyślała. – Mam nadzieję, że będzie mi policzone w niebie jako dobry uczynek.

Ledwie wyszły ze sklepu, pani Czerwińska podjęła opowieść o historii Wioski Małej.

– Jak pani zapewne zauważyła, na każdym rozstaju dróg mamy tu kapliczki. Pani patrzy, ta – wskazała najbliższą. – Na wzór Nepomuka powstała, lecz święty stojący na słupie zamiast gwiazdnej aureoli i krzyża w dłoni ubrany w strój kapłana z kielichem w jednej i mieczem w drugiej ręce. – Czerwińska mogłaby być przewodnikiem po okolicy. – Powstała jako wotum najbogatszego gospodarza we wsi, gdy przetaczały się tu wojska napoleońskie kroczące na Moskwę. Wszyscy mówią, że przeszkodziła im tam mroźna zima, ale my tu wiemy swoje... A ten czego tu szuka?

Szosa z przeciwną toczył się w ich kierunku radiowóz. Przed chwilą policjanci rozmawiali przez plot z Chojnackim, teraz zbliżyli się do obu kobiet. Z auta wysiadł brzuchaty policjant, przepisowo zasalutował i przedstawił się:

– Aspirant Karol Ziółkowski, komenda rejonowa w Mieście.

– Bardzo nam miło – Czerwińska przyjęła ton przydający jej we własnych oczach światowości. – W czym możemy pomóc, panie władzo?

– Tak się tu rozglądamy, czy wszyscy są bezpieczni i nic złego się nie dzieje.

– Kochaniutki – Czerwińska aż wzięła się pod boki. – Toż tu nawet koty przechodzą przez jezdnię na pasach. Tu same uczciwe ludzie mieszkają. A jedyne złe, co się dzieje, to wieczorem komary w tyłki rąbią. Co miałyby się tu dziać? Sami swoi.

– A może jacyś obcy się kręcą? – dopytywał pan aspirant.

– A co by tu obcy robili? Panien na wydaniu raptem dwie. Znaczą artystka nasza, co wszystkich facetów ma za nic, bo jej się w głowie poprzewracało, i panienka – tu wskazała na Zuzannę. Ale ona miastowa, to jej tutejsze chłopcy, a tym bardziej obce, nie interesują.

– Może ktoś ostatnio miał jakichś gości, co to ich panie nie znają? – Policjant brnął w wywiadzie.

– Teraz nie czas na gości, panie. Największa robota w polu się zaczyna, żniwa w pełni, zaraz rzepak ozimy trza siać, wszyscy w polu zajęci, to nie będą wokół stołu ganiać, żeby gościom dogodzić.

– A tych nowych, co mają dom przy moście, to panie znają?

– Co mam nie znać – Czerwińska nawet nie spojrzała na Zuzannę. – Porządne ludzie. Widział pani ich dom? Takie domy to się dla siebie, nie dla gości buduje i obcych się do takiego domu nie wpuszcza, jeszcze by co wynieśli. I nic złego się tam nie dzieje, książki czytają, zakupy w sklepie robią, podlewają ogródek. Jeśli panowie szukają jakichś złoczyńców, to u nas we wsi tylko koza Rafalskiego, pomiot diabelski, do turmy się nadaje. A ludzie to porządne, powiadam.

Aspirant Ziółkowski ponownie zasalutował, wsiadł do auta i wraz z partnerem pojechali dalej szukać informacji o obcych gościach.

Zuzanna ani słowem nie dała poznać, jak bardzo była wdzięczna Czerwińskiej za wyręczenie jej w tym przesłuchaniu. Nie lubiła i nie umiała kłamać, więc bała się, że gdyby to ją policjant wziął na

spytka, szybko zorientowałby się, że ma coś na sumieniu. Sąsiadka nawet nie zauważyła rumieńca emocji na twarzy Zuzi, bo całe jej myśli pochłaniało snucie przerwanej opowieści.

– O czym to ja... Aha, Napoleon. On to pies na baby był. I upatrzył tu sobie taką Józję, co u kowala chrześną córką była. Rodzice ją odumarli, biedaczkę, to ją kowalowa pod swój dach przyjęła i za pomiotło miała. Dziewczyzna skromna, cicha, robotna i urodziwa. Nic dziwnego, że syn kowala zaproszył ją sobie głowę. Zakochał się w dziewczynie na zabój. A tu wojsko przyszło, konie do kuźni przyprowadzili i jak sam Napoleon wedle kuźni przejeżdżał, to Józkę zobaczył i kazał ją sobie przyprowadzić. Syn kowala w krzyk i w lament, ale przecież nic nie mógł poradzić. Groził, że popelni samobójstwo, jak Józce krzywda się stanie. Przyszło dwóch posłańców od wodza, opierając się Józkę wzięli pod ręce i zawlekli przed cesarskie oblicze. „Chodź tu” – mówi cesarz, „Nie chcę ci zrobić nic złego” i tak, idąc tyłem, prowadził ją w stronę posłania. Józka nawet się przez jego wysokością nie miała śmiałości bronić, a ten był tak rozochocony, że w miłosnym amoku zrzucił łuczywo prosto w pościele. Zajęło się w okamgnieniu. Cesarz chciał zarządzić pożarowi, więc zapomniał o Józce i dawaj gasić tym, co tam mokrego znalazł w zasięgu ręki. Traf chciał, że mu gospodarze chcieli się przypodobać i cały dzban okowity przygotowali w poczęstunku. Jak tym bimbrem chlusnął na płonące łóżko, to pożar się zrobił taki, że jak pani widzi na starych sztychach, do końca życia miał łysinę, bo mu kółko na czubku głowy wypaliło. Ledwie go przyczadziało wywlekli z chałupy. Jak tylko cesarz znalazł się na powietrzu, to ogień w środku sam się przydusił i chałupa ocalała. Rozebrali ją, jak gospodarze ziemię sprzedali sąsiadom. Bo że chcieli się cesarzowi na krzywdzie ludzkiej przysłużyć, to już tu życia we wsi nie mieli. Jakby kto pytał, to oczywiście w dzień Nikodema to było. Ale syn kowala twierdził, że Józkę nie Nikodem tylko miłość ocaliła i wymógł na ojcu, żeby kapliczkę świętemu Walentemu postawił. Lubi się ten Nikodem bawić ogniem, oj, lubi... Nie raz i nie dwa użył ognia albo wody w tych swoich porachunkach z kłamstwem. No, to ja już na miejscu. Jak się miło rozmawiało, to i droga nam się tak nie dłużyła. A po jajeczka w każdej chwili zapraszam.

– Nadal szukają obcych – oznajmiła Zuzka od progu. – To by znaczyło, że mordercy też nie znaleźli. Jak on się czuje?

– Morderca? – Babcia nie nadażała za myślami Zuzy. Jednak, gdy wnuczka ruszyła w stronę pokoju gościnnego, odgadła, kogo ma na myśli.

Rysiek tylko uniósł łeb na powitanie. Mężczyzna wsparty na poduszce śledził goniące za oknem jaskółki.

– Będzie burza – powiedział, nie odrywając wzroku od okna.

– Nawet dwie – Zuzanna dostrzegła w szklance gościa utopioną muchę, więc zabrała naczynie do umycia. – Nadal pana szukają. Tym razem to policja wypytuje o obcych.

– To znaczy, że tamci też o mnie nic nie wiedzą. Tak czy inaczej, nie mogę tu dłużej zostać.

– Jasne, chłopaczku – wtrąciła się Babcia. – Wstań i leć. Nawet do furki się nie doczłapiesz.

W tym momencie odezwał się dzwonek przy furtce.

– Nomen omen – skwitowała Babcia.

Przed posesją stał radiowóz, a brzuchaty aspirant Zieliński dopominał się, żeby mu otworzyć. Tym razem z samochodu wysiadł również jego partner. Ten, dla kontrastu, był chudy jak zapalka i miał tak wielkie stopy, że zwracały na siebie uwagę.

– A kogóż to widzimy w naszych skromnych progach? – powołała Babcia przybyłych, zapraszając ich na taras. – Proszę, proszę, niech panowie usiądą. Lemoniady?

– Dziękujemy bardzo. Proszę się nie trudzić. My tylko na chwilkę. Pani tu sama w domu?

– Nie – zaprzeczyła skwapliwie. – Z wnuczką.

Zuzanna pojawiła się na tarasie, niosąc butelkę wody mineralnej i szklanki.

– Czy pomoże mi pan odkręcić butelkę? – podała wodę aspirantowi.

– I nikogo więcej nie ma w domu?

W tym momencie w pokoju gościnnym rozległ się podejrzany hałas. Obaj policjanci zerwali się z miejsc i położyli dłonie na kaburach. Kobiety struchlały.

Pierwsza oprzytomniała Babcia.

– Ależ panowie nerwowi – zauważyła. – Zuziu, przyprowadź tu tego mordercę.

Zuzka zniknęła gościom z pola widzenia, by po chwili pojawić się, trzymając jedną ręką Ryśka za obrożę, w drugiej dzierząc plastikową miskę, która, spadając z krzesła, narobiła tyle zamieszania.

– To jest Rysiek, pies morderca much. Łapie każdą, która przelatuje mu obok pyska. Siad – padła komenda. – Przywitaj się.

Pies zbliżył się o dwa kroki, szczerknął dwa razy i przysiadł.

Policjanci odetchnęli z ulgą. Chcąc zatuszować przykre wrażenie, zaczęli chwalać dom i ogród. Mimochodem zapytali jeszcze o napis na płocie.

– Ach, to taka przymiarka do nowej firmy, którą zakłada moja wnuczka – zbagatelizowała Babcia. – Myślimy nad otwarciem jadalni, ale jak panowie widzą, poza przedwcześnie zrobionym i jeszcze nieskończonym napisem na płocie, bardzo daleko do sfinalizowania pomysłu. Nawet stołów nie mamy.

Usatysfakcjonowani odpowiedzią panowie dali spokój dalszym dociekaniami. Standardowe pytania o obcych niczego nie wniosły do poszukiwań, więc po wysuszeniu całej butelki mineralnej zabrali się do wyjścia.

– Bałam się, że jak się obąblują tą wodą, to będą chcieli skorzystać z toalety – Zuzka odetchnęła.

– Czekałem, aż sobie pójdą – oznajmił Janek, który pojawił się, gdy tylko radiowóz zniknął za mostem. – Jak tam?

– Rysiek po raz kolejny uratował nam tyłki. Tym razem wybawił nas od więzienia. – Babcia, lekko pobladła po niespodziewanej wizycie, wachlowała się „Twoim Stylem”. Długo ta czynność nie trwała, bo czasopismo okazało się za grube i za ciężkie.

Jak zwykle, tak i tym razem pomoc Janka przy chorym bardzo się przydała. Zaczęli od próby przejścia kilku kroków po pokoju. Szło im to z dużym wysiłkiem, było okupione bólem, ale osiągnęli sukces. Korzystając ze wsparcia, poszkodowany był w stanie pokonać krótki odcinek. Opuchlizna schodziła, zostały jeszcze sińce, ale ogólny przegląd pacjenta nie wykazał poważnych szkód. Bez makijażu i porządných ciuchów Anonim raczej nie mógł pokazać się wśród ludzi, ale przynajmniej nie straszył swoim stanem opiekunów. Kiedy jeszcze wspólnymi siłami pozbyli się zmierzwionego zarostu, okazało się, że jest całkiem przystojnym facetem.

– I tak jeszcze straszysz, chłopcze – oszacowała Babcia Asia.

– Czy ma pan jakieś nowe wiadomości? – spytał pacjent, gdy Janek z powrotem pomógł mu ułożyć się na łóżku.

– Złe. Chłopaków wczoraj wezwano do płonącego samochodu. To nie był żaden wypadek, bo nie było śladów, które by na to wskazywały, tylko podpalenie. A najgorsze, że w środku było ciało.

– Woda i ogień – pozornie bez związku odezwała się Zuzanna. Wszyscy spojrzeli na nią pytająco. – A nie, nic. Takie tylko miałam skojarzenie ze świętym Nikodemem.

– Wiadomo, kto był w środku? – Babcia była przerażona.

– Trudno to będzie stwierdzić, bo ciało jest zwęglone. W kryminalnym już się tym zajęli.

– Ty to masz pracę – stwierdziła z niedowierzaniem Zuzka. – Myślałam, że strażacy jedynie zdejmują koty z drzew i gaszą śmietniki, kiedy ktoś wyrzuci niedopałek.

– Taaak, trochę się napatrzyłem. Najgorzej, jak w wypadku biorą udział dzieci... Ale nie chcę o tym mówić, a nawet myśleć... Co teraz?



– Wiem, kto był w tym wozie. Ale najpierw muszę stanąć na nogi – przedstawił im swoją wizję przyszłości gość. – Potem znajdę go. I będzie tego żałował.

Odkąd podopieczny wrócił do świata żywych, powolutku zaczął pracować również nad powrotem do formy. Tak porozstawiał krzesła po pokoju, że były dla niego stabilnym oparciem do ćwiczenia chodzenia. Nogi mu się płątały, musiał się mocno opierać rękoma, kręciło mu się w głowie, ale robił postępy. Trzeciego dnia był w stanie pokonać pokój bez podpórki i wejść po kilku schodkach.

– Wiem, że nadużywam waszej gościnności, ale nie mogę wrócić do siebie, a na tym etapie dochodzenia nie wiem, kto jest moim przyjacielem. Nawet nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze jakichś przyjaciół. Ktoś zdradził i nie wiem, kto.

– Możesz, chłopcze zostać tu, jak długo zechcesz, tylko... Ja wiem, że jestem stara i może nie najmłodsza, poza tym trochę kryminalów w życiu się naczytałam i mogę mieć spaczony spojrzenie, ale tak sobie myślę, że za bardzo to się nie powinienes pokazywać poza domem. Oczywiście, nie mam tu na myśli latania po wsi, tylko siedzenie na tarasie, wychodzenie do ogródka itd. Nasz dom może być pod obserwacją.

Po wywodzie Babcia zapadła złowroga cisza. Wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że ich gość w pewnym sensie stał się więźniem sytuacji.

– Ale po chałupie to sobie hulaj – dodała Joanna jakby na pocieszenie. – Lodówka jest do twojej dyspozycji. Tylko wara od mojego fotela, bo jeszcze się pod tobą ten starość zawali. Już pode mną ledwo dyszy.

– Z pani figurą to chyba nie musi się pani obawiać, że się pod panią zawali – Anonim usiłował być miły.

– Komplementarz – odcięła się Babcia. – Figura jak figura.

– Taaak, Baacia to w tym domu w ogóle jest figurą. Proponuję jej posłuchać – wtrąciła się Zuza.

– Wiem – Anonim uniósł dłoń Babcia do ust. – I oddaję się pani rządowi z pełnym zaufaniem. Nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za wasze poświęcenie. Tobie też dziękuję – zwrócił się do Zuzy.

Pod wieczór, gdy Zuzanka buszowała na Facebooku, odezwał się sygnał Skype'a. Na ekranie pokazała się mama obwieszona koralami z muszelek, w barwnej, powiewnej sukni, chociaż nigdy nie lubiła sukienek.

– Och, córeczko, nawet nie wiesz, jak tu cudownie! – zaczęła od zachwytów.

– Wiem, już mi mówiłaś. – Zuza do tej pory nie była w stanie wybaczyć matce, że porzuciła kraj i rodzinę na rzecz gonięcia za marzeniami, ale gdy tylko zdała sobie sprawę, że to właśnie o marzenia chodzi, spuściła z tonu i przybrała normalny ton. – Cieszę się, że znaleźliście sobie to cudowne miejsce. Chociaż przyznam, że was brakuje.

– Też za wami tęsknimy, ale wszystko tu jest takie zachwycające, że serce by mi pękło, gdybym miała to porzucić i wracać. Kochanie, poproś Babcie, żeby mi przysłała swoje stare książki kucharskie. Babcia już niepotrzebne, bo wszystkie potrawy potrafi wyczarować z pamięci. I może byście mi poszukały po księgarniach jakichś pozycji z nowymi przepisami. Bo wiesz, chcemy tu zrobić dania z całego świata, nie tylko greckie. A ta nasza Hermiona...

– ...Kto?

– Hermiona. No tak ma na imię. Ponoć od Hermesa, tylko sama nie wie, czy bliżej jej do postaci z Szekspira, czy z Harry'ego Pottera, ale gotuje wyśmienicie. Tylko ma ograniczony repertuar. Baranina i tzatziki. No a ja... No cóż, sama wiesz, że dobrze mi idzie, tylko kiedy mam przed oczami przepis i trzymam się go ślepo. Już kupiliśmy na pchlim targu kilka używanych stołów i krzesła do kompletu i już nawet mamy kilku stałych klientów. Tatuś zamówił nowe wyposażenie do kuchni. Nie takie, jak w domu... znaczy w naszym... waszym... polskim domu. Jak sobie pomyślę, jak tam wyglądają kuchnia, to aż żal, że się tak marnuje. Gdybym tu miała taki piekarnik... Ech! A co tam u was, córeczko?

Zuzanna niewiele miała matce do opowiedzenia. Mając wciąż na uwadze, że jej łącza mogą być śledzone, starała się nie zdradzić ani słowem o gościu i ich poczynaniach. Po kilku zdawkowych zdaniach zakończyły rozmowę.

– Książki kucharskie? – Babcia, która w końcu też zaakceptowała decyzję syna o pozostaniu na stałe z daleka od kraju, zastanawiała się, jak pomóc synowej w nowym biznesie. – Jedyna książka kucharska, jaką mam, i to w dwóch egzemplarzach, to „Kuchnia polska”. Bodaj w latach siedemdziesiątych zrobili wznowienie i od kogoś dostałam w prezencie, a wcześniej miałam taką jeszcze po mojej mamie. I mam nadal. No cóż, trzeba jej będzie coś wyszukać w Empiku, bo przecież nie dopuścimy, żeby jacyś Grecy mieli złe wyobrażenie o polskiej kuchni. Jeśli Ania zacznie sama wymyślać przepisy, to może kogoś zatruć. Trudno, czeka nas wyprawa do księgarni.

Gość stopniowo dochodził do zdrowia. Coraz swobodniej poruszał się po gospodarstwie. Widząc pełną akceptację kobiet dla swojej obecności, czuł się tu jak u siebie. Dbał o czystość w pokoju i zostawionej do jego dyspozycji łazienki, robił sobie ręczne pranie, zmywał po posiłkach, w ogóle starał się być pomocny i sprawiać jak najmniej kłopotu. Był już na tyle silny, że kiedy kobiety napomknęły o wyprawie do Stolicy, postanowił jechać z nimi. Miał sprecyzowane plany dotyczące śledztwa, które wymagały bezpośredniego spotkania z ludźmi, zatem postanowił stawić im czoła. Sądząc z zacięcia, jakie widać było na prawie wygojonej twarzy, nie spodziewał się miłych spotkań.

Wyprawę trzeba było skrupulatnie zaplanować, żeby nie ściągnąć na nikogo nieszczęścia.

Samochód, który dla wygody często stał w ogrodzie, wieczorem wprowadzono do garażu, symulując porządkowanie podjazdu, żeby rano przez wewnętrzne przejście można było do niego wsiąść w dyskretny sposób. Nie można było dopuścić również do tego, żeby w Stolicy namierzono ich podopiecznego w połączeniu z kimkolwiek ze wsi. Przy wszechobecnych kamerach odpadał samochód zarówno Nowaczek, jak i Artura. Umówili się zatem, że Jasiak pożyczycy auto od kolegi mieszkającego w Mieście. Założył czapkę z daszkiem i ciemne okulary, przetrząsnął szafę, żeby wybrać koszulkę bez nadruków. Na wszelki wypadek do tablic rejestracyjnych z obu stron przykleił liście zakrywające część numerów, pamiętając również o włożeniu „ulotki” za wycieraczkę, która zakryła tabliczkę znamionową na przedniej szybie. Zabrano apteczkę i kapelusz słomkowy z tylnej półki, zlikwidowano dzynzdoła bujającego się na wewnętrznym lusterku, a nawet zdjęto pokrowce z siedzeń. Samochód Jaśkowego kolegi stał się całkowicie anonimowy, a że markę miał jedną z najbardziej popularnych w Polsce, mogli się nie obawiać o jego odnalezienie.

Nowaczki ze swoim autem nie musiały wyczyniać takich brewerii, bo jedyne, co miały zrobić, to wywieźć gościa poza obręb wsi i dopilnować, żeby nie mieć ogona.

Ponieważ w tym kraju nie można mieć zaufania nawet do służby leśnej, która mogła monitorować zielone parkingi, więc przesiadka ukrytego w bagażniku Anonima odbyła się na bocznej drodze między polami wysokiej kukurydzy, osłaniającej zamianę od reszty świata.

Wracając do domu, Jasiak tak długo kluczył, aż miał 100 procent pewności, że nikt go nie śledzi. Zanim oddał koledze samochód, ponownie na uboczu uzbroidł go we wszelkie indywidualne atrybuty.

Panna i pani Nowak uwolnione od gościa zażywały Stolicy. Stwierdziły, że książki są ciężkie, więc zakup poradników kulinarnych zostawiły sobie na koniec wycieczki. Wszystkie kobiety świata wypuszczone na wolność zaczynają od zadbania o urodę. U fryzjera Joanna zrobiła sobie świeży kolor, Zuzanna tylko podcięła rozdwojone końcówki, ale czekając na zakończenie farbowania, zdecydowała się na manicure. Kawa i lody u Grycana miały główne znaczenie dla zaprezentowania świeżych wizerunków całemu światu. Joanna przeglądała się we wszystkim, co odbijało jej nową fryzurę – od wystaw sklepowych po serwetnik z niklowanego metalu. Zuzanna z przyjemnością podziwiała swoje dłonie ozdobione jasnym lakierem, pięknie podkreślającym opaleniznę.

Po przekopaniu całego Empiku okazało się, że książek mnóstwo, ale doradzić nie ma kto. Trafily więc zupełnie niechcący do dziupelki małej, gdzie znający się na swoim fachu właściciel rodzinnej

księgarni zasypał je książkami o zupach, ciastach i ciasteczkach, przystawkach i daniach mięsnych. Kupiły tego pół bagażnika i wiedzione głodem wywołanym kolorowymi ilustracjami wybrały się po zakupy spożywcze. Tradycyjnie trzeba było zahaczyć o salonik prasowy, gdzie Babcia zaopatrzyła się w zapas czasopism na cały miesiąc. Dopiero w samochodzie Zuzanna przypomniała sobie, że mogła sprawdzić totolotka.

– Trudno – podjęła decyzję. – Nie będę wracać.

Pomimo przeświadczenia, że nikt nie mógł skojarzyć ich z morderstwami, Zuzanna co chwilę sprawdzała we wstecznych lusterkach, czy ktoś za nimi nie jedzie. Odetchnęła dopiero, kiedy gdzieś 60 kilometrów za miastem zobaczyła za sobą pustą po horyzont drogę.

Zadowolone z udanej wyprawy, uspokojone, że zdjęły problem z barków, usatysfakcjonowane zakupami weszły do domu.

Dobre samopoczucie minęło im w jednej chwili. Zuzanna upuściła niesione torby, a pod Joanną ugięły się nogi. Kobieta bezsilnie osunęła się na podłogę.

Cały dom wyglądał, jakby po trzęsieniu ziemi przeszedł tędy halny.

Widząc, że Babcia zemdlą, Zuzanna zlekceważyła bałagan i rzuciła się, żeby udzielić jej pomocy. Tradycyjne cucenie nie przynosiło skutku, więc nie namyślając się ani chwili, wezwała pogotowie. Miała odruch, żeby powiadomić również policję, ale pomyślała, że najpierw musi sprawdzić, czy i co skradziono.

Zanim przyjechała karetka, dziewczyna pospieszy, by jak najszybciej ponownie zająć się powoli wracającą do siebie Babcią, obeszła cały dom. Zniszczenia nie ominęły żadnego pomieszczenia. Panował nieludzki bałagan i chociaż wydawało się, że wszystkie cenne przedmioty ocalały, wszędzie widać było niepohamowaną furię złoczyńców.

– Jak ominęli alarm? – zastanawiała się Zuzanna. – Albo są lepsi niż ochrona, albo są z nią w zмовie.

Dziewczynę dopadł strach. Pragnęła jak najszybciej powiadomić Anonima o wypadkach w ich domu, ale nie miała jak – to on miał się kontaktować z nimi. Przynajmniej tak obiecał.

Na szczęście zwabiony migającymi kogutami ambulansu przybył z odsieczą Jasiiek. Obrzucił pobojowisko jednym spojrzeniem i zaklął.

– Nie martw się, najpierw sprzątniemy, a potem skopimy im tyłki – pocieszał.

W tej chwili najważniejsze było zdrowie Joanny. Co prawda odzyskała przytomność i po wstępnym badaniu nie stwierdzono zagrożenia – puls przyspieszony, ciśnienie wracało do normy, wszelkie odruchy neurologiczne zachowane, jednak ze względu na długi stan omdlenia, a przede wszystkim, chcąc ją uchronić przed widokiem rozgardiaszu, ratownicy zdecydowali, że zabiorą ją na obserwację. Zuzanna wrzuciła kilka najpotrzebniejszych rzeczy do torby i pojechała za nimi, zostawiając na stanowisku Jaśka. Oboje mieli nadzieję, że jeśli coś miało zostać ukradzione, to już nie ma tego w domu, a czego nie znaleźli, to już i szukać nie będą.

Zuzanna wróciła ze szpitala po zmroku. Pod jej nieobecność Jasiiek poustawiał meble na miejscach, powstawał szuflady do komód i zamiótł zaslaną produktami spożywczymi podłogę. Włamywacze wymieszali na niej mąkę, cukier i kasze, które znaleźli w szafkach. Wybebeszyli nawet słoiki z dżemem, na szczęście do zlewu. Zuza z Jankiem do świtu zbierali porozrzucane książki, bieliznę i narzędzia, zmywali porozlewane z opróżnionych butelek mydła i szampony. Przy przepelnionym pojemniku na śmieci rosła sterta worków z porwanymi poduszkami, potłuczoną porcelaną i poniszczonymi przedmiotami. W pokoju gościnnym nawet rozkręcono karnisz, prawdopodobnie szukając czegoś w rurze.

– Boże – jęknęła Zuzanna, oceniając zniszczenia. – Trzeba będzie kupić ponad połowę wyposażenia.

– Ty, zobacz – Jasiiek wydawał się zadowolony. – Nie ruszyli barku twojego ojca.

– Wiesz co? Dawaj.

Nie trzeba było dużo alkoholu, żeby zmęczoną i zestresowaną Zuzannę, do tego o pustym żołądku (wszak przez cały dzień nawet nie miała jak pomyśleć o obiedzie) usnąć w locie, zanim trafiła głową w ocalałą poduszkę.

Jasiek bał się zostawić ją samą, nadal spodziewając się zagrożenia, więc zwinął sobie pod głowę pled, nakrył się narzutą i usnął na sofie w salonie.

Gdy obudził się rano, zastał Zuzannę siedzącą na schodach z wiązką porów przerzuconych przez ramię.

– Morning – powitał dziewczynę, przeciągając zdrętwiałe ciało.

– Cześć – odpowiedziała, wstając. – Zapomniałam wyjąć zakupy z bagażnika. Mam nadzieję, że nic się nie zepsuło. W każdym razie z masła zrobił się olej i muszę je wyczyścić, żeby nie śmierdziało. Do jedzenia mamy tylko to, co w samochodzie, bo to co w domu, zmarnowali. Dobrze, że odprowadziliśmy Ryśka do twojego ojca, bo mogli mu zrobić jakąś krzywdę.

– Otruć raczej by się nie dał, ale masz rację... Chociaż z drugiej strony, gdyby tu był, to może zaalarmowałby szczekaniem sąsiadów.

– Dochodzę do wniosku, że całe szczęście, że go tu nie było, bo w przeciwnym wypadku nie tylko jemu mogła stać się krzywda.

Dalszą rozmowę przerwał telefon.

Zuzanna odkryła, że dzwoni ktoś z nieznanego numeru, mimo to odebrała.

– Cześć, Zuzka – usłyszała w słuchawce obcy kobiecy głos.

– Cześć – odpowiedziała. – Kto mówi?

– Jak to, nie poznajesz? Tu twoja anonimowa wielbicielka, która śpi z mucholapką przy łóżku. Już wiesz, kto? Miałyśmy się umówić na rosół.

Zuzkę zelektryzowało. Jasiek zauważył tylko, że zbladła. Odsunęła telefon od ucha i dała mu znać, żeby też słuchał.

– Cześć, stara wariatko – powitała nieznaną, starając się zapanować nad głosem – cieszę się, że dzwonisz.

– Co u ciebie? – zapytała kobieta.

– Babcia w szpitalu. Serce. – Po drugiej stronie łączy zapadła cisza. – A co do imprezy, to była taka, że przez tydzień będziemy sprzątać. Żałuj, że cię nie było, bo byś spotkała znajomych. A kiedy my się spotkamy?

– Może byśmy się w weekend wybrały na plażę? W sobotę, tak o dziesiątej. Jeśli nie możesz, to pójdę z kimś przystojnym.

– Wpadniesz później na obiad?

– Raczej nie, jestem umówiona z moim marynarzem, wybieramy się do wesołego miasteczka. Wiesz, jak uwielbiam strzelnice i diabelski młyn. Ale wpadnę odebrać te drobiazgi, które ci pożyczałam na wesele. Będą mi bardzo potrzebne na egzamin. Pa!

I rozmowa została przerwana.

– Nie wiesz przypadkiem, jak zwalczyć mszyce? Zjadły mi kwiatki, chodź, to ci pokażę – Zuzanna zdecydowanym pchnięciem skierowała Janka w odległą kąt ogrodu.

– Nic z tego nie rozumiem – Jasiek, który domyślił się, że nie był świadkiem pogaduch przyjaciółek, tylko jakiejś zaszyfrowanej rozmowy, był zdumiony zachowaniem sąsiadki, ale wczuwając się w rolę, udawał, że ogląda różę.

– Ja też nie do końca zrozumiałam, ale domyślam się – zastanawiała się na głos Zuzanna. – Na pewno dzwonił ktoś od Anonima. Rosół, łapanie much to słowa kluczowe. Plaża... plaża. Cholera, na jakiej plaży mamy się z nim spotkać?

– Jedyne miejsce, które kojarzy mi się z plażą, to ta polana nad rzeką, gdzie mieliśmy akcję z samochodami – analizował dane Jasiek.

– Jeśli jesteśmy podsłuchiwani, a chyba jesteśmy, skoro nie zadzwonił sam, tylko przez podstawioną osobę... Dlatego cię tu przyciągnęłam, bo może w domu też założyli podsłuch... Przecież nie pójdę tam w biały dzień, bo pewnie będą mnie śledzić i ściągnę ich za sobą. I wygląda na to, że Anonim zostawił nam na przechowanie coś, po co wróci. Jeżeli już ktoś tego nie znalazł.

– Może gdyby znaleźli, to Anonim, jak go nazywasz, już by o tym wiedział.

– Może... – Zuzanna zastanawiała się, jak zorganizować spotkanie, żeby nie ściągnąć na siebie kolejnych kłopotów. – Wiem!

Ustalenie z przyjaciółmi obmyślonego przez Zuzannę planu wcale nie było takie łatwe. Największą przeszkodą było założenie, że wszystkie ich telefony mogą być podsłuchiwane.

Najpierw Jasiek wyciągnął „na piwo” Artura. Dla kamuflażu zabrali ze sobą zgrzewkę żywca i poszli nad rzekę. Tam, daleko od czyichkolwiek uszu, racząc się browarkiem, Jasiek wprowadził Artura w temat.

Kiedy się rozstali, Artur „zaprosił na randkę” Jolkę, z którą od dziecka zamienili nie więcej niż cztery zdania. Ciągnął ją za rękę przez pół wsi, żeby po drugiej stronie mostu wyjawić jej plany i włączyć do pomocy. Początkowo nie chciała się zgodzić i wystraszyła się nie na żarty, co z daleka wyglądało na klótnię kochanków. Artur był przekonany, że nie zdecyduje się wziąć udziału w akcji, ale w pewnej chwili, nie wiedząc czemu, zmieniła zdanie.

Wszystko było ustalone w najdrobniejszych szczegółach:

O dziesiątej Zuzka ubrana w jakąś „roznegliżowaną” kieckę miała podjechać pod dom Jolki. Ustalono, że będą miały plażowe torby, jakieś kapelusze od słońca i narobią hałasu „jakie to one szczęśliwe, że jadą się opalać!”. Miały ściągnąć na siebie uwagę TAMTYCH i wywabić ich na basen do Miasteczka. Tam zgodnie z planem powinny rozłożyć kocyk, przewracać się z brzucha na plecki, moczyć nogi w baseniku i smarować się seksownie kremikiem.

W tym czasie Jasiek z Ryśkiem mieli pilnować gospodarstwa, w razie gdyby znów ktoś chciał wykorzystać nieobecność domowników do dalszego przekopywania włości.

Łącznikiem „na plaży” miał być Artur.

Przekaz telefoniczny był wyraźny: „Jeśli sama nie możesz, przyslij kogoś przystojnego”, znaczy Anonim dopuszczał, że spotkanie ma się odbyć z kimkolwiek z ekipy jego ratowników i nie musi to być Zuzka.

Jasiek za często pokazywał się w domu Nowacek, poza tym mieszkał bardzo blisko, więc z założenia TAMCI bardziej zainteresowałyby się właśnie nim.

Wymyślili więc, że Artur, nie kontaktując się z żadnym z nich, będzie najpierw krążył jak bączek po wsi, a później po lesie. Miał wziąć samochód, siekiere i „szukać drewna na rzeźby”. Że niby, jak się będzie tak kręcił wte i wewte, to przestaną się nim interesować. Kto i dlaczego miałby się interesować Arturem, o to mniejsza. Najważniejsze, żeby w momencie spotkania nie miał żadnego anioła stróża.

Opracowana taktyka była idealna. Przynajmniej tak myśleli. Do sobotniego poranka. W sobotę rano okazało się, że leje. Cały misterny plan pooszedł...

Mimo to Jasiek z Ryśkiem jeszcze przed dziesiątą zameldowali się u Zuzanny. Obaj otrzepali się z deszczu na tarasie i lekceważąc potencjalne podsłuchy, weszli do środka. Pachniało kawą i środkiem do czyszczenia podłóg. Po rewizji nie było już żadnych widocznych śladów oprócz wisielczego humoru gospodyni.

Siedzieli w milczeniu nad pustymi kubeczkami, bojąc się odezwać, żeby nie zdradzić się jakimś nierozważnym słowem, kiedy rozległ się dzwonek telefonu Zuzy. Numer nieznan.

– Dzień dobry, Zuziu, kochanie. Tu ciocia Rysia. – odezwał się w słuchawce obcy głos, inny od ostatniego.

– Dzień dobry, ciociu. Co u ciebie? – Zuzka przysunęła się do Jaśka, żeby słyszał rozmowę.

– Wszystko dobrze. Codziennie gram w karty z przyjaciółmi. Wciąż szukamy asa z tej talii, której tak z Babcią nie lubiliście. Ten czas tak płynie, a my ciągle nie możemy się spotkać. Wybieram się, żeby poplotkować z Babcią i mam przy tym nadzieję trafić też na ciebie. I koniecznie muszę zobaczyć te franki, które dostałyście od gości. Ciekawam, jak wyglądają na oknach po skróceniu. Muszę kończyć, bo mi zupa kipi. Pozdrów Babcię. Pod figurą modłę się o prawdziwy skarb dla nas. Do zobaczenia.

– Pod figurą? – wyrwało się Zuzce, kiedy rozmowa się zakończyła. Przestraszona zakryła usta ręką, rozglądając się na boki, jakby spodziewała się zobaczyć podsłuchiвачy.

Długo patrzyli na siebie w Jaśkiem, nie rozumiejąc ani słowa. Dziewczyna sięgnęła po porzucone w kuchni czasopismo Joanny i znalazła długopis. Otworzyła pismo na przypadkowej stronie i na marginesie napisała:

– Firanki?

Przekazała długopis Jaśkowi. Ten ze zmarszczonym czołem odpisał:

– Skrócone?

I tak na przemian:

– Co to znaczy?

– Chyba ważne.

– Okno?

– Które?

Oboje spojrzeli w stronę pokoju gościnnego, równocześnie wstali i przeszli do tego pomieszczenia. Dokładnie pamiętali, że włamywacze rozkręcili karnisz, więc nie o niego chodziło. Firanki... To musiało coś znaczyć. Skrócone...

Zuzanna podeszła do okna i starannie je obejrzała wraz z frankami i zasłonkami. Niczego podejrzanego nie zauważyła. Weszła na krzesło, żeby dokładniej przyjrzeć się zakładkom przy żabkach. Nic. Zeskoczyła i zaczęła obmacywać dolne podwinięcie materiału.

W samym rogu, tu gdzie podwójne szycie, karta pamięci. Cudem jej nie zauważono przy rewizji, chociaż całe okno było sprawdzane, a nawet kwiat na parapecie wyjęty z doniczki. Zuzanna ważyła w dłoni nalezisko.

Kiwnęła na Jaśka i wrócili do porozumiewania się, bazgrołąc po „Vivie”.

– A co z figurą? – napisał Jasiek.

– Pojęcia nie mam – odpisała Zuzia, wzruszając przy tym ramionami w geście bezradności.

– Macie tu jakąś? – Janek rozglądał się po gospodarstwie.

Zuzka pociągnęła go do ogrodu. Koszmarny krasnal od Agnieszki, wciśnięty pod samo ogrodzenie, żeby nie rzucił się w oczy, nie zapowiadał żadnych niespodzianek. Trawa pod krasnałem była nienaruszona, więc nikt pod nim nie kopał. Obejrzeni figurkę od spodu – co prawda miała w środku otwór – gotową skrytkę – ale niczego nie krył. Na wszelki wypadek zlustrowali otoczenie, ale niczego nie znaleźli.

– Figura... figura... – zastanawiała się głośno Zuzka.

W pewnej chwili jej zmarszczone czoło rozpozgodziło się. Pobiegła do domu, a Jasiek za nią. Starannie zamknęli drzwi i zasłonili rolety.

Zuzia dopadła fotela Joanny. Janek, choć nie rozumiał, co mebel ma wspólnego z figurą, włączył się w przeszukiwanie jego zakamarków. Szpara pomiędzy oparciem a siedzeniem nie zawierała niczego oprócz okruchów i kurzu. Podłokietniki również nie były żadnym schowkiem. Dopiero podpięcie

tapicerki przy jednej nodze wydało im się trochę podejrzane. Chłopak obmacał wybrzuszenie, wyluskał spod niego niewielki pendrive i podał go Zuzce.

Dał znać dziewczynie, żeby poszła za nim. Najpierw nastawił na cały głos muzykę z odtwarzacza w salonie, później poprowadził Zuzkę do łazienki, gdzie odkręcił wodę. Pomimo podwójnego zagłuszania mówili szeptem.

– Jak tu był, chciał to mieć w zasięgu wzroku – stwierdził Jasiek.

– Wygląda jak ząb trzonowy – Zuzka bawiła się kawałkiem plastiku z charakterystyczną wtyczką. – I co teraz?

– Mówiła... czyli on mówił, że chce się wybrać, żeby poplotkować z Babcia.

– Wie, że Babcia jest w szpitalu – zwoje Zuzki pracowały na najwyższych obrotach.

– Wie też, że dom nie jest bezpieczny.

– Czyli szpital ma być tym miejscem.

– Tylko jak?

– Normalnie. Trzeba jechać. I tak miałam odwiedzić Babcie, więc najwyżej po prostu się z nią zobaczę i wrócę. Myślisz, że wiedzą, że znaleźliśmy?

– Nie wiem. Ale gdyby coś zwąchali, to trzeba mieć jakiś plan.

– Pomyślmy...

Jedno usiadło na sedesie, drugie na brzegu wanny.

– Powinam mieć to ze sobą w szpitalu – myślała na głos Zuzka.

– Nie możesz tam jechać sama. Jeśli nas obserwują i podsłuchują, to mogli coś zwąchać. W sumie masz około sześciu kilometrów przez las: tu, od mostu do głównej drogi i później między wysokim napięciem i barem Antczaka. Mogą ci zająć drogę i ukatrupić.

– Również dobrze mogą mnie ukatrupić w drodze do Wrońskich albo w windzie szpitalnej. Ale jeśli będę cały czas jechała przed jakimś innym samochodem, to im to trochę utrudni życie. Przecież nie będą mnie ukatrupiać na czyichś oczach. Dobra. Jadę.

Zuzka wstała z kibelka i nie wiedząc czemu, spuściła wodę. Spakowała Babci kilka pism, koszulę na zmianę, wodę mineralną i wiedząc, jaka z niej elegantka, komplet kosmetyków.

– Nie wiesz, czy dziś w Mieście jest otwarta poczta? – spytała, układając zakupione w Stolicy książki w przygotowanym do wysyłki kartonie.

– Ta na rynku w soboty jest czynna do czternastej. A co, chcesz mu to wysłać pocztą?

Zuzka wymownie popukała się w głowę. Zakleiła pudło z przesyłką i na kilka krótkich minut znów zniknęła w łazience. Wyszła z niej uczesana w koczek i wzięła kluczyki od samochodu.

– Czekaj, pomogę ci – Jasiek dzwignął paczkę z książkami, gwizdnął na Ryśka i wyszli.

Zuzanna nie była pewna, czy alarm w ogóle jest jeszcze przydatny, ale wychodząc, uruchomiła go na wypadek, gdyby miał jednak w czymś pomóc. Janek wstawił jej pudło do samochodu, poklepał w maskę na szczęście i wraz z Ryśkiem poszedł do domu, gdzie czekał na niego zręczliwy w chorobie ojciec.

Zuzanka wyczekała chwilę, kiedy na szosie pojawił się samochód. Z tego co pamiętała, chyba należał do weterynarza. Zajeżdżała mu drogę i pilnowała się, żeby ani mu nie odjechać za daleko, ani nie pozwolić się wyprzedzić.

Mieli dobre przecucie, że są obserwowani. Na łuku drogi Zuzka zauważyła, że za autem sąsiada podąża czarne BMW. Serce jej przyspieszyło, wywołując szum w uszach. Powstrzymała ochotę, żeby przycisnąć pedał gazu i uciekać, bo zdawała sobie sprawę, że to najgłupszy ze wszystkich pomysłów. Modliła się tylko, żeby weterynarz nie wybierał się w kierunku Stolicy. Miała szczęście. Kiedy dojechał do głównej drogi, skręcił za nią w stronę Miasta. Musiał chłopina mieć anielską cierpliwość, bo auto jadące przed nim poruszało się, delikatnie mówiąc, denerwująco.

Kiedy przejechali roгатki, w miejskim ruchu Zuzka nie obawiała się napaści. Za dużo ludzi. Zajęła więc swobodnie na parking, wytaskała ciężki pakunek i weszła z nim na pocztę. Czekając w kolejce, obserwowała przez okno, co się dzieje na ulicy. BMW stało w bezpiecznej odległości. Przez zaciemnione szyby nie widziała, czy i ile osób siedzi w środku. Wypisała list przewozowy, a kiedy chciała opłacić przesyłkę, zorientowała się, że pakując się do wyjścia, zabrała ze sobą wszystko, tylko nie torebkę z pieniędzmi i dokumentami.

– Sąsiadka się nie martwi – usłyszała damski głos. – Zdarza się. Ja zapłacę, a wieczorem albo jutro mi pani odda. W końcu sąsiady muszą sobie pomagać.

Pani Gołębiwska, jak zwykle w przyciasnej bluzeczce z głębokim dekoltem, uśmiechała się wyrozumiale zza okienka. Jakoś Zuzi nie przyszło do głowy, że mieszkańcy Wioski Małej mogą być zatrudnieni na posadach w Mieście. Z wdzięcznością przyjęła propozycję, odebrała od niej dowód nadania i wróciła do samochodu.

Gdy pod szpitalem zamykała auto, ktoś pchnął ją od tyłu, wyszarpał z ręki siatkę z wyposażeniem dla Joanny i uciekł między samochody. Dziewczyna w swoich sandałkach na obcasach nawet nie próbowała go gonić. Stała zdezorientowana i wściekła.

– A żebyś nogi połamała, bandyto! – zakląła pod nosem. – I z czym ja teraz pójde do Baaci?

W duchu pogratulowała sobie, że torebka została w domu. Już widziała oczami wyobraźni, jak biega po urzędach, żeby wyrobić skradzione dokumenty i blokuje karty płatnicze. Kupon totka pewnie nic nie wart, ale też był w torebce. I telefon. Uff!

Krótko biła się z myślami, co ma teraz zrobić. Od razu doszła do wniosku, że lepiej odwiedzić Joannę z pustymi rękoma i dać Anonimowi szansę kontaktu, niż wracać do domu po kolejną wyprawkę dla Babci i przegapić możliwość spotkania. Zatem ruszyła do wejścia. Uważnie rozglądała się, czy gdzieś nie czeka na nią znajomy. Mogła się też spodziewać, że przyśle kogoś w zastępstwie. Musiała być czujna, bo nie miała pewności, czy TAMCI w jakiś sposób nie będą chcieli podszyc się pod posłańca. Jednak w drodze na oddział nikogo nie było – ani znajomego, ani podejrzanego.

Joanna leżała w czteroosobowej sali z kobietami w podobnym wieku. Na widok wnuczki jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Przyszło moje szczęście jedyne – powitała ją uradowana. – Zabierz mnie stąd, bo tu z nudów nawet pająki wyzdychały.

Zuzia nawet nie zdążyła za sobą zamknąć drzwi, kiedy pojawił się w nich policjant. Skupił na sobie uwagę wszystkich kobiet, co jakby lekko go speszyło. Mimo to zwrócił się wprost do Zuzanny.

– Dzień dobry, pani chyba coś dla mnie ma.

Zuzka spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich coś, co zapaliło jej w głowie czerwoną lampkę. Zaufała intuicji.

– Dłaczego miałabym coś mieć dla pana?

– Przychodzę od naszego wspólnego znajomego. Miała się pani tu z nim spotkać – drążył.

– Nie umawiałam się tu z żadnym znajomym. Przyszłam odwiedzić chorą Babcie i jak pan widzi – dziewczyna rozłożyła ręce – nic nie mam.

O tak, widział dokładnie. Deszcz, nie deszcz, wciąż trwało lato. Dziewczyna miała na sobie obcisłą sukienkę pozbawioną kieszeni czy zakładek, a pod nią nic, z wyjątkiem kusių majteczek, widocznych pod cienką materią.

– Okradziono mnie – kontynuowała. – A skoro już pan tu jest, to może przyjmie pan ode mnie zgłoszenie napaści?

– Ja jestem z innego wydziału. My się tym nie zajmujemy. Więc gdzie to pani ma? – jego głos stał się nastawiony.

Nie spodobało się to Joannie, która dyskretnie sięgnęła do dzwonka przy łóżku.



– Mam niejasne wrażenie, że mnie pan z kimś pomylił. Może w innej sali leży osoba, o którą panu chodzi.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

– Kto mnie wzywał?

– Ja, siostrzo – Joanna przywołała ją ruchem ręki. – Cewnik mi się odpiął.

Widząc, że pielęgniarka zasłania ją od „policjanta”, mrugnęła porozumiewawczo.

Po przygodach z napadem na oddziale piętro niżej wszyscy pracownicy szpitala byli lekko przeczerwieni. Pielęgniarka wyczuła, że coś nie gra, tym bardziej że doskonale wiedziała, że pani Nowakowa nie ma żadnego cewnika.

– Proszę wyjść na korytarz – wyprosiła gości. – Muszę obsłużyć pacjentkę.

Kiedy tylko za Zuzią i „policjantem” zamknęły się drzwi, Joanna złapała siostrę za rękę.

– Proszę wezwać ochronę, a najlepiej policję. To przebieraniec. Tylko, na miły Bóg, dyskretnie! I niech pani ratuje moją wnuczkę od tego łobuza.

Pielęgniarcie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wychodząc, odwróciła się jeszcze w otwartych drzwiach.

– I niech pani się tak nie kręci, to się pani cewnik nie będzie odpiął – dopełniła przedstawienia.

Widząc, że „policjant” stanął, zagradzając Zuzce drogę do wyjścia, podeszła do niej zdecydowanym krokiem.

– A panią proszę do dyżurki, musimy porozmawiać o wypisie. Pan tu zaczeka – zarządziła.

Kobiety oddaliły się od intruza i zniknęły w pomieszczeniu służbowym. Śledził je wzrokiem, ale ponieważ na korytarzu kręciło się sporo osób, nie pozostało mu nic innego, jak czekać na odpowiedni moment. Przecież mu nie uciekną, a lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Jakież było zdziwienie Zuzanny, kiedy w pokoju pielęgniarek zastała Anonima. Była bliska rzuceniu mu się na szyję.

– Mamy ich – oznajmił bez wstępów.

– Czyli to już koniec, możemy odetchnąć? Już nic panu nie grozi? – ucieszyła się Zuzka.

– Aż tak pięknie to nie jest. Na razie mamy tych z samochodu, który panią śledził, i za chwilę zdejma tego z korytarza. Ale będziemy ich odławiać pojedynczo jak gówno z basenu. Znalazła to pani?

Zuzanka sięgnęła do spinek we włosach i rozpuściła kok. Z gąbkowego krążka, na którym był upięty, wyluskała kartę pamięci i malutki pendrive.

– Gdybym schowała to gdzieś w torbie, to już by przepadło – oddała własność we właściwe ręce.

– Powinna pani zostać agentem specjalnym – zażartował Anonim. – Nie mam zbyt dużo czasu, więc nie pora na wyjaśnienia. Ręce i nóżki odrabujemy, ale została nam jeszcze głowa. Mamy nadzieję, że już do nich dotarło, że w domu nic nie ma, bo to co było, przejeliśmy. Ale na wszelki wypadek będziecie mieć dyskretną ochronę. Już tam są. I sami na siebie też uważajcie. Po południu przyjedzie ekipa poszukać ewentualnych podsłuchów i przy okazji sprawdzić alarm. Jeśli pani nie będzie pewna, czy to właściwi ludzie, to proszę zapytać, czy spotkali leśniczego. Nasi odpowiedzą, że widzieli tylko zającą z małymi. Z telefonów będzie można swobodnie korzystać dopiero, jak je chłopaki przejrzą. Pan Janek i Artur też niech przyjdą ze swoimi. Proszę ich pozdrowić ode mnie. Odezwę się, jak tylko będę mógł. Dziękuję.

Anonim długo ścisnął rękę Zuzi. W końcu schował starannie kartę pamięci do portfela, pendrive'a do kieszonki w džinsach, nasunął na czoło czapkę z daszkiem i wybył. Zuzanna miała problem, żeby ochłonąć po tej rozmowie. Do przytomności przywołała ją pielęgniarka, która oznajmiła, że Babcie można od razu zabrać do domu. Zanim się zbiorą, lekarz przygotowuje wypis.

Po porannej ulewie nie było ani śladu. Jezdnia już wyschła i jedynym efektem deszczu było to, że poweselała zieleń i lżej się oddychało. W drodze do wioski Zuzanna wciąż rozglądała się w obawie, czy

nie czeka ich jakaś niespodzianka. Na wszelki wypadek nie rozpędzała się za bardzo, a zza każdego łuku drogi wychylała się tak, by widzieć, zanim sama będzie widziana. Pewnie taka przezorność i tak nic by jej nie dała. Wiadomo, że złoczyńców nie sposób przechytrzyć, szczególnie dwóm słabym kobietom, ale ostrożności nigdy dość. Odetchnęły dopiero, kiedy znalazły się we własnym domu.

Przeskanowanie wnikliwym spojrzeniem nie wykryło żadnych zmian w otoczeniu. Jedynie opodal mostu siedział jakiś zagorzały wędkarz, nie bacząc na żar z nieba.

– Gdzie ta ochrona? – denerwowała się młodsza Nowaczka, gdy tymczasem starsza uznała, że pierwsze, co musi zrobić, to zmyć z siebie zapach szpitala, i weszła pod prysznic.

Ponieważ zbliżała się pora obiadu, Zuzka rozpoczęła swoje rządy w kuchni. Zanim wrzuciła panierowane kotlety na patelnię, zadzwoniła do chłopaków. Rozmowa z każdym z nich wyglądała tak samo:

– Cześć, nie planuj niczego na popołudnie, bo mamy imprezkę. Wpadnie kilku znajomych. Obecność obowiązkowa. Nie rozstawaj się z telefonem, bo zadzwonię, kiedy się zacznie.

W postawieniu ziemniaków na gazie przeszkodził jej dzwonek do furtki. Stał tam lekko przygarbiony starszy pan. Zuzka nie przypominała sobie, żeby widziała go wcześniej wśród wiejskich sąsiadów, ale po takim staruszkowi raczej nie należało spodziewać się żadnego zagrożenia. Zaciekawiona, po co przyszedł, otworzyła furtkę.

– Uciekła mi papuška, czy nie widziała jej pani u siebie w ogrodzie? Wciąż mi ucieka, a potem waluje obcym ludziom do mieszkań. Czy możemy sprawdzić, czy nie ma jej u pani?

Los zwierząt nie był obojętny dziewczynie o złotym sercu, więc zatroskana razem z dziadkiem przeszukiwała wszystkie drzewa w ogródku, a później zaprosiła go do środka, by sprawdzić, czy ptaszysko nie zabłądziło do któregoś z pomieszczeń przez otwarte okno.

Ledwie przekroczyli próg domu, kiedy dziadek wyprostował plecy i zmienił głos ze starczoskrzeczającego na wrogo-zdecydowany.

– Gdzie to jest? – zapytał groźnie.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Zuzka tyłem wzdłuż ściany przesuwając się w kierunku kuchni i, wciąż cofając się przed postępującym za nią pseudodziadkiem, zbliżała się do kuchenki. Gdzieś tam są noże – myślała – albo inne narzędzia, którymi da radę się obronić.

Odświeżona, wypachniona i uśmiechnięta pokazała się w drzwiach do salonu Joanna. Zaskoczona wizytą obcego mężczyzny, a tym bardziej strachem w oczach wnuczki, zatrzymała się w pół kroku.

– Kogóż tu mamy?! – zareagował na jej widok napastnik i ruszył w jej stronę.

Zuzka nie czekała, by zrealizował swoje zamiary względem Babcia, jakie by one nie były.

Noża żadnego w zasięgu ręki nie dostrzegła, skwiercząca patelnia z kotletami groziła jej samej poparzeniem, ale garnek na ziemniaki nadawał się w sam raz. Złapała go pewnym chwytem i doskoczyła do intruza. Co prawda zdążył się odwrócić, ale nie zdążył zareagować.

– Forhend! – krzyknęła Zuzka, żeby dodać sobie odwagi, i walnęła na odlew prosto w ucharakteryzowaną głowę.

Głowa pod wpływem uderzenia odskoczyła w bok, tupecik imitujący siwiznę spadł na podłogę, ale napastnik nadal był na nogach.

– I backhand – głos Zuzki był cichszy, ale uderzenie wcale nie lżejsze.

Głowa poleciała w drugą stronę, a w ślad za nią reszta ciała padła na wznak.

– Dziecko! – Babcia złapała się za serce. – Co tu się dzieje?!

– Dobrze się czujesz? – Przestraszona wnuczka dopadła Joanny, porzucając z brzękiem niepotrzebny już garnek.

– Ja dobrze, ale jemu to chyba potrzebne pogotowie. Dzwoni natychmiast.

Zuzanna powiodła wzrokiem od jednego do drugiego, badając stan obojga.

– Mam nadzieję, że żyje. Boże, gdzie ja miałam głowę, żeby tu kogoś wpuszczać! Halo! – ostatnie słowo padło już do słuchawki. – Chyba zabiłam człowieka, przyslijcie karetkę...

Razem z karetką pod drzwiami zjawił się wezwany przez służby radiowóz.

– Odmawiam wszelkich zeznań – kategorycznie oznajmiła Zuzanna przedstawicielom władzy. – Chyba że widzieliście leśniczego – dodała po namyśle.

Aspirant Ziółkowski ze swoim partnerem zapewne uznaliby ją za niepoczytalną i wyprowadzili w kajdankach, gdyby w samo epicentrum wydarzeń nie wtargnęli dwaj rośli cywile. Machnęli legitymacjami przed nosem obu miejscowych policjantów.

– Przejmujemy śledztwo – oświadczyli krótko. – Poprosimy raport na jutro do dwunastej.

– Jutro niedziela – nieśmiało zaprotestował chudzielec w mundurze.

– Bandyci nie mają niedziel. A teraz proszę nie przeszkadzać – zakończył wszelką dyskusję starszy z cywilów.

Ratownicy medyczni przypięli pasami do noszy poszkodowanego, zapakowali go do karetki i zamiast grzecznościowego pożegnania jeden z nich rzucił:

– Otwórzcie sobie lokalny oddział ratunkowy, bo niedługo będziemy musieli przenieść się tu na stałe.

Faktycznie. Która to już ich wizyta w Wiosce Małej?

– Sprawdź, co z Zatorskim – polecił starszy z gości młodszemu, po czym zwrócił się do gospodyń. – A teraz spokojnie proszę mi opowiedzieć, jak to było – przedstawiciel służb rozsiadł się przy stole, wyjął notatnik i cały zamienił się w słuch.

– Nie powiem ani słowa – Zuzka szła w zaparte.

– Proszę nie utrudniać – przemawiał jej do rozsądku cywil.

– A leśniczego pan widział? – padło nieoczekiwane pytanie.

– Po co pani leśniczy? – dochodzeniowiec zaczął podejrzewać, że dziewczyna jest w szoku po niedawnych przeżyciach.

– Nie, nic, tak pytam, bo drewno do kominka chcieliśmy z Babcią kupić, ale skoro nie widzieliście leśniczego...

Zuzanna usiadła naprzeciwko niego, splotła ręce na piersiach, wodziła oczami po suficie i pogwizdywała. Wyglądało na to, że nie ma najmniejszego zamiaru dzielić się wiedzą o zajściu. Patowa sytuacja trwałaby w nieskończoność, gdyby nie pojawiła się kolejna ekipa. Dodatkowych dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn wkroczyło do salonu, taszcząc ze sobą podejrzanie wyglądający sprzęt.

– Wcześniej nie mogliśmy przyjechać, bo nie mieli techników do napadu na pocztę. Od czego mamy zacząć, panie kapitanie?

– Róbcie swoje. My tu mamy do pogadania z paniami – machnęła notesem kapitan, dając znać, żeby każdy zajął się swoją działką.

– Już mówiłam, nie będziemy gadać – zacięła się Zuzka.

Joanna co prawda nie protestowała przeciwko zeznaniom, ale ufając wnuczce, uznała, że widocznie jest jakiś powód, dla którego mają trzymać języki za zębami. Jednak ciekawość wzięła górę.

– Dlaczego nie mamy im nic mówić? – spytała wnuczkę półszepetem.

– Bo nie widzieli leśniczego – padła równie „dyskretna” odpowiedź.

– Leśniczego? – zainteresował się jeden z przybyłych. Wszystkie oczy skierowały się na niego. – Leśniczego nie widzieliśmy, ale zająca z młodymi. To ja zacznę od góry. Nie mają panie nic przeciwko

temu? Dawaj, Zdzisiek, bo do jutra nie skończymy.

– A ci panowie – Zuzka wskazała na pierwszą przybyłą tu ekipę – to też od zajęcia?

– I od młodych – potwierdził Zdzisiek, jeżdżąc jakimś sobie tylko znanym urządzeniem po sprzętach. – To nasz kapitan. On tu rządzi.

Uspokojona tym oświadczeniem Zuza najpierw zajrzała do zapomnianych kotletów, a dopiero później już bez oporów opowiedziała z detalami całe zajście.

– I chciałabym wiedzieć, gdzie ta obiecana ochrona – zakończyła z wyrzutem.

– Też chciałbym wiedzieć – pytanie kapitana skierowane było do młodszego z dochodzeniowców, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Karol zjadł kebab i musiał zejść z posterunku. Twierdzi, że cały czas siedział przy moście, aż sobie głębę spalił na słońcu i tylko na chwilę poszedł w krzaki. Mieli mu tu podesłać kogoś do wsparcia, ale mają zabawę z tymi, których zgarnęli w szpitalu. Zdzichu! – krzyknął w przestrzeń. – Dołóż kamerek na odchodne!

– A panowie się nie boją, że my tu sobie tak gadu-gadu, a dezynsekcja jeszcze nie skończona? – zaskoczyła wszystkich Joanna.

– Niby, że co? – obaj wbili w nią spojrzenie.

– Wytępiłście wszystkie pluskwy, że tak swobodnie rozmawiamy? – Joanna sprecyzowała swoje wątpliwości.

– Widzę, że pani nas nie docenia. Mamy zagłuszanie – uspokoił ją kapitan.

– To wy nas, panowie, nie docenicie. – Głos Joanny nie brzmiał sympatycznie. – Gdyby nie słaba pleć, nasza przezorność... i garnek, to bandyci w całym województwie wyczynialiby, co chcieli. Ludzi wam ratujemy, za przechowalnię fantów i za kurierów robimy, przestępców unieszkodliwiamy, a wy tu tylko na gotowe... Muszę zażyć lekarstwo, bo znów mi słabo. Gdzie te moje pastylki?

Jasiek i Artur nie mieli pewności, czy wezwanie dotyczy dochodzenia, czy faktycznie zostali zaproszeni na imprezę. Poza tym, chcąc przydać swojej wizycie wiarygodności, nie przyszli z pustymi rękoma. Każdy dzierzył niby zapakowaną, ale z daleka rozpoznawalną flaszkę, które od razu powędrowały do schłodzenia. Po zakończeniu wszelkich zabiegów związanych z likwidacją podsłuchu (owszem był, ale tylko w salonie), oczyszczeniu telefonów z pluskiew (owszem była, ale tylko u Zuzanny) – Jasiek ze swoim się nie rozstawał, a Joanna miała stary model – nie przyjął aplikacji szpiegowskiej), sprawdzeniu alarmu (dolożono jeden moduł i „cichy alarm”), domontowaniu dodatkowych kamer w martwych punktach, całej liście przetróg i wskazówek postępowania... obie ekipy opuściły dom Nowaczek, odmawiając wódeczki i zapewniając, że przy zachowaniu wszelkiej ostrożności wszyscy są bezpieczni.

– Bezpieczni to będziemy, kiedy nie trzeba będzie zachowywać ostrożności, tylko żyć – sarkana Babcia. – Zuzia, podaj te kotlety, zjemy z chlebem. A ty, chłopcze – zwróciła się do Jaska – polej po kropelce na lepszy sen.

Z samego rana Zuzanna wybrała się oddać dług uczynnej sąsiadce. Artur wytłumaczył jej, gdzie mieszka pani Gołębiewska, która na poczcie poratowała ją pożyczką. Dziewczyna zgodnie ze wskazówkami zapukała do drzwi domu z zielonym dachem.

– Dzień dobry – powitała odzianego w przyciasny garnitur gospodarza. – Ja do pani Gołębiewskiej. Przyszedłam oddać pieniądze.

– Pieniądze mogę przyjąć, ale Gołębiewska to nie tu – poinformował sąsiad, mocując się z wiązaniem krawata.

– Artur mówił, że dom z zielonym dachem naprzeciwko krzyża – zdezorientowana Zuzanna jeszcze raz przyjrzała się okolicy.

– No – potwierdził gospodarz. – Zgadzałoby się. Ino ten krzyż to jest z kapliczką, a jak pójdziesz dalej, to zobaczysz taki, co sam stoi. Chorągiewkami ustrojony. To tam będzie Gołębiwska. A co do kapliczek, to od dziś mamy o dwie mniej.

– Jak to? – zdziwienie Zuzanny było niepomierne. Do Nowakówny już na początku pobytu w Wiosce Małej dotarło, że ludzie tu żyją bogobojnie i widać mają wiele do zawdzięczenia Opatrzności, bo nadal się do niej odwołują w ciężkich chwilach.

– Jakieś wandale zdewastowały dwie kapliczki od strony Wrońskich. Świętego Floriana, co to wieś przed pożarem ocalili, to w zbożu Drogowskiego znaleźli, a cały kamienny postument pod nim to tak rozkopali, że na środku drogi leżał. Kombatniści o świcie mało go nie rozjechał, bo jeszcze rano mgły się znad stawów Marcinkowskiej snuły, jak on do żniw nad bagienko jechał. A świętego Walentego to do rowu przewrócili i też pod nim takie lochy wykopali, że ziemniaki można zadołować na zimę. Satanisty pieprzone. Ale ten duży przy Gołębiwskich jeszcze stoi, to znajdziesz.

Zuzanna w zdziwieniu tylko kręciła głowę. Podziękowała za wskazówki i po drodze ponownie przyjrzała się mijanemu krzyżowi. Był kamienny, a w dolne postumentu wykutą miał wnękę, w której za zamazaną szybą roztaczała opiekę nad tą częścią wsi Matka Boska w wypłowiej sukience. Nad następnymi rozstajami rzeczywiście górował umajony przez kobiety prosty metalowy krzyż. Naprzeciwko niego znajdował się kolejny dom z zielonym dachem.

– Olaboga! Pani! – powitała ją lamentem sąsiadka. – Pani wejdzie. Proszę, proszę. Przepraszam za bałagan, bo dopiero ze mszy wróciliśmy.

Pani Gołębiwska w pośpiechu zbierała z mebli porozkładane tam ubrania, wygładziła obrus na stole i poprawiła wazon ze sztucznymi różami.

– Szarlotkę upiekłam. Skosztuje pani, naturalnie. – Zuzka przystała na poczęstunek, bo zabrzmiało to serdecznie.

Przy herbatce wyjaśniło się, skąd takie emocjonalne powitanie.

Otóż pani Gołębiwska wczoraj ledwie uszła z życiem. Był napad na pocztę. Dwóch bandytów sterroryzowało pracowników i klientów.

– Mówię pani, jak na filmie jakimś. Kazali nam leżeć i się nie ruszać, a kierowniczką musiała ich wpuścić na zaplecze. Jeden trzymał nas na muszce, a drugi plądrował paczki. Te pani książki, to po całym urzędzie porozrzucali, każdą karteczkę przetrząsnęli. Innymi paczkami też się interesowali, ale jakby mniej. Tylko kilka przesyłek było, bo to teraz nie sezon. Co innego przed świętami, ale teraz... No i chyba nic nie znaleźli, bo jeden ciepnął ostatnią książką o ścianę i mówi: „Kurwa, nie ma”. I mówi: „spieprzamy!”. No i spieprzyli. Ale sie pani nie martwi. Jak oni se poszli, to ja te książki pozbierałam i co z nich zostało, to z powrotem włożyłam do tego pudła... Trochę je uszkodzili, ale taśmą zakleiliśmy dookoła, to się utrzyma. Ale skasować za przesyłkę to muszę.

– Oczywiście, pani sąsiadko – zapewniła Zuzanna, kładąc na stole odliczone banknoty. – Nic nikomu się nie stało? – spytała zaniepokojona.

– Naszym... znaczy pracownikom i klientom, to nie. Ale tamtych, jak policja ich na parkingu między lufy wzięła, to się zaczęli stawiać i trochę ich tam poszturchali. Przez okno wszystko widziałem. No a potem to już nas magłowali ze dwie godziny. Miałam wrócić do domu i wstawić gąskę na niedzielny obiad. Ale, pani! Toż ja do życia się nie nadawałam. Koniaku se wlałam do szklanki, bo na spokojność trza było coś zażyć, a i tak całą noc oka nie zmrzyłam. A panie sobie tam żyją spokojniutko, jak u pana Boga za piecem, nawet nie wiecie, jakie tu kryminały w tym mieście się dzieją. Nalóżę pani jeszcze jabłeczniaka. Dobry, z własnych jabłuszek zeszlórocznych. Bo my tu tylko późną odmianę w ogrodzie mamy. Malinówka. Jedyna we wsi.

– No to rzeczywiście miała pani straszne przeżycie. – Zuzanka za nic nie dałaby poznać, że poniekąd była tym przeżyciom winna.

– Ech, pani! Taki to już nasz los. Gołębiwskich, znaczy. – I niezachęcana zaczęła snuć opowieść. – Bo jak we wojnę tu ruskie nastali, wysiadali z co lepszych chałup gospodarzy i na kwatery je sobie

przeznaczali. Kurów to pani, ani jednej we wiosce nie było, bo wszystkie, co ich chłopcy nie pochowali, to pierwszego dnia tego „wyzwolenia” pod nóż poszły. Dziewuchy i młodych chłopaków, co do partyzantki się nie nadawały, to z całej wsi razem z krowami i nierogacizną do lasu wywieźlim... znaczy nasze ojce. No i dzieci, coby ich pijane wojsko nie pokrzywdziło. Wyzwoliciele, nie wyzwoliciele, ale żołdak żołdakiem zostanie. No i wódki im się po nocy zachciało... Wyzwolicielem, znaczy. To taki lejtnant staremu Gołębiewskiemu lułę do piersi przyłożył i mówi: „Dawaj samogon!”. Stary pomniał, że to Nikodema, toż nie będzie kłamać, że nie ma. Poszedł do ziemianki po baniek gorzały i im dał. W końcu życie ważniejsze. Tak się ruskie popiły, że dawaj starego całować i wdzięczność za gościnę okazywać.

– Prawilnyj chłop z ciebie, batiuszka, mówi. Masz tu złoty sygnet na szkopach zdobyty, mówi. Z rubinem, mówi. Całą wieś ze za niego kupisz, mówi. A jak nam jeszcze jedną baniek przyniesiesz, to ci karabin dołożymy. Przyniósł i nie dołożyli. Ja tu, lejtnant mówi, byle chłopu broni składać nie będę. Wojna jest, mówi, to się broni nie oddaje.

To, że nakłamali, to dziadki Gołębiewskie się zaraz po trzech dniach dowiedzieli, bo jak ofensywa ruszyła, to ten ich czołg na granicy Protektoratu z Generalną Gubernią na minę wjechał. Tylko gąsienice rozerwał, ale dalej jechać bez gąsienicy się nie dało i ich ostrzelali z ciężkiej broni i pogib lejtnant z drugami swojemi. Stary Gołębiewski sygnet we słoju ze smalcem w komorze zatopił, ale długo się nim nie pocieszył. Jak na drugi rok ubeki przyszli zboża po stodołach szukać i znowu bronią straszli, to go dziadki chcieli tym sygnetem przekupić, żeby chociaż ze dwa worki na siew zostawili. Ale ten taki w skórce do ziemi powiedział, że zna się na jubilerce i, że to nie żadne złoto, tylko tombak. Tombak, nie tombak, ale wziął. Musi to jednak nie było trefne złoto, bo ich „leśni” z zarekwirowanymi furmankami zboża wzięli w ogień i po chłopach. Na drugi dzień, to już był czwarty sierpnia, to można było ten napad na ubeków bez strachu o własną skórę zwalić na niemieckich maruderów. Ino zboże chłopcy pod figurą zakopali, coby go drugi raz nie skonfiskowano w imieniu państwa i ludowego rządu. Tak że widzi pani, jak kto nosi nazwisko Gołębiewski, to w każdym pokoleniu pod jakąś lułę będzie wystawiony. Dorobić jeszcze herbatki?

Zuzanna wymówiła się od poczęstunku, podziękowała za wszelkie starania i pognęła do domu. Teraz to już nigdzie nie czuła się bezpieczna. Zaczęło jej jednak w głowie coś nieśmiało świtać na temat tego zakopywania skarbów pod figurą. Nie wiedziała, czemu ją to męczy, ale zasiany w głowie niepokój powoli zaczął kiełkować.

Z zapasów, które miały w spizarce i w lodówce, w ramach odreagowania stresu, nagotowały z Joanną cały gar chłodnika i nalepiły bodaj ze dwieście pierogów.

– Chyba zaczniemy je sprzedawać – zażartowała Babcia.

Ledwie słowa wyszły z jej ust, kiedy obie spojrzały na siebie uważnie.

– Może to jest jakiś pomysł? – zastanawiała się na głos Zuzanka.

– Chcesz otworzyć tawernę? Jak matka? Ja tylko żartowałam z tą jadalnią. Nie po to kończyłaś porządne studia, żeby stać przy garach.

– Kiedy ja to lubię – Zuzka zlekceważyła swoje wykształcenie. – Poza tym, co tu można robić?

– Przecież nie musisz tu tkwić. Zatrudnisz się w mieście... Nie musisz się przeprowadzać, możesz dojeżdżać. Ludzie pokonują do pracy nie takie odległości.

– Po pierwsze – Zuzanka otrzepała ręce z mąki – mnie się tu podoba. Po drugie, w moim zawodzie trzeba mieć ojca w dyplomacji albo niezłe nogi, żeby kogoś przyjęli na jakieś przyzwoite stanowisko.

– Twoim nogom niczego nie brakuje – zaoponowała Babcia.

– No – dziewczyna zaczęła układać gotowe pierogi w plastikowych pojemniczkach. – I z tymi moimi nogami, ale za to bez pleców, to ja mogę plakaty wyborcze rozklejać po mieście albo stać z ulotkami na skrzyżowaniu. To tam konkurencja na tym rogu lepiej zarobi ode mnie. Pomyśl... jak byśmy tak... nie jakiś bar ani inną knajpę, tylko takie domowe obiady gotowały dla sąsiadów... Kuchnię mamy taką, że

aż jej żal na te nasze sałatki. Przecież i tak dla siebie gotujemy, to dwa ziemniaki w tę czy we w tę, a zawsze by wpadł jakiś grosz.

– Aha. I sanepid by wpadł, i urząd skarbowy, i ZUS. Wszyscy by tu do nas wpadali.

– ZUS i tak płacimy. Znaczy ja płacę, bo tobie to ZUS płaci. A sanepid... To by trzeba było tak zarejestrować, żeby sanepid nie miał tu czego szukać. A o urząd skarbowy to niech się martwii księgową. Chyba gdzieś tu w pobliżu jest jakaś.

– Nawet całkiem blisko. Kryśka, ta od Leona, porobiła kursy. Chwaliła się przy brydżu, że nawet burmistrzowa u niej się rozlicza, bo jak miała jakieś biuro w Mieście, to jej taki przymiar przywalili, że musiała sprzedać futro. Wiesz, to nie było takie łatwe, bo teraz sami ekolodzy w tym kraju i nikomu nie wciśniesz jenotów. Prędzej sztuczną szczękę mało używaną sprzedasz niż skóry... Córku, ja tylko żartowałam o tej jadłodajni, żeby policja nam tu po głowach nie tańczyła na temat tego „szyldu” na płocie.

– Ale to jest całkiem dobry pomysł. Zobacz, ilu tu samotnych facetów we wsi. Nie ma kto o nich zadbać.

– Duzi są, niech sami o siebie zadbają – fukała Joanna. – To dopiero sobie będzie Jolka zębki ostrzyć na tobie, kiedy ty tak na poważnie zostaniesz etatową „żoną dla rolnika”. Narobi ci wsi na całą wieś – spróbowała innego argumentu.

– Z Jolką sobie poradzę. Najważniejsze to przytakiwać wariatom.

Przez most z rykiem silnika przejechał znajomy motocykl.

Zuzanna spojrzała za nim z tęsknotą.

– Ech, wsiadabym tak jak on i pojechała – westchnęła. Ale otrząsnęła się ze słabości, zamknęła na glucho ostatnie pudełko z pierogami i wrzuciła je do zamrażarki. – Zamiast się roztkliwiać nad sobą, trzeba się wziąć do roboty, bo nie zamierzam zostać rentierką własnego ojca.

– Pieczeniarsz się to nazywa – odpowiedziała Babcia.

W poniedziałek skoro świt Janek pożyczonym od Jolki wózkiem przywiózł naburmuszonego ojca „na przechowanie” do Nowaczek. Dobrze, że Joanna ma zwyczaj wczesnego wstawania, bo o tak rannej porze nie byłoby komu otworzyć furtki.

Zanim Jasiak pożegnał się ze wszystkimi, opowiedział jej o kolejnej przykłej niespodziance.

– Wczoraj Walenty i Florian, a dzisiaj ta kapliczka z Matką Boską uszkodzona. Co ja mówię? Nie uszkodzona, tylko całkiem zdewastowana. Wyjechaliśmy z ojcem zza plotu, spojrzałem w perspektywę drogi, a tam krzyż się wala, Matka Boska w krzakach, a dół po krzyżu jak lej po bombie. Co tym ludziom do głowy przychodzi i skąd? Przecież tu nigdy nie było żadnych satanistów.

– Nie wszystkie są wierzące – wtrącił pan Kowalski.

– Ale nikomu z tych niewierzących nie przyszło dotąd do głowy, żeby niszczyć pamiątki sakralne.

– No to teraz se wymyślili zabawę. Ty też jak już coś wymyślisz, to tylko, żeby dobić człowieka. – Starszy pan Kowalski każdym gestem i miną wyrażał swoją dezaprobatę dla pomysłu objęcia go nadzorem.

Usadzono go w fotelu na tarasie, pod złamaną nogę podstawiono wyłożony ocalałymi z pogromu poduchami i kocami stół, dostał babskie pisma, żeby mu się nie nudziło, nadał się jak purchawka i na pożegnanie odchodzącemu do pracy synowi zamiast ciepłego słowa pokazał język.

– Ubezwłasnowolnili nas – oznajmił zadowolonemu z porannego spaceru Ryśkowi.

Pies pokręcił się w poszukiwaniu najdogodniejszego miejsca, po czym rozciągnął się leniwie w słonecznej plamie u szczytu schodków.

– Ooo, dzień dobry – powitała gości Zuzanna, która z kubkiem porannej kawy pojawiła się prosto spod natrysku okutana w zbyt gruby jak na ciepły poranek szlafrok. – Panu też zrobić kawkę? A ty – zwróciła się do psa – czego się napijesz?

Rysiek nawet nie uniósł powieki.

W kilka minut przed Stanisławem Kowalskim pojawiła się filiżanka kawy, a przed Ryskiem miska chłodnej wody.

– Jadł pan śniadanie? – spytała nawykła do gościnności Joanna.

– Wmusił we mnie zimne nóżki i biały serek, że to niby na zrastanie się kości. Okropne zestawienie. Wyobraża sobie pani zimne nóżki w taki upał i do tego bez setuchny? Sadysta. – Pan Stanisław przysunął sobie filiżankę. – Sam żarł kielbasę podsuszaną z musztardą. Tak syna wychowałem, że mi teraz życie zatruwa.

– Panie Stanisławie, przecież to wszystko dla pańskiego dobra – Babcia próbowała przemówić mu do rozumu.

– Niby dla mojego dobra narobił mi apetytu tą poddawelską, żeby karmić nabiałem? I wywiózł z własnego domu na łaskę obcych bab, za przeproszeniem. Dziękuję za taką troskę.

– Dba o pana.

– Tak dba, że chwili spokoju przez ten cały jego urlop nie miałem. Chciał się człowiek zdrzemnąć, a tu: „może tatusiowi herbatki przyniosę”, mecz siatkówki, tie break, każde odbicie się liczy, a on mi skacze przed nosem, żeby wentylator podłączyć, żeby mi za gorąco nie było. Naleweczki sobie kieliszczek odmierzyłem, a on mi go od ust wyszarpał, że niby żadnego alkoholu, bo się z lekami na ciśnienie pożeni. Jak tu żyć, proszę pani, jak żyć?

– Coś panu powiem – Joanna konfidencjonalnie zniżyła głos. – A ty, Zuzka nie słuchaj. Niech sobie ci młodzi mówią, co chcą, a my tu sobie na stare lata nie będziemy niczego żalować. Pan tu sobie posiedzi, zrelaksuje się, dopije kaweczkę, a my już coś dobrego wymyślimy na te smuteczki. Lubi pan galaretkę owocową?

– Na samo słowo „galaretką” dostają dreszczy, ale ten mój prawie medyk twierdzi, że powinienem, to nie mam wyjścia. Byłe nie była rozmemłana, co najwyżej takie drygłe, ale w taki upał, to o ściętą galaretkę trudno.

– Niech się pan nie martwi, będzie akuratna. A ty się lepiej ubierz – wygoniła Zuzannę z tarasu.

Kobiety porzuciły pana Kowalskiego razem z jego negatywnym nastawieniem do świata i w kilka chwil zabrały się do szykowania frykasów. Powoli panu Stanisławowi poprawiał się humor, kiedy z kuchni dochodziły do niego zapachy pieczonego ciasta i zgodne dźwięki „Jadą goście, jadą...”.

Zuzanna z plastikową salaterką na głowie, na wzór afrykańskich kobiet, nie przerywając śpiewania, udała się w kąt ogrodu, żeby narwać malin i jeżyn na galaretkę dla gościa. Umorusaną rozgniecionymi owocami zastał ją przy tej czynności kolejny przybysz.

Na ścieżce pojawił się ubrany w kościółkowy garnitur wyjątkowo trzeźwy Kacper Bożymorski z ogromnym wiechem kwiecica, nasuwającym na myśl wiązanki nagrobne. Zanim postąpił bliżej, wytarł czubki butów o tył nogawek spodni, przyglądził i tak przyzłizaną grzywkę, poprawił przekrzywiony krawat, chrząknął bardziej dla dodania sobie odwagi niżli z chryпки i, nie zważając na zaciekawione spojrzenia Joanny i Stanisława, wyprężył się przed Zuzanną.

– Cześć, Kacper – powitała go zaintrygowana wizytą dziewczyna. – Czyj to pogrzeb? – spytała, zastanawiając się, czy zajęci swoimi problemami nie przegapili przypadkiem tak smutnego wydarzenia we wsi.

– Ja do ciebie – głos Kacpra i wszelkie sygnały niewerbalne, które wysyłał, zdradzały jego desperację.

– Naradziliśmy się z Dominikiem, wygrałem z nim zakład a przyszedłem poprosić cię o rękę.

– Przyszedłem – bezwiednie poprawiła Joanna.

– Babciu! – upomniała ją Zuza, uznając, że w takiej chwili nie czas na naukę poprawności językowej.

– A o co się założyliście? – zwróciła się do Kacpra.

– Kto zje więcej jabłek. Dominik przy jedenastym się porzygał i przegrał – Kacper lekko się skrzywił, przestąpił z nogi na nogę i wcisnął Zuzannie bukiet w rękę.



– Czy mogę skorzystać z toalety? – Wyraz jego twarzy wskazywał, że sprawa jest bardzo pilna.

– W korytarzyku po lewo – wskazała Babcia i usunęła się z drogi. Dobrze zrobiła, bo impet, z jakim gość ruszył we wskazanym kierunku, zapewne zmiotłby ją z przejścia.

– Gdybym wiedział, że u was zawsze tak ciekawie, to nie trzeba by było mnie tak długo namawiać – pan Stanisław aż poprawił się w fotelu, szykując się na ciąg dalszy przedstawienia.

Z łazienki, chociaż oddalona od tarasu, dobiegały niepokojące dźwięki. W końcu wyłonił się z niej pobladły nieco Bożymorski.

– Przepraszam – bąknął słabym głosem. – Co to ja... Aha. No to wyjdiesz za mnie?

– Kacper, bardzo mi pochlebiają twoje oświadczenia, czuję się zaszczycona i wyróżniona, ale nie mogę z ciebie wyjść.

– Masz innego?

– Nie mam, zresztą nie powinno cię to interesować. Jesteś przystojnym, miłym facetem, ale po prostu nie wyjdę za ciebie i już – Zuzanna starała się jednocześnie być kategoryczna i nie zranić chłopaka.

– Co ci się we mnie nie podoba. Mamy z Dominikiem do spółki morgi z ojcowizny, jestem silny i dobry w te klocki. Jeśli ci ktoś nagadał, że straciłem jaja, to nie ja, tylko Dominik i do tego tylko jedno, i to go tłumaczy, że w świętego Nikodema to było. A ja mogę nawet i sześć razy w ciągu jednej nocy. I furę z bratem bez konia i traktora potrafiam przeciągnąć do stodoły. I tańczyć obaj potrafić.

– Kacper, jeśli obaj potraficie tańczyć, to może tańczcie ze sobą.

– A co my, zboczone jakies? Do tańca i do łóżka, i do gospodarki to kobita jest potrzebna.

– Ale dlaczego ja? Skąd ci przyszło do głowy, żeby to mnie się oświadczać? Przecież ledwo się znamy.

– Jak to, skąd mi przyszło? Nie musiało chodzić. Sama się ogłosiła.

– Ja??? – Zuzanna aż zachłysnęła się ze zdziwienia.

– A kto na płocie napisał „Żona dla rolnika”? Parę dni się zastanawiałem z bratem, czy się nadajem i który z nas bardziej. A najbardziej to się głowili, czemu taka panna miastowa rolnika za męża szuka. Ale stwierdziłem, że tych miastowych to ciągnie do ziemi, albo że nie taka bogata, jak by na to ta chałupa wskazywała. Domyślaliśmy się też, że może tatuś łapę na forsie położył, póki za mąż nie wyjdzie. Różne są powody, dla których baba szuka męża. Przepraszam, czy mogę skorzystać z toalety?

I już nie czekając na pozwolenie, pognął w znanym kierunku.

– Może przez ten czas wstaw, dziecko, ten wiecheć do wody, bo szkoda kwiatów – jak zwykle pragmatyczna Babcia przywołała oszołomioną Zuzię do przytomności.

– Niezła mietła – podsumował pan Stanisław.

– Trzy dychy za nią dałem – poinformował Kacper, dopinając portki. – I widzę, że się zmarnują, bo nic tu po mnie. Szkoda. Bo z ciebie niezła laska, jak na miastową, niewyszczekana, grzeczna i mówią, że robotna. Ze mnie też byłby niezły mąż. Nawet może i pić bym przestał, a tak... Ech! – Kacper machnął ręką. – Ostatnią szansę ci daję: tak czy nie?

– Bardzo ci dziękuję, ale nie. – Tym razem odmowa Zuzanny nie pozostawiała cienia nadziei.

– To Bóg z tobą. – Tymi słowami rozczarowany Kacper zakończył wizytę z poczuciem, że został oszukany. Najpierw baba wypisuje na płocie, że chce męża, a jak się taki porządny facet, jak jeden z Bożymorskich trafia, i to ten niewybrakowany, to nie chce. Nie trafisz za tymi babami.

– Trzeba z tym zrobić porządek – nie zważając na obecność gościa przy tej rozmowie Zuzanna powróciła do dyskusji nad przyszłością.

– Na twoim miejscu po prostu bym to zamalowała – podsunęła rozwiązanie Babcia.

– To najłatwiej – przyznała Zuzanna. – Ale farbą problemu nie przykryjesz. Wylizie spod niej jak nieoczyszczona rdza. I jak rdzę na żelastwie, najpierw trzeba usunąć problem, a ewentualnie później

coś podkolorować.

– To zwykle ja w tym domu byłam od wygłaszania przemądrzałych wystąpień – Babcia usiłowała sprowadzić wnuczkę na ziemię.

– Widocznie mam to w genach i właśnie mi się uaktywniły – odszczeknęła się Zuzka. – Idę do Jolki.

– Chyba nie dziś – wtrącił się pan Stanisław. – Jolka z matką pojechały do lekarza. Dlatego Jasiek tak gwałt oddać wózek, że już pod chałupą czekał na nie Bartkowiak ze swoim oplem. Porządny z niego chłop. Po prawdzie, to nie za darmo człowieka podwiezie, ale nigdy nie odmówi.

– Zapomnieli o nas – oznajmiła Babcia Joanna, kiedy wieczorem zostały same.

– Przecież jeszcze nie zdążyli dotrzeć do domu, to chyba za wcześnie, żeby się stęsknili.

– Przecież nie mam na myśli Kowalskich, tylko wszystkich pozostałych. Marek z Anią tak zajęci sobą i nową ojczyzną, że o matce i dziecku nie pomyślą. Anonim... Ciekawe, jak on się właściwie nazywa?... Też ozdrowiał i tyle go widzieli. Nawet nikt z przyjaciół nie zapyta, czy żyjemy.

– Spoko, Babciu, przypomną sobie, jak wrócą z urlopów i zatęsknią za grillowaniem. Chociaż ci, którzy mają własne działki, to też raczej nie.

W tym momencie odezwał się telefon Zuzi.

– Już trzeci dzień usiłuję się z wami połączyć przez Skype'a – Anna zaczęła od pretensji. – Dobrze, że jest Viber... Czekajcie, bo tu coś też mam problemy z połączeniem. Spróbuję przez Messengera.

Po chwili telefon odezwał się ponownie.

– No, znacznie lepiej – zadowolona z jakości odbioru Anna prawdopodobnie trzymała telefon na kolanach, bo widać było jedynie nienagannie wypielęgnowany podbródek. – Co tam u was, dziewczynki? – spytała, ale widać nie była zainteresowana odpowiedzią, bo nie czekając, zaczęła relacjonować własne przeżycia.

– Prawie skończyliśmy – zdawała sprawozdanie. – Ściany pomalowane, stoły stoją, urządzenia kuchenne zamontowane, zapasy porobione, kucharka na stałe zatrudniona. Muszę jeszcze tylko posadzić kwiaty na werandzie i Marek na jutro zamówił ciężarówkę żwiru do wysypania ścieżki. Gdzie wy kupowałyście te książki, które mi przysłałyście? Przecież nawet na pchlim targu można kupić w lepszym stanie.

Joanna, nie chcąc denerwować synowej wydarzeniami w kraju, zwała wszystko na pocztę. Usprawiedliwienie było z tych „nikodemowych” – nie skłamała i prawdy nie powiedziała.

– Kochana – tłumaczyła. – Sama wiesz, że na pocztach dzieją się różne rzeczy. Widocznie tutaj nimi rzucano.

– Mamo – wtrąciła się Zuzanna – a tata się nie nudzi, jak ty urządzasz tę swoją kuchnię?

– Jakbyś go nie znała – sarknęła matka. – Przecież on gdzie się nie obróci, tam zwietrzy jakiś interes.

– To jaki tam zwietrzył? – Joanna była ciekawa, co jej syn wymyślił tym razem.

– Właściwie to ten sam co tam – Anna wskazała polską stronę łączy. – Znasz go. Z kamienia wyciśnie, jeśli coś da się wycisnąć.

– Czyli co wyciska z czego – Zuzka chciała znać konkrety.

– No co tu można wyciskać? – padło retoryczne pytanie. – Oliwę, oczywiście! Takie wyciskanie oliwy z oliwek to się wcale nie różni... no, w każdym razie niewiele, od wyciskania soków z owoców w kraju. No to Marek się tu zwałchał z miejscowymi plantatorami... Te drzewa to po dwieście lat mają... No i teraz wyciskają na przemysłową skalę.

– To od dwustu lat nie wyciskali? – Zuzanna nie mogła zrozumieć polityki rolnej w Grecji.

Jej matka tylko wzniosła oczy do nieba, przywołując cierpliwość dla ignorancji latorośli.

– Dziecko – rozpoczęła wykład. – Oczywiście, że wyciskali. Nie dwieście lat, tylko z tysiąc. Ale drewnianymi prasami i ręcznie. Tym sposobem to mogli sobie wyciskać tylko na potrzeby domowe,

a tak, żeby coś na rynek poszło, i do tego zagraniczny, to mowy nie ma! Marek już podpisał kontrakt na odbiór tej oliwy w Polsce. Teraz tu będzie zakładał przydomowe herbaria, żeby robić oliwy ziołowe. Ma tylko problem z dostawą szklanych butelek, bo w najbliższej okolicy nie ma żadnej huty szkła, a przecież szlachejnych wyrobów nie będzie sprzedawał w plastiku. To duży kłopot. Chyba mu przyjdzie sprowadzić linię produkcyjną z Polski.

– Będzie zakładał fabrykę butelek? – Zuzannie nie bardzo mieściło się to w głowie.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia, to tak. Tylko tu bardzo krucho z siłą roboczą. Grecy są tak leniwi, że wolą żyć w nędzy z plonów własnego ogródka, niż robić interes, na którym można zbić duży kapitał, ale za to kosztem choćby odrobiny wysiłku. Spać do południa, później sjeść, a wieczorem wino i śpiew.

– Jako właścicielka tawerny powinnaś być zadowolona, że piją wino i lubią się bawić – zauważyła Joanna.

– Byłabym bardziej zadowolona, gdyby pili w naszej tawernie, niż we własnych ogrodach. Wystawiają stoły, nakrywają obrusami, piją, gadają, śpiewają, dzieci ganiają dookoła, a moja tawerna świeci pustkami – żaliła się Anna. – A tak się starałam... Kupiłam serwety, mahoniowy bar, kieliszki z cieniutkiego szkła, platerowe sztuce, mosiężne oświetlenie...

– Może jest za bardzo elegancko – podsunęła Joanna. – Jeśli nie masz dystyngowanych klientów, to może zrezygnuj z wykwintnych dań i napitków na rzecz mniej wysublimowanych.

– Mam się zniżyć do poziomu greckiego chłopca? – oburzyła się synowa.

– A znajdziesz tam kogoś innego, kto mógłby zostać twoim gościem?

Odpowiedziało jej tylko fuknięcie. Zanim przebrzmiało, w tle dał się słyszeć rumor tłuczonego szkła.

– Hermiona, na miłość boską!!!... Muszę się pożegnać, dziewczynki. Pa!

I najwyraźniej Anna odłożyła telefon, zanim się rozłączyła, bo obraz na ich wyświetlaczu najpierw zatańczył i zaciemnił się, a dopiero potem zanikło połączenie.

– Jeśli odziedziczyłaś po matce smykałkę do interesów, to skończysz jak ona, z pustą tawerną – zawyrokowała Babcia.

– A jeśli po ojcu? – oburzyła się Zuza.

– To z kamienia sok wyciśniesz.

Takiego zestawu gości Nowaczki się nie spodziewały. Przyszli wszyscy trzej: Jolka, Artur i Jasiek.

– Ja chciałam bardzo przeprosić za ten napis na płocie. Przyznaję, poniosło mnie, że ledwie przyjechałaś – tu Jolka zwróciła się bezpośrednio do Zuzki – a już wyrwasz chłopaków we wsi i to co fajniejszych. To było głupie. Już wcześniej bym to zamalowała, ale przecież nie na ten szary kolor, który teraz macie. Chyba wam go wybierał jakiś projektant z depresją... Ups, przepraszam. Chyba znów trochę przesadziłam z bezpośredniością.

– Nic się nie stało – zbagatelizowała jej słowa Joanna. – Zuziu, zaproponuj gościom coś do picia. Mamy też kokosanki własnej roboty. A może jesteście głodni? Pierogi mogą być za piętnaście minut.

– Pani sąsiadko, proszę się nie kłopotać. Wystarczy herbatka – Artur próbował przystopować wybuch gościnności Babci.

– No to daj drinka, przecież nie będziemy tu rdzewieć przy herbatce. Jasiek, wiesz, gdzie czego szukać. Poczuj się mężczyzną – Babcia dyrygowała przy ogrodowym stole na tarasie.

Po chwili wjechały na niego drobne przekąseczki naprędce przygotowane przez Zuzię, a w rżniętych szklankach pobrzękiwał lód long drinków.

– Przyszedliśmy się rozmówić co do interesów – zaczął Janek, gdy już usiadł i wchłonął pierwszy łyk napitku. – Wszystkich interesów – uściślił. – A oprócz tego trzeba przedsięwziąć pewne konkretne kroki we wsi.

– A jakie wy, dzieci, macie z nami interesy? – spytała Babcia, wybierając z mieszanki studenckiej nerkowce.

– No... różne. Na przykład mówiły panie, że chciałyby odrestaurować szafę. Stąd obecność Artura i Jolki. Poza tym, ojciec coś wspominał o obiadach domowych. No właśnie... Musimy ustalić, jak będziemy się rozliczać za pań pomoc przy ojcu, bo przecież nie może być tak, że on tu zajada się frykasami za darmo.

– Dlaczego nie może tak być? – Babcia nie przerywała grzebania w miseczkę z orzeszkami.

– Bo nie wypada...

– A! Tu jesteście! – dało się słyszeć zza płotu.

Po chwili dołączył do nich weterynarz we własnej osobie. Wyciągnął z kieszeni telefon i wystukał numer.

– Przepraszam, ale skoro już tu się nas tyle zebrało, to pozwolicie, że zaproszę pozostałych zainteresowanych.

– A mamy wyjście? – pytanie Zuzki zostało całkowicie zlekceważone.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy na tarasie Nowacek zasiadło wokół stołu i na czym kto miał, w tym na schodkach, pół wsi.

– Trzeba coś z tym zrobić – zagaił pan Wąsowski, pełniący we wsi funkcję sołtysa. – Do tej pory nie było w okolicy żadnych satanistów. Ani sodomitów, ani nawet jehowitów.

– Wronszczanka przeszła na wegetarianizm, ale to w drugiej klasie liceum było i już jej przeszło – wtrąciła pani Zatopkowa.

– Moja droga – upomniał ją mąż. – To jakby nie to samo. W każdym razie nikomu tym krzywdy nie robiła.

– Ale w anemię to się wpędziła – próbowała uzasadniać swoje racje pani Małgorzata.

– Ale ziemi poświęconej nie brukala, świątków nie dewastowała i dołów po wsi nie ryła – zirytował się weterynarz.

– No, fakt. Do tej pory ani u nas, ani w okolicy takie rzeczy się nie zdarzały – Chojnackiemu niezbyt wygodnie było na kuchennym stoleczku. – Proboszcz mówił, że w sąsiednich parafiach nic takiego się nie zdarzyło. Tylko u nas taki pomór na rzeczy święte.

– Kacper wczoraj to mało na serce nie padł, jak był świadkiem tego świętokradztwa – wtrącił Rafalski. – Moja żona aż go nervosolem ratowała, w takim był szoku.

– Panie Rafalski, pewnie Kacper chętnie przystał na ten nervosol, bo jakby nie było, to on na alkoholu jest.

– Nie gadałbyś tak, Zygmunt, gdybyś zobaczył, w jakim stanie chłop do nas trafił. I to pod waszym nosem go spotkało. Szedł chłopina, lekko napity, bo jak powiada, musiał przepić niepowodzenie. Nie pytałem, co go za nieszczęście spotkało, bo i nie moja sprawa. Mówi: Idę... no dobra, nie jestem trzeźwy, ale żebym tyle wypił, że mi się aż krzyż kiwa, to chyba że ten bimber, cośmy go z Dominikiem pędzili, zatruty by był – powiada. – Ale sami go pędziliśmy i żadnych dodatków wcześniej nietestowanych nie dodawaliśmy – mówi. – A ten krzyż jak na oceanie jakimś się buja. Oczy przecieram – mówi – a tym krzyżem jakichś dwóch szatanów kolebie tak na boki. Olaboga, krzyknąłem – mówi – i jak mnie usłyszeli, to jeden z nich podszedł i takie miał zimne oczy, że myślałem, że jak bazyli szek mnie spojrzeniem zabije – mówi. – A ten drugi go wtedy za rękaw złapał i mówi: – Zostaw, nic tu nie ma, spierdalamy. No to wtedy do Kacpra dotarło, że to nie żadne diable z piekieł, tylko polskie łobuzy pieprzone, co rzeczy święte dewastują już trzecią noc. A że młody Bożymorski był mocno niedysponowany, to mu się nogi poplątały i wpadł do tego dołu, co to go wokół krzyża tamci dwaj wykopali. I wtedy jeden tak nad nim stanął i mówi: – Jak słowo piśniesz, żeś nas widział, to to twój grób będzie. I tak się Kacper wystraszył, że jak odjechali, to jeszcze z pół godziny w tym dole grobie leżał, zanim się zdecydował wygrzebać. A że do nas miał najbliżzej, bo ciebie, Zenek, wczoraj wieczorem nie było w domu, tośmy go z tego szoku ratowali.

Zuzka za plecami sąsiadów dyskretnie skinęła na Janka. Przynajmniej tak jej się wydawało, że dyskretnie, bo kiedy oddalali się w głąb domu, usłyszeli za plecami głos Artura:

– A wy dokąd?

– Zobaczymy, co jeszcze mamy w lodówce i zrobimy dla wszystkich herbatę. A może ktoś woli kawę?  
– Zuzia rzuciła pytanie sąsiadom.

Podniosły się cztery ręce.

– To ja wam pomogę – zaferował się Artur.

– A ty co, będziesz pilnował naszej cnoty? – Jasiek bez pardonu wyraził swoją dezaprobatę dla wtrącania się między niego i Zuzannę.

– Gdyby o cnotę chodziło, to byście nie mieli takich tajemniczych min, tylko maślane oczy. Co jest grane? – Artur przyjął od Zuzki ścierkę i łyżeczki do wytarcia.

– To nie żadni sataniści – zawyrokowała Zuza. – Tylko szukają tych fantów, które Anonim zostawił na przechowanie. Pewnie nie wiedzą, że już dawno policja czy jakaś tam inna służba się nimi zajęła.

– Długo jeszcze będziesz mówiła o facecie Anonim? – Artur ustawiał na tacy kolejne kubeczki, które Jasiek podawał mu z górnej, rzadko używanej półki.

– Póki nie będę wiedziała, jak naprawdę się nazywa. Do tej pory jakoś nie miał okazji się przedstawić – Zuzanna dosypała cukru do cukiernicy. – Zobaczcie... – Rozejrzała się, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Najpierw przetrząsnęli cały dom.

– Przecież niczego nie znaleźli – zauważył Artek.

– No właśnie. Dlatego teraz szukają dalej. Widocznie Anonim jeszcze nie ujawnił posiadania przez policję, czy kogo tam, tych plików, więc nie przypuszczają, że już są we właściwych rękach. Niczego nie znaleźli ani w paczkach z książkami, ani przy mnie, jak mi wtedy te torby wyrwali na parkingu. Musieli podsłuchać, że coś jest pod figurą, a że nie wiedzą, o którą figurę chodzi, to każdej nocy szukają w innej.

– Muszą przy tym dokonywać takich dewastacji? – Janek był wściekły na złoczyńców, ale przecież zdawał sobie sprawę, że po kimś, kto napada z bronią na niewinnych ludzi, morduje wrogów i grozi śmiercią Bogu ducha winnemu wiejskiemu pijaczkowi, nie należy spodziewać się finezyjnych metod działania.

– A skoro wciąż nie znaleźli... – Zuza zawiesiła głos.

– To będą kopać dalej – skończył za nią Jasiek.

– No nie, no... Kurde... Trzeba im w tym przeszkodzić – Artur był gotów rzucić kubeczki i lecieć na ratunek kapliczkom.

– Pohamuj – przystopował go Jasiek. – Sami tego nie załatwimy. Przecież oni mają broń i są nieobliczalni. Ze śrubokrętem na nich pójdziesz? Lej, Zuzka, herbatę i trzeba się w więcej chłopca naradzić. Chodźcie.

– Chyba nie zamierzasz ich wtajemniczać w całe śledztwo? – Zuza chciała go powstrzymać.

Tylko spojrzał na nią wymownie i z pełną parującą naczyń tacą wyszedł na taras.

– Panowie, trzeba położyć kres temu procederowi, póki w ogóle jeszcze ocalały jakieś kapliczki w tej wsi. – Wspólnymi siłami rozdawali kubeczki i sztućce.

– To jest robota dla policji – próbowała przywołać ich do porządku weterynarzowa.

– A kiedy pani tu policję widziała? – Rafalski widać nie miał zaufania do stróżów prawa. – Jak sami czegoś nie zrobimy, to nikt za nas pomiotła diabelskiego nie chwyci. Patrol to co najwyżej na pięć minut przyjedzie i tylko dym z rury wydechowej powąchamy. Myślicie, że będą tu polowanie na bandytów urządzać? Co najwyżej przyjadą, żeby ich aresztować, jak już ich połapiemy.

– To połapmy – pan Gołębiewski, choć nie był zbyt odważnym człowiekiem, poczuł moc grupy.

– No. Zaczaim się i połapiem – Bartkowiak był gotów już lecieć, żeby stanąć na czatach.

– Zaczekajcie – powstrzymał towarzystwo Janek. – Jak ich chcecie łapać? Oni mogą być uzbrojeni.

– Jak we wsi poszukasz, to nie jednego gana po strychach i piwnicach znajdziesz – podsunął Wąsowski.

– Panie sołtysie, przecież nie będziemy strzelać do ludzi – nie na żarty przestraszyła się Babcia Joanna.

– No przecież nie tak, żeby zabić – zreflektował się najważniejszy człowiek we wsi.

– Żeby strzelać tak, żeby nie zabić, to by trzeba było z takiej broni, co nie zabija, bo z takiej normalnej, to choćby przypadkiem można komuś krzywdę zrobić większą, niżby się chciało. Nawet z łuku. – Arturowi trudno było odmówić racji.

– To z takiej, która usypia.

Wszystkie oczy zwróciły się na weterynarza.

– Że niby co? – zapytał zdezorientowany.

– Tylko pan ma taką broń – odezwał się wreszcie sołtys. – Usypiał pan tego łosia, co wszedł tej wdowie po Kaczmarku do obejścia i tak się wystraszył, że wszystko rozbijał. Pamiętasz pan, to wtedy, kiedy nakłamała, że nie zaopiekuje się tym rozjechanym psem, bo każde zwierzę, które miała w domu, to jej bałagan robiło.

– Panie! – obruszył się Zatopek. – Co innego łos, a co innego strzelać do ludzi.

– Panie... – to brzmiało niezbyt miło. – To nie ludzie, tylko dzikie świnie, co po świętej ziemi ryją po nocach. I tak ich trzeba potraktować.

– No ale jak? – Weterynarz skapitulował, jeśli chodzi o samo strzelanie, ale nie wiedział, jak ma tego dokonać.

– No, zasadzimy się – Bartkowiak już widział rozwiązanie.

Realizacja planu wcale nie była taka prosta. We wsi zostały jedynie dwie kapliczki, których do tej pory nie zbezczeszczono – jedna murowana, bielona, z figurą Jezusa Frasobliwego, druga z obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej powieszona na starej lipie. W wyniku dalszej narady wytypowano murowaną kapliczkę jako bardziej prawdopodobną do dewastacji. Istniała duża szansa, że kolejna akcja może się odbyć dziś, więc na przygotowania nie było wiele czasu. Chłopy miały się ukryć za płotem Czerwińskiego, a weterynarz z sołtysiem – w jego burakach. Pozycja obserwacyjna nie była zbyt wygodna, bo jak wiadomo, buraki nie są wybujałą rośliną, więc panowie musieli pełnić wartę, leżąc. Zuzanka pożyczyła im swoją karimatę, na której do niedawna ćwiczyła brzuszki, a którą zgodnie przecięli na pół, żeby wystarczyła dla każdego. Scenariusz miał być taki: weterynarz strzela ze środka usypiającego, chłopcy wyskakują zza płotu i mają spętać zbójów nieszkodliwionych zastrzykiem. Czerwińska, jako że jest najbliższej akcji, ma wezwać policję, a jeśli by nie mogli przyjechać, to Mostowski podjeżdża lawetą, na której wozi skrzynki z sadu. Ładują bandytów na platformę i sami wiozą pod eskortą sołtysa, Jaśka i Artura. Znaczą takie obywatelskie zatrzymanie.

Noc do najcieplejszych nie należała, więc Wąsowska dała wartownikom koce, żeby nie pomarзли. Reszta ubrała się cieplej, zbili się w kupę za płotem i czekali.

23:00 – nic.

23:30 – cisza.

24:00 – nic.

Zdążyli już zwątpić, czy w ogóle ktoś się pojawi, kiedy kwadrans po północy Artur dostrzegł, że od strony Stolicy na zgaszonych światłach sunie w ich stronę ciemny wóz. Trącił łokciem Jaśka, ten dał znać pozostałym. Przygotowali się do skoku i czekali na rozwój sytuacji.

Auto zatrzymało się nieopodal kapliczki. Wysiadło z niego dwóch rosyłych mężczyzn. Widać nie czuli żadnego zagrożenia, bo zachowywali się całkiem swobodnie. Rozejrzeli się wokół, jeden z nich zapalił papierosa i najpierw bardzo uważnie przyjrzał się kapliczce. Przeszukali wszystkie kwiaty, którymi

była ustrojona, odrzucając na bok te, które już sprawdzili, obeszlą wkoło, przyglądając się każdemu detalowi.

Chłopy za płotem niecierpliwie czekały na strzały weterynarza, ale nic się nie działo. Miał strzelać, a nie strzelał.

– Na co on czeka? – spytał szeptem Jasiak.

Artur tylko wzruszył ramionami.

– Może nie ma dobrej pozycji do strzału.

Drugi z bandytów wyjął z bagażnika dwa szpadle, ale zanim zaczęli kopać, dobrali się do świątka. Tego już było za wiele mężczyznom ukrytym w obejściu Czerwińskich. Nie czekając na działania weterynarza, z krzykiem wyskoczyli na drogę.

Zrobiło się totalne zamieszanie. Obudzony wrzaskami Zatopek zerwał się z buraków na równe nogi. Nie do końca przytomny usiłował zorientować się, kto jest kto i w kogo powinien celować. Sytuacja na drodze była zbyt dynamiczna, żeby precyzyjnie wymierzyć w bandytę, szczególnie, że zachmurzone niebo zafundowało tej nocy absolutną ciemność. W ogólnej kotłowaniu trudno było zorientować się, gdzie swój, a gdzie obcy. Wśród okrzyków: „Dawaj go!”, „Trzymać drania!”, „To moja ręka!”, „Nie gryź, łajzo!”, „Cholera, nie po nogach!”... Raptem padł strzał. Wszyscy zamarli, jak za dotknięciem różdżki. Chwilę konsternacji wykorzystali złoczyńcy i wyrwijąc się oprawcom, wskoczyli do samochodu. Nie bacząc na otwarty bagażnik, odjechali z piskiem opon, zostawiając na środku drogi zdeorientowanych mieszkańców wioski i oba szpadle.

Przez rów przegramolili się Zatopek z sołtysiem.

– Miałeś pan strzelać! – wystąpił z pretensjami Rafalski.

– Taką kupę tu zrobiliście, że nie miałem jak wycelować – tłumaczył się winowajca.

– Ale pan miał strzelać, zanim zrobilibyśmy kupę. Kupa powstała z tego, że pan nie strzelał – przemawiali się jeden przez drugiego.

– Przysnąłem trochę. Każdemu się może zdarzyć. Wczorajszej nocy temu, co ma stację benzynową, kobyła się źrebiła. Całą noc nie spałem. To teraz się człowiek trochę zdrzemnął w tych burakach, tyle czasu leżąc.

Cóż było robić, chłopcy jeszcze trochę pozłorzeczyli, porozcierali poobijane w szarpaninie członki, umówili się wstępnie na jutro i rozeszli do domów.

Tymczasem w domu u Nowacek sprzątnięto po zebraniu, w czym czynny udział wzięła Jolka. Przy okazji dziewczyny porozmawiały sobie od serca. Jolka pożałowała się na niełatwe życie z uziemioną na wózku matką.

– Wiesz, ona jest w tym swoim cierpieniu naprawdę słodka. Nie żali się, nie jest upierdliwa, siedzi sobie cichutko, nawet nic nie chce. Ile może, to sama zrobi: ziemniaki obierze, kurz w zasięgu ręki zetrze. Żal mi jej, ale siebie też mi trochę żal.

– Nie ma na to żadnego lekarstwa?

– Lekarze mówią, że operacja by pomogła, ale na NFZ to za cztery lata nam zaproponowali. Za cztery lata, to ja już matki nie będę miała, bo ją ten wózek wykańcza.

– A prywatnie?

– A prywatnie to gospodarstwo bym musiała sprzedać.

Obie odczuły bezsilność w tej sytuacji.

Zmyły kubeczki, poustawiały wszelkie siedzenia na swoich miejscach i czekając na wynik obławy, zapadły przed telewizorem. Babcia Asia zmęczona wydarzeniami dnia już dawno przysnęła w fotelu.

– Wsi wesoła, wsi spokojna! – westchnęła Zuza. – Przynajmniej tak miało być, kiedy rodzice wybierali to miejsce. Też wydawało mi się, że będę tu wśród pszczołek i kwiatków czekała na księżicę z bajki. Tylko ta bajka zamieniła się w jakiś horror.

– A może to za wami te makabreski przyszły? – Jolka wysączała resztki zwietrzałego drinka ze swojej szklanki. – Póki się tu nie sprowadziliście, to z wyjątkiem Dnia Prawdy było całkiem spoko.

– U nas też było spoko. I w końcu to tutejsi przestępcy, nie stołeczni – Zuzka próbowała oczyścić rodzinę z zarzutów ściągnięcia nieszczęścia.

– A ty na jakiego księcia tu liczyłaś? – ożywiła się Jolka na hasło o mężczyźnie.

– Właściwie to na żadnego konkretnego. Wiesz, jak to jest. Pomarzyć zawsze można. Zamiast białego konia jest tu jeden błędny rycerz. Tylko jak widmo – przemknie na tym swoim ryczącym rumaku i znika. Nawet twarzy nie widziałam. Pewnie dlatego go trochę idealizuję, że jest jak zjawia. Miło pomyśleć, że gdzieś tam walczy z ziejącymi ogniem smokami i mógłby mnie tak porwać do jakiegoś zamku...

– Jaki ryczący rumak? – Jolka się ożywiła. Uważniej spojrzała na Zuzę i wyraźnie oczekiwała doprecyzowania zwierzeń.

– No, jeździ tu taki na motocyklu. Cały na czarno, jak Zawisza, i tylko biały kask odcina się od reszty ubioru. Zawsze w przyłbicy, to nawet bym go nie rozpoznała.

Jolka aż klasnęła w dłonie i wzniosła oczy ku niebu zasłoniętemu sufitem.

– No, do zamku to on by cię raczej nie uprowadził, ale smoki, to i owszem – stwierdziła i zaczęła się śmiać. – Rycerz na ryczącym koniu. A toś się udała. Zjawia nierozpoznawalna. Ha, ha, ha, ha, ha.

Zuzka spojrzała na nią z wyrzutem. Nie spodziewała się, że jej zwierzenia, które miały przełamać już lekko topniejące lody, zostaną tak wyśmiane. I pewnie obraziłaby się na Jolkę, gdyby ich rozmowy nie przerwało nadejście chłopaków.

– Idą rycerze bez skazy. Jak wam poszło? – powitała ich Jolka.

– Dupa błada. Zwiali. Zdążyli narobić bałaganu i tyle. Dziś już pewnie odpuszczą, ale na wszelki wypadek przyszliśmy dla ochrony. Chodź – Artur zwrócił się do Jolki. – Odprowadzę cię do domu, a Jasię niech tu jeszcze chwilę posiedzi, póki kurz po nich nie opadnie do końca, bo a nuż wróć.

Nie wrócili.

Ale i bez ich obecności atmosfera we wsi robiła się nerwowa. Każdy mieszkaniec z niepokojem odwracał się na dźwięk przejeżdżającego auta. Każdy ruch zwierzęcia czy człowieka stawał się podejrzany. Ludziska zaczęli zamykać bramy do gospodarstw i drzwi na zasuwę, czego do tej pory nie było w zwyczaju. Pracowali ciężko i żyli uczciwie, więc nie mieli nawyków przewidywać niebezpieczeństw. Jeśli się ktoś we wsi ubezpieczał, to raczej zbiory i hodowle przed kataklizmem niż dom przed kradzieżą czy włamaniem.

Sołtys zrobił zrzutkę wśród sąsiadów i skrzyknęli się na poniedziałek, żeby zrobić porządek ze wszystkimi zdewastowanymi kapliczkami. Poproszono Jolkę, żeby przy okazji odświeżyła kolory świątków. Konieczne były zakupy niezbędnych akcesoriów. W tym celu pojechały z Zuzką na babskie zakupy do stolicy. Pani Joanna stanowczo odmówiła udziału w wyprawie, wymawiając się opieką nad tatą Jaśką.

– Jolcia – olśniło Babcie, kiedy szykowały się do drogi. – Leć po matkę, co tam będzie sama w domu tkwiła. Przywieź ją tutaj, to sobie pogadają z panem Stanisławem, posiedzą na słoneczku, krzyżówki porozwiązują. W kierki sobie zagramy...

Pomysł był świetny, a mamy Jolki nie trzeba było długo namawiać. Na wszelki wypadek, gdyby jednak się nudziła, zabrała ze sobą robotkę, ale przez cały dzień nie przerobiła nawet jednego oczka.

W tym czasie, kiedy w domu Nowaczek kwitło życie towarzyskie, a chłopaki zajmowali się pracą – dziewczyny podbijały stolicę. Sprawdziły letnie wyprzedaże, w sklepie plastycznym kupiły specjalistyczne farby i pędzle. Wstąpiły do sklepu budowlanego po szpachle, kleje, papiery ściernie i pilniki – jednym słowem wszystko, co może się przydać do rewitalizacji drewna, metalu i cementu. Przy kasie natknęły się na Anonima stojącego w sąsiedniej kolejce. Zasypany opowieściami o ostatnich wypadkach we wsi wkurzył się nie na żarty.



– Z całej szajki zostały marne niedobitki, ale jeszcze będą kęsać. W tej historii tylko jedno jest pocieszające. Mianowicie, jeśli wciąż szukają zaginionych dowodów swojej działalności, to znaczy, że w wydziale nie ma żadnych przecieków. Jest szansa, że skończyły im się możliwości poszukiwań, więc wreszcie do nich dotrze, że nękanie ludzi i dalsze dewastacje są psu na budę. Ale uważajcie na siebie, bo skoro niszczą krzyże i palą mieszkania, to teraz mogą się wziąć za ludzi.

– Komu spalili mieszkanie? – Zużę aż zapowietrzyło, a w oczach obu dziewczyn pojawił się strach i zdziwienie.

– Mnie. Przedwczoraj. Sądząc z usytuowania szczątków sprzętów, najpierw wszystko przetrząsnęli. Oczywiście niczego nie znaleźli, bo wszystkie dowody są już w prokuraturze. Za to oprócz wezwania do dokonania remontu, co zupełnie zrozumiałe, dostałem wypowiedzenie najmu.

– To gdzie pan teraz mieszka?

– Chwilowo u kolegi, ale muszę czegoś poszukać, bo przecież nie mogę mu siedzieć na głowie.

– To zabieramy pana do siebie. Pana pokój stoi gotowy, tylko się wprowadzać. To co, jedziemy? – Zuzanna gotowa była porwać Anonima prosto ze sklepu.

– Dziękuję za zaproszenie. Przyznam, że propozycja jest bardzo kusząca. Obiecuję uczciwie rozważyć, ale w tej chwili i tak muszę jechać na stare kąty. Właśnie skuwają tam spalony tynk ze ścian i muszę robotnikom dostarczyć zaopatrzenie. – Wskazał na wypełniony workami i wiadrami farb wózek.

– To ustalamy, że podrzuci pan ekipie materiały, zgarnie swoje bambetle i przyjeżdża do nas.

– Nie mam czego zgarniać. Zostałem tak jak stoję. Wczoraj w kiosku kupiłem nową szczoteczkę do zębów, trzypak majtek i skarpetki. Muszę się zaopatrzyć w trochę podstawowych ubrań i chociaż jakieś kaptcie.

– To niech pan poza osobistą bielizną za dużo nie kupuje – zawyrokowała Zuza. – Oddajemy panu do dyspozycji całą szafę ojca. Nawet jeśli wróci, to i tak nic z tego co tam wisi mu się nie przyda, bo na maminej kuchni strasznie schudł. To co, jesteście umówieni?

Anonim z wdzięcznością uściskał obie dziewczyny i wszyscy ruszyli do swoich samochodów.

– À propos kiosku z majtkami, gdybyś mogła zatrzymać się przy jakimś, to bardzo proszę, bo zapomniałam mamie kupić baterii do radyjka. Ma takie malutkie na słuchawki, którego słucha w nocy, gdy ból jej nie pozwala spać.

– Nie ma sprawy. Nawet chętnie, to przy okazji kupię Baaci jej pisemka.

Kiosku Ruchu co prawda nie znalazły, ale trafił im się salonik prasowy. Na widok lotto Zuza przypomniała sobie o kuponie. Ponieważ swoje zakupy już załatwiła, zamiast podać zakłady obsłudze, skierowała się do czytnika. Zeskanowała kod i zamarła. Drżącymi rękoma wyjęła z torebki smartfon i zawzięcie przeszukiwała aplikacje.

– Załatwione. Idziemy? – Jolka przynagliła ją do powrotu.

Zuza znalazła w telefonie poszukiwaną informację, ocknęła się ze stuporu i ruszyła za koleżanką. Była błada i nieobecna. Przytomności wystarczyło jej na tyle, że choć jak automat, to bezpiecznie prowadziła samochód. Siedząca obok Jolka, podekscytowana wyprawą, wciąż paplająca, niczego nie zauważyła. Odlot Zuzki zwałiła na karb skupienia za kierownicą. Nie przeszkadzało jej, że sąsiadka całą drogę milczy.

Ten stan utrzymywał się przez cały wspólny obiad, w czasie którego przy stole zasiadło pięć osób. Wszyscy we wspaniałych humorach po przedpołudniu spędzonym w miłym gronie na pogaduszkach również nie zauważyli dziwnego zachowania Zuzi. Ożywiona mama Jolki całkiem zlekceważyła swoją robotkę, uraczony galaretką owocową tata Jaśka zapomniał o marudzeniu, a pani Joanna brylowała wśród gości, donosząc smakołyki. Na tarasie panował cudowny nastrój życzliwości i bez troski. Nikt więc nie zwracał uwagi na wyjątkowo małomówną Zuzkę. Jedynie Babcia nie dała się zwieść. Jednak nie mogła zaspokoić ciekawości, bo przez całe popołudnie wachlowały się furtką. Co chwilę ktoś przez nią przechodził, a to w jedną, a to w drugą stronę, aż zaczęła skrzypieć.

Po zebraniu mieszkańców, na którym planowano ujęcie złoczyńców, wszystkim bardzo przypadł do gustu taras Nowaczek jako wiejska świetlica. Prawdziwiej nie mieli, bo jakoś przez całe stulecie nie odczuwali potrzeby, żeby gdzieś się gromadzić. Dotychczasowe sprawy społeczności wymagające przedyskutowania ustalali przed sklepem Wrońskich. Remizy ani szkoły we Wsi Małej nie było. Dzieciaki dojeżdżały do Miasteczka, podwożone gimбусem albo przez sąsiadów. O klubie czy domu kultury nawet nie myślano. Żadnym kultury musiała wystarczyć biblioteka w miasteczku, bo do kina czy tym bardziej teatru trzeba było jechać aż do Stolicy.

Ponieważ z powodu ostatnich wypadków w całej wsi aż huczało od plotek i domysłów, sąsiedzi mieli nieodpartą potrzebę wymiany informacji, wygadania się czy wysondowania, co w trawie, czyli u innych ziomków, nowiną zakwitło. A gdy, przejeżdżając przez most, widzieli na ganku zgromadzone tam towarzystwo, po kolei dołączali do pogaduszek. Spontaniczne zebranie zaszczylił obecnością nawet sołtys. Wśród rozemocjonowanych dyskusji ustalono, że kapliczki remontowane będą po kolei, a przy pomocy rzutu monetą zdecydowano, od którego końca drogi zacząć. Nienaruszona kapliczka zabiła wszystkim niezłego ćwieka. Można się było spodziewać, że jednak sataniści zechcą dobrać się i do niej.

– No to sami tam rozkopmy. Przy okazji sprawdzim, czy nie ma jakich skarbów.

Propozycja, choć zaskakująca, wydała się wszystkim rozsądna. I tak było w planach zrobienie tam porządku, a jak wiadomo, zanim się zrobi porządek, trzeba nabałaganić. Nikt za bardzo nie garnął się do kopania. W końcu komu po połowych robotach chciałoby się jeszcze machać szpadłem w poszukiwaniu domniemanego skarbu, na znalezienie którego i tak nikt nie liczył. Znow zdecydowało losowanie. Zwycięzcami (a może przegranymi?) okazali się Dominik z Arturem.

– Młode chłopcy, to szybko poradzają – zawyrokował Drogowski ucieszony, że jemu się upiekło. – Pani gospodyni, nie znalazłaby się jeszcze krztyna kawusi?

– A i owszem – Babcia zerwała się, by ugościć sąsiada. – Ale uprzedzam państwa, że herbata właśnie się skończyła.

Kiedy całe towarzystwo opuściło taras, a czas już był najwyższy, bo nawet komary poszły spać, pani Joanna wreszcie mogła poświęcić uwagę wciąż coś markotnej wnuczce.

– A ty czego tak krążysz jak widmo między talerzami? Okres masz?

– Na szczęście czy mam, czy nie mam, to czuję się tak samo. Gorzej – padła odpowiedź.

– Co może być gorszego niż miesiączka? – I zaraz dodała podejrzliwie: – Chyba że brak miesiączki...

– Baaciu, co ty wygadujesz? Jedno niepokalane poczęcie wystarczy. Tu się nie zachodzi w ciążę od siedzenia na kamieniu.

– To są kamienie po zielarkach. Tu wszystko jest możliwe.

– Nie podejrzewałam cię o wiarę w gusła.

– Gusła, nie gusła, gadaj, co jest na rzeczy, bo mnie oczu nie zamydliś. Jakie masz, dziecko, zamartwienie?

– Wielkie – odparła Zuza i klapnęła na Babciny fotel.

Pani Joanna zgoniła ją ze swojego miejsca i sama usadowiła się wygodnie, czekając, aż wnuczka dostawi sobie krzesło, żeby być z nią twarzą w twarz.

– Gadaj. Zaradzimy – zachęcała Babcia.

– Temu się ot tak nie da zaradzić. Mam kłopot i to naprawdę wielki.

– Żaden kłopot nie jest wart, żeby się nim zamartwiać.

– Ten jest wart... Jest wart kupę forsy. Wielką kupę. Wygrałam od losu coś około dziesięciu baniek.

– Dziesięć tysięcy to kawał grosza. Ale to jedna większa imprezka w stołecznej knajpie. Czyli jaki to kłopot?

– Żaden. Dziesięć tysięcy to żaden kłopot, tylko nie chodzi o tysiące. Wygrałyśmy dziesięć milionów!

– Ja nie grałam, to twoja wygrana – sprostowała Babcia. A po chwili dotarł do niej sens słów wnuczki. – ILE?!

– Ciszej mów – upomniała Babcie. – Dobrze słyszałaś. Coś około. Dwie osoby wytypowały te same liczby, a kumulacja wynosiła dwadzieścia pięć baniek. Minus dziesięć procent podatku, czyli coś ponad dychę.

– I co ty zrobisz z taką kupą forsy?

– No właśnie...

Obie zamilkły, próbując sobie wyobrazić skalę wygranej. Dopiero po dłuższej chwili ocknęła się Babcia.

– Jedno jest pewne, nikomu ani słowa. Jeśli ktokolwiek się dowie, będziesz tu miała pielgrzymki potrzebujących, urośnie ci liczba wrogów...

– A mam już jakichś?

– Jeśli nie masz, to właśnie się pojawiają. Już nie wspomnę, że opadną cię złodzieje i naciągacze. Dobrze, że te alarmy pozakładali...

– Baaciu, ale przecież takich pieniędzy nie trzyma się w domu.

– A gdzie je masz?

– Jeszcze nigdzie. Przecież nie miałam możliwości zrealizować wygranej.

– Czyli kupon jest gdzie?... No właśnie. Dziecko, jeśli to nie sen, to natychmiast trzeba po pierwsze, zabezpieczyć kasę, a po drugie poważnie zaplanować, jak ją zagospodarować... Może jakiś doradca finansowy by się przydał?

– Myślę, że ty mi wystarczysz.

– Nie podlizuj się! I włącz alarm.

Konieczna okazała się kolejna wyprawa do Stolicy. Wykorzystały moment, kiedy Jasiek po nocnej służbie miał dzień wolny i mógł zostać z ojcem. Inaczej niezręcznie by im było zostawić pana Kowalskiego bez opieki. Pretekstem do wyjazdu miała być wizyta pani Joanny u dentysty. Nawet taką umówiły. I oczywiście, w tych okolicznościach pojechały same.

Odbiór wygranej odbył się bez żadnych przeszkód czy niespodzianek. Pieniądze zostały przelane na konto Zuzanny i wreszcie Babcia przestała oglądać się co chwila za siebie, czy ktoś nie ze chce wyrwać im kuponu. Jeszcze tylko dla uczczenia doniosłej chwili wstąpiły na lody i zameldowały się w klinice.

Joanna weszła do gabinetu z dużym ociąganiem. No cóż, nikt nie kocha foteli dentystycznych. Oczekująca w korytarzu Zuzanna w pewnej chwili wpadła na jakiś pomysł, którym nie zamierzała się dzielić nawet z najbliższą jej osobą, obawiając się, że Babcia komuś się zdradzi. Obudziła ziewającą z nudów recepcjonistkę i z jej pomocą udało jej się znaleźć właściwy gabinet, w którym zniknęła, by rozmawiać ze specjalistą. Wysła od niego z tajemniczą miną, której Babcia, obolała po wierceniu górnej szóstki, nawet nie zauważyła.

– Lekarka mnie pytała, jakim cudem, będąc w swoim wieku, zachowałam tak zdrowe zęby. Hmmm, zdrowe... Zęby jak perełki – w każdym dziurka. Załatana, to załatana, ale jednak... Powiedziałam jej, że lubię się odgryźć, to i zęby muszą mieć mocne. Ale wydaje mi się, że następnym razem to tę szóstkę jednak stracę... Idziemy?

Po powrocie czekała je przed domem niespodzianka. Wjazd na posesję zatarasowany był obcym samochodem. Szybko jednak okazało się, że samochód, owszem, obcy, ale jego właściciel jak najbardziej znany. Co prawda nie z imienia i nazwiska, ale z przyjaznej twarzy już tak. Nieśmiałym uśmiechem przywitał je nie kto inny tylko Anonim we własnej osobie.

– Pokaż no się, słoneczko – Babcia zakręciła rośłym chłopem, kiedy go już serdecznie wyściskała. – Nareszcie nie wyglądasz na trupa. Chyba ci się nawet przytyło? Chodźcie, dzieci, bo pewnie nie tylko my padamy z głodu. Zjesz z nami sznycelka?... Jak ty się, chłopcze, właściwie nazywasz?

Wśród radosnych powitań Miron pomógł Nowaczkom rozpakować zakupy i sam zainstalował się w „swoim” pokoju.

– Dziękuję wam, że mnie przygarnęłyście – rzekł zażenowany. – Mam tylko nadzieję, że nie ściągnę wam na głowę kolejnych problemów. Jesteście bardzo odważne, jeśli nie boicie się mnie tu trzymać, a ja głupi i egoistyczny, że tu jestem. Musicie jednak wiedzieć, na co się narażacie.

I Miron bez zniechęlenia i doborania łagodnych słówek przedstawił całą sytuację szajki.

Grupa przestępcza mająca powiązania z rosyjską mafią zajmowała się na naszym terenie handlem żywym towarem, przymuszaniem do niewolnictwa i wymuszeniami. Narkotyki i hazard traktowali jedynie jako dodatkowe profity. Znajdowali na terenie Rosji, Białorusi i częściowo Ukrainy ludzi, którzy chcieli odmienić swój los. Kobietom obiecywano pracę opiekunek do dzieci czy w domach starców, a co ładniejszym albo przynajmniej zakochanym w swojej urodzie, nawet modeling. Mężczyźni mieli pracować na budowie i przy zbieraniu owoców. Wszystko wyglądało całkiem wiarygodnie. Ułatwiano załatwienie ludziom paszportów, ale nikt z tych biedaków nie wiedział, że są fałszywe. Lewe czy prawe, po przekroczeniu granicy zabierano je, rzekomo w celu zameldowania w hotelu. Hotel nie był żadnym hotelem, tylko podupadłym ośrodkiem wypoczynkowym wykupionym przez „stupa” od syndyka fabryki cukierków. Przyjeżdżali tam w nocy, więc nie było widać, w jak opłakanym stanie jest ta speluna. Wszyscy byli tak zmęczeni, że o swojej sytuacji przekonywali się dopiero rano, kiedy siłą i prochami zmuszano ich do uległości. Dalej ich losy toczyły się różnie. Część zostawała w kraju, część przetrzucano dalej, głównie do Niemiec. Bez względu na to, gdzie się znaleźli, stawali się niewolnikami. „Koszty utrzymania” liczono im wyżej niż „wynagrodzenie za pracę”, a dzięki systemowi nadzoru nikt nie mógł wydostać się z tego kręgu. Ludzie często nie wiedzieli nawet, gdzie są, bo mogli się poruszać jedynie w obrębie miejsca pracy czy zamieszkania, zwykle ogrodzonego i strzeżonego przez bezwzględnych strażników. Egzekucja nad rzeką nie była jedyna. Kto próbował zakończyć współpracę, wrócić do domu lub się usamodzielnic, zniknął. Namierzenie ich zdawało się zadaniem beznadziejnym. Były jakieś domysły, ale żadnych świadków ani dowodów. Potluczonych szyb wystawowych ani pożarów w okolicznych lokalach nie dało się w żaden sposób powiązać z przestępczością tej grupy, bo wszyscy poszkodowani bali się zemsty, gdyby donieśli. Zresztą niejednego taka zemsta dotknęła. Wszyscy nabrali więc wody w usta. Do czasu, kiedy w trakcie rutynowej kontroli jeden z kierowców zaczął się zachowywać w nienaturalny sposób. Tknięci przecuciem policjanci przeszukali samochód i znaleźli w nim nierejestrowaną broń, wcześniej użytą w porachunkach kochanków. Pechowcem okazał się właściciel kantoru wymiany walut, który miał już dość opłacania się zdziercem. Całe szczęście, że nie zdążył skorzystać ze zdobytego pokątnie gana, bo pewnie skończyłoby się to dla niego wzięciem albo śmiercią. Facet poszedł na współpracę, podobnie jak złapani na gorącym uczynku cyngle mafii. Dzięki temu, że zaczęli sypać, udało się po nitce do kłębka dotrzeć do coraz wyżej postawionych bonzów. Najważniejsze, że czując smród koło tyłka, z własnej inicjatywy zgłosił się księgowy całego przedsięwzięcia. To właśnie on tego dnia nad rzeką przekazał Mironowi dane, które stanowiły niezbite dowody przestępstw. Widać jednak, że miał jakiś ogon albo aniola stróża, bo najpierw rozpełtał się kocioł nad rzeką, w którym zginął partner Mirona, a później to właśnie on (księgowy) skończył w spalonym samochodzie. Facet miał być świadkiem koronnym. Pracowano nad jego nową tożsamością, ale nie zdążył z niej skorzystać. Na nośnikach pamięci było wszystko: wyludzone kwoty, pieniądze z niewolnictwa, z nierządu, a nawet opłacani policjanci. Trochę się z tą swoją działalnością przestępczą przycyaili, pewnie część prysnęła za granicę, a ci co nie zdążyli, pochowali się po kątach. Zaczęły się aresztowania, ale wielu nadal jest poszukiwanych, w tym szef i jego dwaj osobiści goryle od brudnej roboty. Jeden z zatrzymanych twierdzi, że boss myślał, że wpadli tylko dlatego, że ktoś sypał. Dopiero, kiedy wzięli na widelec księgowego, dowiedzieli się, że poszedł na współpracę i udostępnił księgi. Wykończyli faceta, ale zanim spłonął, wycisnęli z niego, co przekazał. Twierdzą, że gówno mamy. I w rzeczy samej, bo nie na wszystko są dowody. O ile dostaliśmy listę wyludzeń i wszystkie rozliczenia dotyczące czarnej strefy działań, to zabrakło danych dotyczących kont bankowych i informacji o ludziach na utrzymaniu organizacji. Bez tych nazwisk podanych czarno na białym wielu gangsterom trudno będzie udowodnić

udział w procederze, a skorumpowani mundurowi nadal mogą spać spokojnie. Mironowi wydawało się, że księgowy wręczył mu trzy nośniki i chyba te brakujące dane musiały być na trzecim, bo wystraszony księgowy ciągle o nich wspominał. Był pewien, że będzie bezpieczny, bo na podstawie tych dowodów wszyscy prześladowcy znikną z jego życiorysu. Niestety, w trakcie przekazywania materiałów dowodowych od razu zrobiło się gorąco i albo Mironowi tylko się wydawało, albo w trakcie walki jeden pendrive przepadł.

– Chyba nas, chłopcze, nie podejrzewasz, że ci nie oddaliśmy wszystkiego, co przy tobie znalazłyśmy? – Joanna była bliska oburzenia. – Nic więcej przy tobie nie było.

– Ależ pani Asieńko, przecież już zdążyłem się zorientować, że wy jesteście nie tylko uczciwi, ale i zbyt mądrzy, żeby narażać się z takiego powodu. Tyle że oni nie wiedzą, czy i co mamy. A właściwie wiedzą tyle, ile siłą wydusili z tego biedaka, z którego później zrobili pochodnię. I domyślają się, że jeśli nie było następnych aresztowań, to jeszcze coś tu jest.

– I co teraz? To by znaczyło, że wcale nie jesteśmy bezpieczni. Trzeba ich dalej ścigać.

– To już nie ja. Od poniedziałku przeszedłem na emeryturę. Tylko częściowo z własnej woli. Po tym pobiciu wysłali mnie na komisję lekarską i okazuje się, że jednak mam ograniczone pole widzenia w jednym oku. Pewnie spowodowane wylewem. Może się wchłonie, ale potrzeba czasu. Nie dali mi go. Stwierdzili, że mam swoje lata i już czas. No i nie przeszedłem testu sprawnościowego. Wstyd się przyznać.

– A co ty, chłopcze, olimpijczykiem masz zamiar jeszcze zostać? Już się naganiałeś za zbirami.

– Obawiam się, że jeszcze będę musiał trochę pobiegać. Między innymi dlatego tu jestem. Jeśli przyjdą, czy szukać nadal w domu, czy po mnie, to będę miał na wszystko oko.

– Ponoć jesteś na emeryturze. Czas posiedzieć sobie w spokoju na tarasiku... O, pani weterynarzowa Zatopekowa. Jak miło. Co panią do nas sprowadza?

W rzeczy samej, pani Małgorzata Zatopek dreptała ścieżką, niosąc z uwagą wielką blachę przykrytą lnianą ściereczką.

– Mój mężu mi powiedział, że ciągle sąsiedzi tu panie objadają i opijają z herbatki, to przyniosłam kawałek serniczka, gdyby się znowu ktoś trafił z wizytą. O, widzę, że już panie mają gości. Dzień dobry, Zatopekowa jestem.

I nie zważając na niezachęcające spojrzenia gospodyń, pani Małgorzata usadowiła opiętą kusą spódniczką pupę na krześle obok Mirona.

– A ja pana nie widziałam u nas jeszcze. Oj, nieładnie – zwróciła się do Babcy – tak ukrywać takiego przystojnego kawalera przed sąsiadami.

– Nie jestem kawalerem – sprostował Miron.

Zuzanna, chcąc zatuszować niezręczność intruza, zakręciła się na pięcie.

– To ja nastawię czajnik. Spróbujemy tego serniczka.

Skrzyp, skrzyp... Następne wahnięcie furtki zaanonsowało Gołębiwską.

– Dzień dobry, sąsiedzi – machała od progu. – Ponoć opili panie wczoraj z herbaty, to przyniosłam, bo promocja była we spożywcza, tym obok poczty, i grzech było nie kupić. Nie myślała sobie, że to jakie siano. Dobra. Cejlońska.

– Napije się pani z nami tej dobrej herbatki? Zuzia już grzeje wodę.

– A co mam się nie napić. Przeca nie odmówię słynnego serniczka weteryniarskiej. Pani Zuziu, pani szuka więcej tej wody, bo Wrońska zostawiła męża za ladą i już tu się toczy.

W rzeczy samej, przy furtce już pojawiła się kolejna postać.

– Szczęść Boże – sapnęła na powitanie. – Miałam z tym poczekać do jutra, ale jeśli znów tu się zlecą, to nie może być tak, że całą herbatę wyżłopią i kobitom wszystko z komory wyżrą. Te nasze chłopy to bez pojęcia takie. Przyjść, pojeść, wypić, a żadnemu nie przyjdzie do głowy, skąd to się wszystko na

stole bierze. Ciasteczka upiekłam i co tam w sklepie miałam, to wrzuciłam do siatki... Herbatka?... Dla mnie?... Bardzo dziękuję. A pana to ja nie znam...

Ale zanim Miron zdążył się przedstawić, furtka znów skrzywnęła.

– Kogóż to znowu diabli? – mruknęła pani Małgosia pod nosem, ale widząc sołtysową, rozplynęła się w uśmiechach. – Kogóż to Bóg prowadzi? Pani sołtysowa we własnej osobie! Siadaj, Danuśka. Herbatkę pijemy. Mojego serniczka skosztujesz...

Jeszcze wpadła Marciniakowa z paczką kawy i Rafalska, którą mąż podwioził, żeby nie dźwigała. Miron pomógł jej z dotaskaniem zgrzewki soków i kartonu batoników.

Kiedy po zakończonym zlocie (czy nalocie) Babcia odprowadziła w końcu sąsiadki do bramy, zdążyła jeszcze usłyszeć teatralny szept jednej z nich:

– Chyba kuzyn jaki, bo dla starej za młody, a Zuzka by takiego starego nie brała.

Poranna rozmowa z ojcem wyprowadziła Zuzkę z równowagi. Dziewczyna miała opowiedzieć mu o wygranych pieniądzach i o nowym lokatorze, ale zanim skończyli powitania, ojciec bez żadnych wstępów i bez pytania o zdanie oznajmił, że z wysokości swojej nieobecności zarządził instalację na ich domu (tym polskim) fotowoltaiki.

– Energia odnawialna to podstawa ekologii – perorował. – Matka mówi, że musimy szanować planetę, to załatwiłem wam ekipę na środę. Wszystko zaklepane, tylko im bramę otworzyć, dalej sobie poradzają. A te ubrania, to niech sobie ten wasz przyjaciel weźmie, jakie chce, z wyjątkiem czarnego garnituru.

– Nie planujemy pogrzebów. Tobie też pewnie nie będzie potrzebny.

– Ale chcę go zachować, bo jestem do niego przywiązany.

I to była cała rozmowa.

– Przywiązany jest – tłumaczyła Zuzka Mironowi, kiedy prezentowała mu zawartość szafy.

Część ciuchów przenieśli już z apartamentów państwa Nowaków na dół, żeby gość czuł się swobodnie w korzystaniu z niezbędnych części garderoby.

– Zawsze miałem pełną szafę, a chodziłem w czterech koszulach na zmianę. Teraz też mi więcej nie będzie potrzeba – stwierdził Miron i zabrał się do oliwienia zawiasów furtki.

Babcia rozsiadła się z książką w swoim fotelu, a Zuzka w słomkowym kapeluszu z wielkim rondem poszła robić porządku z różami. Niektóre były wyjątkowo złośliwe, więc dziewczyna uzbroiła się w specjalnie w tym celu zakupione rękawice spawalnicze. Gdyby ktoś zrobił im teraz zdjęcie, przedstawiałoby sielski obrazek. W tę sielankę wtargnęła rozemocjonowana Jolka.

– Nie uwierzycie! – wołała przejęta.

– Napij się wody – poradziła Babcia, widząc jej rozgorączkowanie.

Jolka przyjęła z jej rąk schłodzony napój, opróżniła szklanke kilkoma łykami i padła na krzesło.

– Mów – przynaglała Babcia.

– Zadzwonili z kliniki. Tam jakiś doktor będzie się habilitował i potrzebuje opisać taki przypadek jak matki do swojej pracy naukowej. I mamy jechać w przyszłym tygodniu do niego i on będzie matkę operował. Za darmo! I teraz! Nie za cztery lata! Tylko badania trzeba zrobić, ale tylko część teraz, a resztę to jak ją już położą do tej operacji. Cud jakiś!

– Fajnie – ucieszyła się Zuzka.

– W środę mamy być u niego na wizycie. Podwiozłabyś nas?

– W środę instalują nam panele słoneczne – Zuza zaczęła zastanawiać się, jak pogodzić oba wydarzenia.

– Ja was zawiozę – zaferował się Miron. – Przy okazji odwiedzę chłopaków w firmie i dowiem się, co tam u nich słychać.

Kiedy uradowana Jolka zniknęła za zakrętem drogi, Babcia uważnie przyjrzała się Zuzce.

- Chcesz mi może coś powiedzieć? – spytała, świdrując wnuczkę wzrokiem.
- Nie, bo się wygadasz.
- Zuzik, bo nos ci się z kłamstwa wydłuży. Gadaj.
- Oj tam, oj tam... Przecież nie mogli czekać na ten zabieg – Zuza zbagatelizowała sprawę.

Miron z zaciekawieniem przyglądał się kobietom.

- Nawet nie musiałam tego lekarza za długo namawiać, a na ten pomysł z pracą naukową to sam padł. Nam nie ubędzie, a one obie mają szansę na trochę szczęścia.
- Córku! – westchnęła pani Joanna, czule całując wnuczkę w czoło.
- Ale jak się wygadasz...

Babcia wykonała gest sznurowania ust.

- W życiu! – obiecała.

Tylko nie pytajcie we wsi, czy środa to był dobry dzień, bo każdy wam odpowie coś innego.

Łało, więc prace polowe zawisły na chmurze. Ale dzięki temu, że ziemniaków nie dało się zbierać, Martyniaki pojechali do komisu i kupili nowy samochód. Znaczy dla nich nowy, bo tak w ogóle to czteroletni, ale jak spod igły. Koza Rafalskiego, diabelski pomiot, jakimś cudem dostała się na werandę Chojnackich i wyżarła rozsady chryzantem, co to gospodyni na Wszystkich Świętych szykowała. Mostowski z Drogowskim uparli się, że odpalą starą sieczkarnię, od lat porastającą kurzem. Pół dnia przy niej dłubali, ale udało im się wskrzesić urządzenie. Drogowski będzie więc mógł sam szykować kiszonki na paszę.

Z samiułkiego rana Miron podjechał samochodem Zuzki (bo większy) pod dom Jolki i troskliwie usadowił jej mamę na honorowym miejscu. Jolka usiadła z tyłu, a wózek ulokowali w bagażniku. Ruszyli do Stolicy i przepadli tam na cały dzień.

Nowaczki miały cichą nadzieję, że spece od fotowoltaiki w taką pogodę nie przyjadą. Czekały bardziej na telefon odwołujący wizytę, niż na nich samych. Jakież było ich zdziwienie, kiedy przed bramą zatrzymała się granatowa furgonetka. Zanim Zuzka otworzyła bramę, sprawdziła, czy logo na samochodzie pokrywa się z zapowiadaną przez ojca firmą.

- Chyba mam już paranoję – stwierdziła.
- Lepiej na zimne dmuchać – poparła jej ostrożność Joanna. – Że też panowie w taką pogodę się wybrali – zwróciła się do monterów.
- Nie ma złej drogi do mej niebogi. Do roboty, Oluś!
- Znaczy, że co? – Oluś do rezolutnych raczej nie należał.
- Znaczy wyciągaj sprzęt i jazda.
- W taką pogodę będą panowie chodzić po dachu? – martwiła się Joanna.
- A nie, chodzić to nie za bardzo, my wymierzym tu paniom dzisiaj, a resztę chodzenia to w październiku najszybciej.
- Jak to w październiku? Ja zrozumiałam, że panowie dziś nam to zainstalują. – Zdziwienie Babcii podzielała również przyglądająca się zajściu Zuzanna.
- Mówiliśmy szefowi, znaczy temu panu, co robotę zamawiał, że mamy odległe terminy. Dziś wymierzym, za dwa, trzy tygodnie zwieziem sprzęt, a w październiku zainstalujem.
- Jak to, zwiezicie mi tu sprzęt? Gdzie ja niby go mam trzymać?
- A mało tu miejsca? Przecie duży dom, to będzie gdzie przechować trochę gratów. Bierz się, Oluś, za robotę.
- Kiedy drabina została na poprzedniej robocie.
- Panie dadzą jakąś drabinę – polecił majster.

Nowaczki posłusznie pobiegły do garażu po sprzęt i moknąc, wspólnie przytaskały przed dom.

– Panie tu przystawia. Nie tu, bliżej. Dobrze będzie, Oluś?

– Jak się wychyłę, to sięgnę.

– No to włącz, Oluś.

– Ale, panie majster, miarka była we skrzynce, a teraz jej nie ma.

– Pewnie Kulawy nie położył na miejsce. Panie mają jaką miarkę, coby Oluś mógł pomierzyć?

Tego Zuzce było za wiele.

– Co z panów za fachowcy, że nie macie własnych narzędzi? Nie po to zamawia się usługę, żeby monterom usługiwać. Po cholerę mi tacy fachowcy, za których sama muszę wszystko robić.

– Sie pani nie denerwuje.

– Jak mam się nie denerwować? Po co przyjechaliście, skoro ani paneli, ani narzędzi, ani pomysłu żadnego. Dziękuję panom bardzo. Skontaktuję się z właścicielem firmy, żeby mi przysłał profesjonalistów, a jeśli takich nie ma, to niech zacznie pietruszkę uprawiać, zamiast zajmować się elektryką. Do widzenia.

– Uprzedzam, że jeśli dzisiaj nie wymierzym, to się jeszcze wydłuży, bo terminy mamy napięte.

– To sobie będę latarką zimą przyświecała. Żegnam.

Robotnicy jak niepyszni wsiedli do samochodu i odjechali. Opierniczony przez Zuzkę właściciel firmy kajał się przez telefon okrutnie, tłumacząc brakiem uczciwej siły roboczej i zawaleniem robotą. Obiecał przysłać następną ekipę w przyszłym tygodniu. Zaliczki nie chciał zwrócić i zarządził, że wszystko będzie, jak to określił, „na cucus”.

Nowaczki rozczarowane taką wizytą usiadły nad kawą w salonie.

– Niezła ta kawa od Marciniakowej – stwierdziła Babcia. – Nawet jej słodzić nie trzeba. Zostało jeszcze trochę szarlotki?

Zuza przyniosła resztki ciasta i usiadła naprzeciwko Joanny.

– Zdaje się, że zrobił się u nas dom schadzek – westchnęła. – Sołtysowa coś wspominała, że wieczorem chłopcy chcą się zebrać, żeby ustalić, co z osłonami na drogę, bo o zimie już trzeba zacząć myśleć.

– Gdzie o zimie? Skoro lato jeszcze się nie skończyło.

– Już się kończy. Wyjrzyj przez okno. A jak zauważyłaś, to tu raczej zapobiegliwi ludzie mieszkają. Latem, jak było sucho i woda opadła niżej, to się skrzyknęli, żeby pozarastane rowy melioracyjne oczyścić i pogłębić. A teraz myślą o zimie.

– Czyli znów goście? A my nic nie mamy, żeby poczęstować – zatroskała się Joanna.

– Są te batoniki od Rafalskiej. I jest szansa, że tym razem też coś ze sobą przyniosą.

– Nie za dobrze im tu?

– To chyba dobrze, że do nas ciągną. Zawsze mnie uczyłaś, że trzeba być gościnnym.

– Ale może tak bez przesady – widać Babcia była już zmęczona ciągłym tłumem przewalającym się przez dom.

– Nie chcesz ich tu? Bo ja myślałam... – Zuzka zawiesiła głos. – Myślałam... Tylko nie krzycz od razu.

– Wyduś wreszcie – przynagliła ją Joanna.

– Myślałam, że skoro oni i tak się tu złączą jak do świetlicy, to może zamiast tych obiadów dla chłopów, to by się tu taką właśnie świetlicę zrobiło. Taki rodzaj domu kultury, żeby w salonie dostawić jeszcze dwa stoły, książki by się po znajomych pozbięrało, może Jolka by dzieciakom zrobiła warsztaty malarskie...

– A jej matka takie piękne rzeczy na drutach robi, też by mogła młodzieży pokazać rękodzieło. I zamiast siedzieć samemu po kątach, to by sobie tu mogli telewizję obejrzeć.

– Zaraz by były kłótnie o oto, który program.



– E tam. – Babcia miała rozwiązanie na wszystko. – Pogodziłoby się. Regulamin byśmy zrobili. Mistrzostwa świata – to sport, a tak na co dzień to wiadomości i jakieś dobre filmy. Żadnych durnych seriali.

– Kiedy oni lubią durne seriale.

– To niech po domach oglądają – Babcia była kategoryczna.

– I ciasto by im się od czasu do czasu upiekło – planowała dalej Zuza.

– Hej, ale ty miałeś zarabiać na tych chłopskich obiadach, a nie oddawać w posiadanie cały dom.

– Nie cały, tylko dół. Na górę wstęp wzbroniony. Jeśli miałybyśmy ich dość, to trzeba się gdzieś schować. I też nie musimy ich tu gościć codziennie. Nawet teatry są w poniedziałki zamknięte. A co do zarabiania...

– Dziecko, ty musisz myśleć o sobie i o przyszłości. Tych pieniędzy, jeśli masz zamiar wszystkim wokoło operacje fundować, to na długo ci nie wystarczy. Owszem, możesz polegać na ojcowym nosie do interesu. Na pewno tata ci podpowie, jak te pieniądze rozmnożyć, bo co jak co, ale gdyby to on był Pinokiem, to jemu by te drzewa z pieniędzmi zamiast liści wyrosły. Ale ta twoja wygrana to nie bułka odrostka. Poza tym, jeśli nie będziesz teraz pracować, to z czego później emerytura?

– Ale to może być moja praca – stwierdziła Zuza.

– Myślisz, że Drogowski albo chłopaki Bożymorskich będą ci płacić, żeby sobie kulturalnie posiedzieć z sąsiadami u ciebie? Będą woleli się napić pod sklepem u Wrońskich, zaręczam.

– To trzeba spróbować wyrwać na to kasę z gminy.

– Rwij, dziecko. Trzymam kciuki!

Rzeczywiście pod wieczór na taras do Nowaczek zaczęło się schodzić chłopstwo. Zaproszeni przez gospodynie ze względu na chłód przenieśli się do salonu. Kiedy na stole pojawiła się herbata, Mostowski wyjął zza pazuchy flaszkę.

– Coby nam się o suchym pysku nie gadało – stwierdził.

– O nie, panowie – zaprotestowała Babcia. – Bardzo chętnie was tu gościmy, ale speluny nie pozwolę z tego domu robić. Zabieraj pan to.

Mostowski jak niepyszny schował butelkę, ale zreflektował się, że faktycznie, wypada uszanować zdanie gospodarzy, skoro sobie nie życzą. Uniósł się z krzesła i cmoknął Babcie w rękę.

– Pani Nowakowa, szacuneczek, nie chcielim uchybić.

– Dobrze, dobrze – Joanna dała się udobruchać.

Kiedy przybyli wszyscy zainteresowani, przeszli do meritum.

– Wyśta, chłopcy chyba się z kozą Rafalskiego na głowy pomieniali. Szykujeta zapory śnieżne na zimę, zamiast pomyśleć o odbudowie kościoła. Kapliczki poniszczone...

– ...Będą naprawione – wtrącił się sołtys. – To już umówiliśmy się.

– Ale w zimie to trza na mszę do Miasta jechać, a jakbyśmy se tu kaplicę porządną... PORZĄDNĄ mówię, toby nam i księdza jakiego przydzielili.

– Martyniak, wyśta se kupili nowy samochód, to gdzie nim, jak nie do kościoła do Miasta jeździć będzieta? A księdza to później utrzymać przyjdzie. Jak do Miasta jedziem, to tym miastowym księdzom do tacy coś się dorzuci i tyle, a tu to i na ornaty trza będzie, i na utrzymanie plebanii, i żeby gołym tyłkiem w wyświeconej sutannie wstydu Wiosce Małej nie narobił, bo nas w całej diecezji na języki wezmą.

– Świąta racja, chłopcy. A jak drogę zimą zawieje, to nie tylko do kościoła, ale i na pogotowie nie dojedziesz.

– A kiedyś ty tu, Czerwiński, taką zimę widział, żeby drogę zawiało.

– A pamiętasz, Witek, jak cię stary Bożymorski traktorem z rowu wyciągał?

– Kiedy to było? Na świętego zapomnij. Pacholków ponastawiacie, a potem na wiosnę trzeba zbierać i po stołach tylko pod nogami się wala.

– Proponuję, panowie, żebyśmy może ponaszali drzew wzdłuż drogi. Dadzą cię latem, przyjemniej się będzie chodziło, jak ktoś do sąsiadów będzie się chciał przejść, a na zimę tylko się między nimi siatkę rozwinie i dużo miejsca to nie zajmie – wtrącił się weterynarz.

– O, mądrego to warto posłuchać. Może jakie owocowe, to i pożytek z tego będzie.

– Jaki pożytek?! Jak przy drodze te owoce będą rosły, to jeno ołowica.

– A jakiz ty masz tu ruch po tej drodze, żeby od razu ołowicę w owocach hodować?!

– Macie, sąsiad, rację. Drzew owocowych nasadzić, najlepiej jabłek, najwyżej głowiznie się da, jak zbierać na domowe potrzeby nie będzie komu.

– Po cholerę to wszystko robić? Zimy nie będzie. Od trzech lat nie ma, to i po zimach. Już nie wrócą.

– Żeby nie było jak w tym kawale o starych Indianach, co to każdego roku słuchali prognozy i każdego roku niepotrzebnie zbierali drewno na zimę – mruknął pod nosem sołtys.

– I co? – Weterynarz nie znał dowcipu.

– I w końcu wódz poszedł do tych, co to przepowiadają pogodę w telewizji...

– Meteorologów – podsunął uczynny sąsiad.

– No przecież mówię, no, do tych właśnie. I pyta, jak tam z tą zimą lato będzie. A oni mu na to, że zima będzie sroga wielce, bo Indianie od trzech lat już na nią opał zbierają.

– Ale suchar – podsumował Rafalski. – Ten kawał ma brodę, jak stąd do rzeki.

– A znasz lepszy?

– A znam...

I tak się chłopstwo w opowiadaniu dowcipów rozochociło, że zapomnieli, że powinni wrócić na noc do domów. Babcia drzemała w swoim fotelu, Zuzka znudzona wysłuchiowaniem kawałów usiadła w kącie z książką. Dopiero Miron, który uznał, że nie można nadużywać gościnności, rozgonił towarzystwo. Jeszcze z drogi dochodziły za nimi śmiechy i pohukiwania.

Nikt ze zgromadzonych w salonie Nowaczek nie zauważył, że przez jakiś czas byli obserwowani. Dwa rosłe cienie zaczajone za płotem bacznie lustrowały dom. Nie wiadomo, jakie mieli zamiary, ale jakie by one nie były, zrezygnowali z nich, widząc przez drzwi tarasowe tyłu mężczyzn. Zanim goście się rozeszli, również po tajemniczych postaciach nie było już śladu.

– Ale się rozpadało – Jolka strząsnęła wodę z parasolki. – Mama nie może się doczekać, kiedy znowu do was przyjdzie posiedzieć, tak jej się tu spodobało. Ale nie przepchnę jej przez to błoto z wózkiem. Taka się kałuża zrobiła przed moją furtką, że wierzchem się do kaloszy leje.

– To ten dom z lipą na podwórku? – spytał Miron, zakładając sztormiak, a kiedy uzyskał odpowiedź, przepadł gdzieś w deszczu.

– Chciałam ci podziękować za pomoc z samochodem i jeszcze raz przeprosić za te nasze niesympatyczne początki. – Jolka niepewnym gestem wyciągnęła w stronę Zuzki pakunek owinięty w gazety.

– Daj spokój, od czego są sąsiedzi. – Zuza z ciekawością rozwijała kolejne warstwy papieru. Jej oczom ukazał się przepiękny obrazek przedstawiający dom Nowaków, otoczony barwnym ogrodem i skąpany w promieniach słońca. – Jolka, to jest cudne! Zuza aż usiadła w zachwycie nad malunkiem. – Ten ogród prawie pachnie. Jak ty to...?

Jola pokraśniała ze skrępowania.

– Normalnie. To nic takiego... Takie tam mazidła.

– Jolka, to jest cudne! – Zuza wyściskała koleżankę serdecznie. – Baaciu, zobacz.

Zwabiona okrzykami wnuczki Joanna oderwała się od krojenia cebuli i przysła zobaczyć, co tak zachwyliło Zuzankę.

– Piękny – pochwaliła zachwycona. – A może, jeśli pozwolisz – zwróciła się do Jolki, wysłamy to do Grecji Ani i Mareczkowi? Niech mają swój dom chociaż na obrazku.

Jolka tylko machnęła ręką.

– To już wasze. Róbcie z tym, co uważacie. W razie czego to namaluję następny. Ale dopiero jak się uporam ze świątkami – zastrzegła.

– Mówiłam, że powinna się tym swoim talentem dzielić. Siadaj.

Na stół wjechały trzy filizanki z parującą kawą i świeżo upieczone ciasteczka maślane. Kobiety co chwilę na nowo podziwiając dzieło Joli, zaczęły przed nią roztaczać wizję wiejskiej świetlicy.

– To ma sens – podsumowała usłyszane plany. – Mówiąc szczerze, to dziwię się, że wcześniej nikt o tym nie pomyślał. Taka liczna osada, a jak pustynia jakaś. Nic tu nie mamy. Jeden sklep. Było koło gospodyń wiejskich i dałoby się wznowić działalność, ale baby stwierdziły, że nie są żadnymi „gospodyniami wiejskimi”. Rozumiecie? Miastowe się czują. Co prawda, wszystkie młodsze pracują w miasteczku, a mężom w obejściu tylko pomagają. Ogródki i kurki to po robocie ogarniają.

I tak rada w radę ustaliły, że wciągną w realizację pomysłu sołtysa, niech zaopiniuje projekt, zbiorą podpisy po wsi i złożą wniosek w gminie. Właśnie kończyły spisywać wstępne założenia, kiedy w drzwiach pojawił się Miron.

– W imię ojca i syna!!! – krzyknęła na jego widok Joanna. – Chłopaku, gdzieś ty się tak wytarzał?

– Ja to nic – śmiało się ubłocony mężczyzna. – Gdybyście zobaczyły Artura! Tak się poślizgnął, że całą taczkę ziemi na siebie wywalił. Ale możesz już matkę wozić, gdzie chcesz i kiedy chcesz – zwrócił się do Jolki. – Trochę podspaliśmy, żeby wyrównać i dla utwardzenia położyliśmy deski. Stare, bo stare... jakiej się w warsztacie Artura wałają, ale powinny parę ulew przetrzymać. Idę się przebrać, bo wszystko tu upaprę. Udał ci się ten chłopak, Jolka. Pracowity i zna się na robocie. Skarb – dodał, odchodząc.

– Ale to nie mój... – próbowała wyjaśniać, ale tylko pokraśniała i nie skończyła zdania, bo plecy Mirona zniknęły w korytarzyku.

Nocą monotonne bębnienie deszczu o dach skuteczną kołysanką uspiło wszystkich domowników. Błogi sen przerwało wycie syren i rumor pod oknami, a ciemność deszczowej nocy rozbłysła na niebiesko. Pierwszy, jeszcze przed służbami, na posterunku znalazł się Miron. O ile on wybiegł przed dom w pełnym rynsztunku, to obie zaspane Nowaczki, przecierając oczy z resztek snu, przyczłapały za nim – Babcia otulona szlafrokiem, Zuzka przydługim kardiganem. Babcia w kapiach z puszkami, Zuzka boso. Na trawniku, przykryty przewróconą drabiną, leżał obcy facet, jęczący i zasłaniający oczy przed światłem latarek chłopaków z firmy ochroniarskiej. Do ochroniarzy dołączyli policjanci. Słychać było ich nawoływania, jakiś tumult w okolicach mostu. Jeden z ochroniarzy odsunął na bok drabinę, odwrócił leżącego na trawie mężczyznę i skuł mu ręce za plecami. Pociągnął go za kołnierz z ziemi i zaprowadził do samochodu.

Miron podszedł do grupy mężczyzn krzątających się po podjeździe. Widząc, że jest w samej koszulce, Babcia złapała z wieszaka przy wejściu swoją parasolkę i pospieszyła go ratować. Różowy pusek przy kapiach chłonał wodę i błoto, ale kto by się tym w takich okolicznościach przejmował. Gdy już zadbała o swojego ulubieńca, wróciła na taras, niecierpliwie czekając, żeby ktoś wytłumaczył jej, co się tu właściwie dzieje. Panowie ze służb pokazywali coś na dachu i poza posesją kulącemu się pod kwiecistą parasolką Mironowi, coś tłumaczyli, nad czymś się naradzali.

Zuzka zniknęła na moment w domu i po krótkiej chwili pokazała się z powrotem, tym razem w ojcowych kaloszach. Wyglądała trochę groteskowo: welniany kardigan, koszulka nocna z cienkiej bawelny, a na nogach potężne gumki, żeby nie wspomnieć o niebanalnej fryzurze, prosto z łóżka.

– Co tu się dzieje? – zażądała natychmiastowych wyjaśnień.

Niestety, odpowiedzi nie otrzymała. Jeszcze trwały jakieś niezrozumiałe dla niej czynności i ustalenia. W końcu Miron oderwał się od grupy mężczyzn i podszedł do Nowaczek.

– Mówilem, rączki i nóżki po jednej będziemy odcinać. Dzisiaj kolejne dwie – oznajmił niezbyt jasno.

– Czyli że co? – Zuza zażądała szczegółów.

– Przyszli, łachmyty. Cichy alarm zadziałał. A że chłopaki byli bardzo blisko na patrolu, to zjawili się w pięć minut, powiadamiając po drodze policję. Kto zostawił tę drabinę przystawioną do okna? – spytał oskarżycielsko.

– Nie do okna, tylko do dachu. My – odważnie przyznała się do tego czynu Babcia.

– No i to ich skusiło. I dobrze! O dwóch mniej.

– A ten drugi gdzie?

– Na odgłos syren zaczęła uciekać, a że na most już wjeżdżały radiowozy, to poszedł przez wodę. Tylko nie przewidział, że po deszczu brzeg jest rozmoczony i śliski. Ci panowie mu pomogli wydostać się z kipieli. Gdyby nie oni, toby się chłopina utopił.

– A ten? – spytała Zuza, pokazując na aresztanta w radiowozie.

– A ten wlaź na drabinę, chcąc się dostać przez to okno...

– O matulu, i to przez moje! – zachłysnęła się Babcia.

– ...Ale miał niefart. Podziękujcie za deszcz. Murawa rozmiękła i noga drabiny się zapadła. Cudem się nie połamał.

– Ale czego oni tu...?

– Brakującego elementu. I to nam daje pewność, że on jednak istnieje. Tylko gdzie? Jeśli wypadł mi w lesie, to szukaj wiatru w polu.

– A to popapraniec nieszkolony – sarkał pan Marek na wieści córki o ekipie, którą jej przysłał. – Naprostuję to. Pa, Zuzik, mama chce z tobą rozmawiać. Nie martw się, załatwię brakorobów.

– Oooooo, moja córeczka kochana! Jakaś błąda jesteś. Zmęczona czy chora?

– Trochę się nie wyspałam – padła wymijająca odpowiedź.

– Ja też całe noce nie śpię, bo obmyślam, jak tu twoją przyjaciółkę wciągnąć w biznes.

– Jezul! Znowu jakieś interesy chcecie robić? Z tawerną nie wyszło?

– Wyszło, wyszło. Nawet bardzo wyszło – twarz pani Anny rozpromieniła się w uśmiechu. – Odkąd zastosowaliśmy te wasze plebejskie zasady, to tylko drzwiami się wachlujemy. Zrób to samo u was, a zobaczysz, interes będzie się kręcił jak karuzela w wesołym miasteczku.

– Znaczy, do porzygania? – spytała Babcia podejrzliwie.

– Ależ co mama? Mówię wam, warunki tam macie, bo dół domu idealnie nadaje się na taką działalność.

– Czyli mamy wasze błogosławieństwo? Mamy działać? Dół domu do dyspozycji?

– No przecież mówię. Ale ja nie o tym. Zuzu, zaraz ci wyślę na mejla zdjęcie. Nawet dobrej jakości, to powinno dać radę. Poproś tę swoją koleżankę, żeby z tej fotki zrobiła obrazek. Jeden taki gość zobaczył ten namalowany nasz ogród i się zaciął, że też chce taki. Za każde pieniądze. Myślicie, że tysiąc euro wystarczy?

– Nie wiem, muszę porozmawiać z Jolką. Ona teraz nie ma czasu, bo robi za konserwatora.

– Zamki naprawia?

– Nie, świątki restauruje.

– To dwa tysiące. W ciemno deklaruję w imieniu faceta, bo cały wieczór tylko wpatrywał się w ten nasz obrazek i wzdychał, i cmokał, i jęczał.

– Zapytam...

- Zwariowałaś!!! – w reakcji na zadane pytanie Jolka aż rozlała piwo, którym się raczyły.
- Nie ja. Ten facet. Znaczy ten w Grecji – sprostowała Zuzka, wycierając płamę ze stołu.
- Przecież to kupa kasy!
- No. Mało nie jest – przytaknęła Zuzia.

A Babcia dodała:

- Ale za sztukę się płaci.
- Jaka to sztuka? Bohomazy domorosłej pacykarki.
- Nie ujmuj sobie wartości. Jeśli komuś się spodobało, to znaczy jest tego warte.
- Ale nie tyle! – Jolka w dalszym ciągu nie mogła ochłonąć.
- Dzieła sztuki są tyle warte, ile ktoś chce za nie zapłacić.
- Ja pitole! Dawaj to zdjęcie. To w takim razie zrobię ci tę szafę za darmo. Już rozmawiałam z Arturem... No co się tak głupio gapisz? Rozmawiamy sobie. To chyba normalne?
- Tak, tak, normalne – kiwnęła głową Zuza.
- Głupia jesteś. My tylko... No dobra, wracając do szafy. Artur jutro zajmie się tym złamanym gzymsem, podszlifuje drzwiczki, żeby się równo zamykały i zaszpaculuje szpary po kornikach. A jak skończy... Aha, i zabejcuje, czy co tam da na podkładówkę. On już wie, co ma zrobić. A później ja ją odpicuję na kolorowo, że będzie jak nowa. Do końca tygodnia powinnam skończyć wszystkich świętych i zaraz się biorę do ciebie... Znaczy do twojej szafy.
- To muszę do jutra opróżnić wszystko z ubrań – planowała Zuza.
- No to do roboty. A ja lecę, bo się z Artkiem umówiłam.

Kiedy Jolka zniknęła za drzwiami, Babcia westchnęła:

- Jak to nigdy nie wiadomo, kto wróg, a kto przyjaciel. Dopiero w praniu wychodzi.
- À propos prania, skoro już będę tę szafę wybebeszac, to poprałabym zimowe kurtki, póki ładna pogoda i można je na wietrze posuszyć. Tylko ta nasza pralka na dole ostatnio dziwnie się zachowuje. Miron też zauważył, że coś z nią nie tak, jak prał portki po tym taplaniu się w błocie. Lżejsze rzeczy piore w tej w łazience rodziców, ale jak wrzuciłam koc do tej w piwnicy, to jakieś takie dziwne dźwięki przy wirowaniu wydawała.

- Pierze? – spytała Babcia.
- Pierze – zgodnie z prawdą odpowiedziała Zuzka.
- Wiruje?
- Wiruje... Jeszcze – dodała.

- No to jak przestanie, to się nią zajmujemy. Teraz nie będziemy sobie tym głowy zawracać. O! – wskazała na okno tarasowe – Jasiak idzie.

W rzeczy samej, właśnie zbliżał się do nich gość.

- Mam dla was list z urzędu. Kaliskiemu nie chciało się już tu jechać, to mi dał. Do ciebie, Zuziu, adresowany. – Oddał w ręce dziewczyny pismo z pieczęcią urzędu gminy. – Czterech chłopaków nam się wysypało z drużyny i miałem trzy służby z rzędu. Padam pyskiem na twarz, ale musiałem dowiedzieć się, czy żyjecie.

- Ja żyję – pospieszyła z odpowiedzią Babcia. – Ale pewnie nie o moje życie ci chodzi. Pogadajcie sobie. Pójdę zrobić sobie manicure.
- Baaciu, dyplomacja i dyskrecja to dwie twoje dominujące cechy – skarciła ją Zuzka, a Jasiak lekko się zaczerwienił.
- Cicho. Ciekawa jestem tych waszych opowieści, ale się poświęcę.
- Przecież nam nie przeszkadzasz – próbowała zatrzymać ją Zuzia.

– Nie. Wcałe. Jak pączek w chrzanie będę się tu z wami czuła. Cześć. Tylko jak byście się zasiedzieli, nie zapomnij włączyć alarmu, bo znowu ktoś się do mnie włamie.

Po wyjściu Babcia nastąpiła chwila ciszy.

– Miron mi opowiedział, co się wydarzyło. Spotkaliśmy się w Mieście.

– A tak. Pojechał w jakichś swoich sprawach i po trytytki do podwiązywania pnączy. Jutro sama muszę iść po zakupy, bo już lodówka świeci pustkami – Zuzka paplaniną usiłowała pokryć skrepowanie.

– Może lepiej, żebyście teraz nie kręciły się same po wsi?

– Chodzi przecież o to, żeby zawsze ktoś był w domu. – Zuza z ciekawością zajrzała do przyniesionej przez Jaśka koperty. Wyjęła pismo, przerzuciła wzrokiem i jej twarz się rozpogodziła. – No i mamy w Wiosce Małej Europę! – krzyknęła. – Babciu, słyszysz?

– Nie jestem głucha – Joanna stanęła u szczytu schodów. – Europa? Nie Trzeci Świat?

– Europa – potwierdziła Zuzka. – Ha!

I zaczęła tańczyć wokół stołu.

– Można? – Jasiek, nie czekając na pozwolenie, zaczął czytać. – Gratuluję! – Złapał wpół Zuzkę i zakręcił nią, jakby nic nie ważyła.

A kiedy już postawił dziewczynę na ziemi, zadzierając głowę, zwrócił się do wciąż niczego nierozumiejącej Joanny:

– Jest dotacja na wiejski dom kultury – spojrział w druk, żeby niczego nie pomylić. – Z funduszy europejskich. Wyrównywanie szans. Kontrakt na dwa lata, a później, po przeprowadzeniu ewaluacji, gmina przejmie dalsze zobowiązania.

– No i sure! – podsumowała Babcia. – Będzie się działo! Nie jestem pewna, czy chcę w tym uczestniczyć.

– Przecież to był twój pomysł. Mamy się wycofać? – Zuzce zrzedła mina.

– Zwariowałaś? Tak tylko marudzę. Dobranoc.

I zniknęła w swoim apartamencie

– Opijemy? Mam cedr – zaproponowała Zuzka gościowi.

– Dawaj. Czegoś mocniejszego bym nie przeżył, ale trzeba to uczcić. A gdzie Miron?

– Pojechał do swoich kolegów wy badać, co ci zatrzymani wnieśli nowego.

– Niestety, nic – dało się słyszeć od drzwi. Miron poruszał się bezszelestnie.

– Nie zauważyłam, kiedy podjechałeś.

– Bo przyszedłem na piechotę. Martyniak mnie podwiózł do krzyżówki. Straciłem szyby. Pod samym posterunkiem. Wszystkie. Na beczela. – Padł obok nich na sofę. – Ktoś tu mówił o cydrze. Czekaście, umyję ręce i zrobię jakieś kanapki. A wy sobie przez ten czas, gołąbeczki, nie przeszkadzajcie.

Tym razem Zuzka splonęła rumieńcem.

Właśnie stała w otwartych wrotach garażu, zastanawiając się, czy jechać po zakupy samochodem, czy się przejść, kiedy przed bramą zajechała poznana już wcześniej granatowa furgonetka.

– Słyszeliśmy, że miała tu pani drobne nieporozumienie – usłyszała zamiast „dzień dobry”.

– Trudno je nazwać drobnym. Rozumiem, że dziś panowie są przygotowani do pracy od poczęcia aż po grób?

– Nie będziemy rodzić. Przyjechaliśmy podłączyć panele – odrzekł monter, nie podejmując Zuczynnej przenośni.

– Żeby je podłączyć, to trzeba najpierw zainstalować – sprostowała dziewczyna.

– Zrobi się. Sie pani nie denerwuje – zapewnił.

– Czy to „sie pani nie denerwuje”, to wasza dewiza firmowa? Poprzednicy też mnie zapewniali, że nie mam co się martwić.

Na podjeździe pokazał się Miron.

– W czymś pomóc? – spytał grzecznościowo.

– Damy radę – odparł monter i odwrócił się do grzebiącego w szoferce kolegi. – Dawaj, Boguś!

– Dobrze, że nie Oluś – mruknęła Zuzka pod nosem, a na głos zwróciła się do Mirona. – Zostawię ich tu i zaraz wracam.

– Leć, dziewczyno. I nie zapomnij o kaszy. Dziś ja gotuję i obiecałem wam krupnik.

Żeby było szybciej, Zuza jednak wybrała samochód. W sklepie tym razem nie było kolejki, a że Wrońska zajęta była wykładaniem towaru na półki, to i nie zatrzymała Zuzi pogaduchami. W efekcie cała wyprawa trwała jakieś dwadzieścia minut.

Już z szosy widziała, że na podwórku trwa ożywiona dyskusja, do której dołączyła nawet Babcia w lokówkach na głowie. Zdziwiło to Zuzię, bo Joanna zawsze dbała nie tylko o wygląd, ale i konwenanse. Musiało się stać coś bardzo ważnego, skoro w takim stanie pojawiła się obcym ludziom na oczy. Zanim Zuza wysiadła z samochodu, konflikt został zakończony przez Mirona stanowczym i gromkim:

– Wypierdalać!

Zuza zasłoniła usta oniemiała, jakby to jej się wyrwał taki brzydki wyraz.

– Co się tu dzieje? – spytała.

– Panowie stron świata nie rozróżniają – wyjaśnił Miron.

– Co nie rozróżniamy?! To pan się nie zna. Z tej strony jest najlepsze nachylenie.

– Zobacz, tłumoku – Miron nie bawił się w grzeczne słówka – jak zorientowany względem słońca jest ten dom.

– Jak mam zobaczyć, jak jest zorientowany względem słońca, kiedy słońca nie ma? Widzisz pan tu jakieś słońce?!

W rzeczy samej, całe niebo pokrywała zwarta warstwa chmur.

– To se, matolki, kompas kupcie.

– Czy ktoś mi wytłumaczy, w czym rzecz?

– Panowie upierają się, żeby zamontować panele na północnej stronie dachu – nieco spokojniejszym tonem wyjaśnił Miron, ale widać po nim było, że aż się gotuje.

– To głupota – stwierdziła Zuzka.

– Widzisz, geniuszu – Miron znów zwrócił się do majstra. – Nie trzeba kończyć politechniki, żeby wiedzieć, że to idiotyzm. Nawet baba ci to powie... Wypierdalać.

Robotnicy próbowali jeszcze się targować, ale już nikt ich nie słuchał. Oni również, jak poprzednicy, wsiadli do samochodu i odjechali.

– Z tą babą to przesadziłeś – Zuzka udawała, że się dąsa.

– Przepraszam. Daj te pakunki, to ci pomogę.

– Cholera, wszystko kupiłam, tylko kaszy zapomniałam. To się jeszcze raz przelecę. Tym razem w ramach spacerku, bo już się nie muszę spieszyć.

Chwyciła torebkę, pomachała Babci i Mironowi, i poszła.

Samotna wędrownica sprawiała jej przyjemność. W drodze powrotnej wymachiwała prawie pustą siatką i nuciła przeboje Majki Jeżowskiej. Ostatnie ciepłe dni zachęcały do przebywania na świeżym powietrzu. Zuzka z radością oddawała się pracom w ogrodzie, w czym dużym wsparciem był Miron. Nie dość, że znał się na rzeczy, to aż rwał się do cięższych robót. Nie przywykł do bezczynności, przez całe życie był aktywny i dbał o kondycję. Nadal potrzebował ruchu. Teraz okopywanie krawężników, wykopanie karpy czy opróżnianie kompostownika traktował jak namiastkę siłowni. Obie z Babcią

z przyjemnością patrzyły, jak wracają mu siły i witalność. Pomimo jesiennego już słońca twarz mu ogorzała, nabrał zdrowych rumieńców. Ze śladów pobicia nic nie zostało. Kiedy Zuza przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy go znalazła w lesie, wstrząsnął nią dreszcz. Cieszyła się, że z nimi mieszka, bo oprócz ewidentnego wsparcia i pomocy dawał namiastkę bezpieczeństwa. Do tego był serdeczny i dowcipny. Taki starszy brat.

Kontynuując beztroski spacer, usłyszała za plecami nadjeżdżające auto. Odruchowo zeszła na pobocze, żeby mu ustąpić. W jednej chwili wyprzedzający ją samochód zapisał hamulcami, zajechał jej drogę, a z wnętrza wyskoczył jakiś rosy facet. Usiłował złapać Zuzkę za ramię, ale uskoczyła w bok. Zniecierpliwiony rzucił się na nią i zaczął ciągnąć w stronę wozu. Prerażona Zuzka wyrwała się i szarpała, ale silne ręce oprawcy nie dawały szans na uwolnienie. Jej krzyki mieszały się z rykiem motocykla. Kątem oka zauważyła znanego z marzeń rycerza w czarnym kombinezonie. Zatrzymał się z wiziem, zeskoczył z siodelka, porzucając maszynę na środku drogi, i w biegu zdejmował kask. Spod niego ukazała się nieoczekiwanie znajoma twarz. Jasiiek nie zastanawiał się ani chwili. Wziął potężny zamach i z całej siły walnął zbira na odlew hełmem prosto w skroń. Głowa oprawcy odskoczyła, ale nie upadł. Ważne, że puścił Zuzkę, żeby mieć wolne ręce. Nie zdążył ich jednak użyć, bo zarobił drugi raz, tym razem w podbródek. Od tego ciosu padł na plecy, waląc głową w asfalt.

Tymczasem drugi wysiadł zza kierownicy. Ruszył w stronę Jaśka, całą swoją postawą zapowiadając odwet. Tym razem Zuzka nie myślała, co zrobić – odruchowo pacnęła go siatką z zakupami. Zdezorientowany odwrócił wzrok w jej kierunku. Tę chwilę wykorzystał Jasiiek, chwytając kask oburącz i z góry waląc gościa ze wszystkich sił. Raz, drugi i wreszcie trzeci. Pierwszy cios ogłuszył zbira, drugi pozbawił przytomności, trzeci był już zbędny, ale został wymierzony z rozpędu. Facet padł na ziemię obok swojego kolegi.

– Cholera, przyłbicę mi połamali – stwierdził Janek, ale zorientował się, że nie kask jest teraz najważniejszy. – Cała jesteś? – zwrócił się do zszokowanej Zuzki.

Zamiast odpowiedzieć, padła mu w objęcia. Odruchowo otoczył ją ramionami i kołysał jak dziecko.

– No już dobrze – uspokajał. – Już jesteś bezpieczna.

Zanurzył twarz w jej włosach i trwali tak dłuższą chwilę. Po tym momencie słabości delikatnie uwołał się z jej uścisku.

– Zuzuś, trzymaj się – powiedział czule, zaglądając jej w oczy i lekko potrząsając. – Musimy ich spacyfikować, póki się nie ocknęli – dodał trzeźwo.

O ile słodczy jego głosu w pierwszym zdaniu roztopiła Zuzce serce i kolana, o tyle rzeczowe stwierdzenie zawarte w drugim zebrało ją do kupy.

– Fakt. Może mają w samochodzie coś, czym można ich związać – ruszyła w kierunku auta.

– Nie trzeba – powstrzymał ją Jasiiek.

Podszedł do motocykla, podniósł i postawił go na podpórcę, a ze schowka pod siedzeniem wyjął pęk trytytek. Triumfalnym gestem uniósł je nad głowę.

– Ostatnio wspomniałaś coś o podwiązywaniu pnączy. U nas też trochę tego rośnie. A jeszcze Artur stwierdził, że musi zrobić porządek z kablami w stolarni, więc nakupiłem tego cały zapas.

Wprawnymi ruchami skrępował dochodzących powoli do przytomności napastników. Zamiast zadzwonić bezpośrednio na policję, powiadomił najpierw Mirona. Ten zjawił się w kilka minut, a tuż po jego przybyciu obok motocykla zatrzymał się nieoznakowany samochód z agentami i tak zwana suka. Zrobili zator przez całą szerokość szosy. Przejeżdżający obok traktorem stary Bożymorski tak się na nich zagapił, że mało do rowu nie wjechał. Dwóch facetów po cywilnemu zgarnęło złoczyńców na pakę, trzeci zaopiekował się ich samochodem, zamienili kilka zdań z Mironem i odjechali. Na drodze została tylko nasza trójka. Odprowadzili wzrokiem oddalające się samochody i chwilę stali, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Pierwsza ze stuporu ocknęła się Zuzka.



– Krupniku dzisiaj nie będzie – stwierdziła, pokazując rozerwaną torebkę, z której na asfalt sypała się kasza. – Trzeci raz do sklepu nie idę – dodała kategorycznie.

– Co należało dowieść – podsumował ostatnie wypadki Miron, kiedy całe wtajemniczone w przedsięwzięcie towarzystwo zebrało się w salonie Nowaczek. – Przetrzepali domy, mój samochód, teraz wzięli się za ludzi. Plan był prosty: Zuzia za informacje. Mogłoby się okazać, że nie poprzestaną na porwaniu i złożeniu propozycji wymiany Zuzki na zapiski księgowego. Mogli próbować wycisnąć z niej, co mamy i co wiemy. W konwenansie by się przy tym nie bawili. A dzięki interwencji Jaśka mamy kolejne dwie mafijne rączki mniej. Durnie przyjechali samochodem na legalnych blachach, jeśli w ogóle można w ich przypadku mówić o jakimś legalu. Dało nam to następnych pięciu, bo kiedy ekipa pojechała po właściciela auta, przy okazji wpadli zaskoczeni nad liczeniem kasy z wymuszeń.

– Czy oni nam kiedyś dadzą spokój? A jeśli, to czy ja mam szansę dożyć tej chwili? – spytała Babcia, nie licząc na odpowiedź.

– W domu jesteśmy względnie bezpieczni. No chyba żeby wkroczyli z oddziałem zbrojnym, ale na to się nie odważą i raczej nie mają tyłu luf. W ciągu dnia ciągle ktoś się kręci, a po zakończeniu wszystkich wizyt mamy monitoring. Ważne, żeby nie lazić w pojedynkę. Od dziś żadnych samotnych wypraw – zarządził Miron.

– Ale ja muszę... – zaczęła zdanie Zuza.

– Niczego nie musisz. W każdym razie nie sama. Jeśli masz jakieś potrzeby, to jest nas tu kilku chłopa... I to kilku jednocześnie, jeden to mało. Zrozumiano? – Ton Mirona nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do wagi jego zaleceń.

– To kto pojedzie ze mną po regały na książki do świetlicy? Gołębiewska zobowiązała się zająć paczkami osobiście, jeśli zaczną nadchodzić dary. Jak nie ona, to Bartkowiak oplem podrzuci, gdyby większa paka przyszła.

Ochotników było aż nadto. Ustalono zatem, że pojedą sami młodzi.

– Chętnie się przewietrzę – zaoferowała się Jolka. – To moje ostatnie dni względnego spokoju, bo w przyszłym tygodniu mama idzie do szpitala. Trzeba się będzie na niej skupić. Dobrze, że mam zajęcie, które pozwoli mi jednocześnie zarabiać i przy niej siedzieć. Ci twoi rodzice to powariowali – zwróciła się do Zuzi. – Mam zamówień na pół roku.

– Nie zapomnij, że będziesz tu jeszcze dzieciakom prowadziła warsztaty malarskie – zastrzegła Zuzka.

– Jakbym zapomniała, to mi Zawadkówna pięćset razy przypomni. Tak się napaliła, że wierci mi dziurę w brzuchu za każdym razem, kiedy mnie spotka. Cholera jasna! Znowu... Przepraszam.

Okrzyk pojawił się, kiedy Jolka potrąciła kubeczek i resztką wystygłej już kawy stworzyła rozległą plamę na obrusie.

– Nie przejmuj się. Świeży mam już nawet uprasowany, tylko nie chciało mi się zbierać papierów ze stołu, kiedy planowałam tu nowe przedsięwzięcie.

– Ale chyba nie porzucasz pomysłu świetlicy? – z niepokojem zapytała Jolka.

– Coś ty, przecież już wszystko ustaliliśmy. Na razie nie powiem, o co chodzi, żeby nie zapeszyć. Tym bardziej że to dotyczy odległych terminów.

– Bardzo jesteś tajemnicza – stwierdził Artur.

– Żeby tylko z tego znów jakieś kryminały nie wyszły – zastrzegł Janek.

– O tak, kryminałów już mamy po brylant w koronie – westchnęła Babcia i zaczęła zbierać naczynia, żeby sprzątnąć zalany obrus.

– Zuziu, dziecko, zejdź tu na chwileczkę! – Głos Joanny dochodził z piwnicy. – Miałś rację z tą prakłą – stwierdziła, kiedy zobaczyła wnuczkę na schodach.

– Co się stało? – Zuzka przysiadła, straciła równowagę i klapnęła na pupę, uderzając się boleśnie o taboret.

– Padła. Nastawiłam pościel i te dwa obrusy. Kręciła, kręciła, a teraz od dobrych kilku minut zamiast odwirować, to buczy. Cały czas tak: „jo, jo, jo, jo”. Tak jakoś, jakby się zapowietrzyła.

– Próbowałam jakoś ją zachęcić do współpracy? – Zuzka miała nadzieję, że sprzęt jednak wróci na właściwe tory.

– Ruszyłam programatorem i włączyłam, i wyłączyłam... Znaczą odwrotnie. Ale zatchła się i nie chce ze mną gadać.

– Może Miron spróbuje? – zaproponowała Zuzka.

– Ktoś mnie wołał? – Dało się słyszeć z góry.

– No! Jest problem – potwierdziła Zuza. – Możesz tu zejść na chwilę?

– Problemy to moja specjalność – wyrecytował Miron, kiedy już znalazł się obok Nowaczek.

– Nie da się ukryć. Trzymają się ciebie jak pijawki gołych łydek.

– Nie przesadzajmy... Co się stało?

– Siadła – Zuza szerokim gestem wskazała na pralkę.

Miron przysiadł przed urządzeniem, wyłączył i ponownie włączył. Przesunął pokrętko programatora na sąsiednią pozycję. Pralka zamilkła, po czym znów zaczęła wydawać z siebie uparcie ten sam dźwięk: „jo, jo, jo, jo...”.

– Ja tu nic nie poradzę – z rezygnacją orzekł. – Nie znam się na AGD. Może suszarkę do włosów bym ogarnął, mikser jakiś, ale to jest za duża robota.

– Owszem, duża – przytaknęła Joanna. – Mam nadzieję, że nie będziemy musiały same jej wozić do naprawy, bo trochę ZA duża.

– Kurka wodna – zaklęła Zuzanna. – Idę dzwonić do serwisu.

– Jest tu ktoś?! – usłyszeli z góry.

– Jak pan tu wszedł? – Babcia napadła na mężczyznę, który stał pod otwartym oknem i nawoływał ich od jakiegoś czasu.

– Normalnie, przez furtkę. Otwarta była.

Miron rzucił się na obchód domu i ogrodu w poszukiwaniu sprawcy. Jednak nikogo nie znalazł. Uznał więc, że było to ich własne niedopatrzenie. Pewnie tak, ale źle to świadczy o braku nawyków zachowania ostrożności. Wrócił zatem do reszty towarzystwa.

– Do trzech razy sztuka – oznajmiła mu Zuzka, przedstawiając kolejną ekipę monterów fotowoltaiki.

– Nie mają panowie zwyczaju się zapowiadać? Mogło nas nie być w domu – Miron był zły na siebie, że nie zapewnił bezpieczeństwa domownikom, i na monterów, że mimowolnie to wykorzystali.

– Gdyby tu nikogo nie było, to byśmy pojechali za las do następnego klienta. To co, robimy?

– A wiecie jak? – Babcia była już zmęczona ciągłą niekompetencją kolejnych ekip.

– Co mamy nie wiedzieć? To jak?

Tym razem okazało się, że monterzy radzą sobie. Z przerwą na wykonanie telefonu do serwisu pralæk Zuzka z ciekawością przyglądała się ich pracy. Z wycwiczoną zręcznością poruszali się po dachu, pewnie i bezpiecznie. Widać, że mieli spore doświadczenie w swojej robocie, bo nawet nie musieli się porozumiewać. Każdy wiedział, gdzie ma się znaleźć, jakie narzędzie będzie teraz potrzebne, jaką czynność będą wykonywać za chwilę i jak się do niej zabrać.

Kilka minut domownicy podziwiali ich zabiegi, ale ponieważ trochę to trwało, każdy wrócił do swoich zajęć.

– Gotowe – obwieścił majster zadowolony z siebie. – Z tego co wiem, to wszystkie formalności z podłączeniem do sieci już są załatwione, więc nic tu po nas. Proszę podpisać przyjęcie roboty.

Jeszcze tylko instrukcja użytkowania, zasady obowiązywania gwarancji i tylko łapać słońce.

Fachowcy się wynieśli, a Miron wziął się do sprzątanego po nich. Zostały jakieś kawałki kabli, podkładki, folie, pudełka i kartony. Zwinął to wszystko i wyniósł do pojemników.

– Mam nadzieję, że teraz będzie cacy – westchnął.

– Łączę się z tobą chłopcze w tych marzeniach – poparła go Joanna. – Zobacz tylko, czy czegoś z resztą elektryki nie popaprali – dodała.

Faktycznie, robiąc jedno, mogli zepsuć drugie. Na wszelki wypadek Miron sprawdził całą instalację, ze szczególnym uwzględnieniem systemu ochrony.

– Jedyna rzecz, to zraszacz by nie zadziałał, jakiś kabel się odpiął. Ale to chyba nie ich wina. Wygląda na to, że się chłopaki sprawili.

– Zobaczymy – Zuzanna miała wątpliwości. – Chciałabym się już uwolnić od wszelkich magików.

– A ten do pralki, kiedy przyjdzie?

Przyszedł, a właściwie przyjechał nazajutrz prawie nowiutkim nissanem partol. W białej koszuli wyprasowanej na sztywno.

Babcia podejrzliwym wzrokiem śledziła jego poczynania, bo nie miała zaufania do tego elegancika. Monter powinien wyglądać jak monter. Jednak pozory mylą. Nie przejmując się, że wszyscy z zainteresowaniem patrzą mu na ręce, wysłuchał, jakie są objawy. Poprosił o rozróżnienie, czy te dźwięki to: „iiiiiiiiiiiiiiiiiiii”; „tu-dum, tu-dum...” czy, jak twierdzą: „jo, jo, jo...”. Wybebeszył pralkę i z jej jelit wciągnął oblepiony mazią nierozpuszczonego proszku do prania niewielki przedmiot. Podsunął go pod strumień ciepłej wody. Gdy zmyła się warstwa brei, oczom zebranych ukazał się czarny kłocuszek wielkości opuszka palca.

– Ja pierdykam! – westchnął Miron.

– Kurza dupa! – pisnęła Zuzka.

– Też bym sobie rzuciła jakimś kulturalnym mięskiem, gdybym wiedziała, o co chodzi. – Babcia nie dostrzegła niczego znajomego w znalezionym drobiazgu. – Co to jest? – zażądała wyjaśnienia.

Monter strząsnął wodę z trzymanego w dłoni przedmiotu i uniósł go na wysokość oczu.

– Pendrive – powiedział spokojnie. – Utknął w pompie i zablokował odprowadzenie wody. To już nie pierwszy w mojej karierze. Proszę się nie martwić, zwykle zapisane dane się nie spierają, więc jeśli tam są jakieś zdjęcia rodzinne albo inne pamiątki, to nie zginęły.

I położył znalezisko na wyciągniętej dłoni Mirona.

– Ale skąd on tam...? – Zuza próbowała uzmysłwić sobie, jakim zrządzeniem losu po kilku miesiącach zdarzył się cud odnalezienia.

– Normalnie – tłumaczył jak przedszkolakom, zadowolony, że tak szybko uporał się z usterką – z praniem. Pewnie był w kieszeni.

Jakby było w tym coś normalnego, że dowody obciążające rozbudowaną organizację przestępczą o wielu polach działania, z mackami sięgającymi na całą Europę, na takim małym piprzytku lądują z praniem w pralce Babci Joanny.

– Bardzo proszę, żeby pan się nie chwalił nigdzie tym znaleziskiem – niedopuszczającym dyskusji tonem oznajmił Miron. – Uznajmy, że to był guzik. GUZIK, rozumie pan?

– Jasne, ma być guzik, niech będzie guzik – machnął ręką serwisant.

– Ja nie żartuję. Inaczej narazi pan siebie, żonę i dzieci. Rozumie pan? – powtórzył.

Monter najpierw spojrział na Mirona jak na wariata, ale wyczuł powagę sytuacji.

– To ważne – drażył Miron.

– On nie żartuje. – Poważnym, ale spokojnym tonem potwierdziła Zuza.

I chyba bardziej dotarł do mężczyzny ten pewny, zimny spokój, niż groźnie brzmiące strachy Mirona.

- Będę wdzięczny, jeśli państwo następnym razem wezwą kogoś innego – bąknął.
- Jeśli jest pan dobrym fachowcem i tę pralkę porządnie naprawił, to nie będzie następnego razu. – Babcia uznała rozmowę za zakończoną i wróciła do rozwiązywania krzyżówki.

W Wiosce Małej gruchnęła nowina. Bładym świtem pojawiło się przed domem weterynarza kilka samochodów. Sąsiedzi, wybudzeni ze snu i zwabieni niebieską poświatą kogutów powychodzili z domów, żeby zobaczyć, co się stało. Cicho nie było, a do tego rozszczerkały się psy.

Takiej sensacji to tu chyba od czasów Napoleona nie widzieli.

Prawdziwi antyterroryści czy inne oddziały z bronią maszynową, co to w hełmach i keplarowych ochraniaczach na zbirów są wysyłani, otoczyli dom Zatopeków. Jeśli komuś udało się zajrzeć przez wyważoną bramę, zobaczył, że również drzwi wejściowe do domu chłopaki rozłupali taranem. Po cieniach w oknach można się było zorientować, że opanowali cały dom i teraz go przetrząsają. Długo trwało, zanim z chałupy wyprowadzono zakutych w kajdanki oboje Zatopeków. Gapie zdążyli w porannym chłódzie pomarznąć, więc niektórzy z ulgą przyjęli koniec widowiska. Tylko garstka sąsiadów została po odejście aresztowanych. Zobaczyli, jak z domu wynoszone są jakieś paczki, worki i segregatory. Drzwi wciśnięto na miejsce i zaplombowano, a bramę zabezpieczono taśmą. Przed domem został samochód z kilkoma mundurowymi. Pewnie po to, żeby pilnować tego, co zostało. Głupi jacyś. Nie wiedzą, że tu nic nie ginie.

Wśród domysłów krążących po wiosce dominował taki, że Zatopek, korzystając z tego, że weterynarze mają dostęp do różnych leków, rozprowadzał narkotyki. Poranne wydarzenie wywołało lawinę wzajemnych odwiedzin, z których większość zaczynała się słowami:

- A wie sąsiadka, że...

Albo:

- Czy już wiecia, co się stało?...

Albo:

- Słyszała pani, co u tych weterynarzy?...

Najczęściej powtarzane zwroty to: „Kto by pomyślał” i „A niby takie porządne ludzie”.

Gdy tylko wieści dotarły pod dach Nowacek, Miron porzucił niedopitą kawę, wsiadł w samochód i przepadł.

Wrócił wieczorem głodny i padnięty. W salonie czekał na niego komitet powalalny. Z wyglądu zastawy można się było domyślić, że długo czekał.

Joanna zgarnęła ze stołu część brudnych naczyń i rzuciła się do kuchni.

- Tylko nie zaczynajcie beze mnie – zastrzegła.

Wrzuciła do mikrofalni przygotowaną specjalnie dla Mirona porcję obiadową, nastawiła czajnik i naszykowała sztucce.

- Szybko się uwinęłam, prawda? – zadowolona z siebie wniosła na stół parujące danie. – Mam nadzieję, że Pan Bóg mi wybaczy użycie mikrofalówki, a ty, dzieciaku, od jednego obiadu w niej odgrzanego może nie umrzesz. Wcinaj. I mów.

- Jednocześnie się nie da – bronił się Miron.

- Spróbuj. No, śmiało – przynagliła Babcia.

Rad nie rad, między kolejnymi kęsami Miron zaczął opowiadać.

- Od początku nie byliśmy bezpieczni. Pamiętajcie, jak to Zatopekowa wpadła tu niby z zaproszeniem na brydża? Żaden brydż, tylko przespiewki. Oni oboje są umoczeni po szyję w tym bagnie. Dla mafii lepszy wywiad od weterynarza ma tylko ksiądz. Ale ten z Miasteczka tak spietrał, że wystąpił o przeniesienie do innej parafii. Weterynarz po domach łązi, a że we wsi w każdym domu jest jakieś zwierzę, to wszędzie nos wsadzi. U nas – Zuzka zauważyła, że Miron utożsamia się z ich wsią – sami uczciwi i niezamożni ludzie, to i nie było pola do popisu. Ani szantażem, ani wymuszeniem. Tym

bardziej że na swoich śmieciach nie chciał za bardzo bruździć. A tak to tu szepnął o pędzeniu bimbru, tu o lewych fakturach na budowę, temu pożyczyli pieniądze na lichwę i tym sposobem, dzięki podszeptom Zatópka, mieli ludzi w kieszeni. Jego też mieli w kieszeni. Musiał im donosić, bo kupił od nich lewe leki... Pyszna ta surówka... No i po tej akcji nad rzeką, jak przypadłem z dowodami, to im się zaczęło koło dupy palić. Zatópkowa przyleciała wybadać, czy czegoś nie wiecie. Zobaczyła męskie pranie, a wiedziała, że pan domu wyjechał. Nie kupiła waszych wyjaśnień. Poleciała do męża ze swoimi domysłami, a ten powiadomił, kogo trzeba. Przysłali cyngli w nocy... Cholera, gorąca ta herbata... I mogło się to dla nas źle skończyć, ale ich popieściłyście prądem. Nadal nie wiedzieli, co się tu dzieje. Wpadli na pomysł, żeby podrzucić pluskwę i podpiąć się pod telefon. Trafił im się Zuzki.

– Ale kiedy? – Zuza zachodziła w głowę.

– Sama mu go dałaś do łapy. Że niby jego telefon padł.

– Ale on nie chciał mojego, tylko prosił Czerwińską.

– Prosił Czerwińską, bo wiedział, że ona telefonu do ręki nie weźmie, odkąd w Nikodema bateria jej w rękę wybuchła. Nie wiem, o co świętemu poszło, ale cała wieś wie. A ty, dobra dusza... Przewidział to. W końcu głupi nie jest.

– Mądry też nie, skoro się z mafią zadaje – wtrąciła Joanna.

– A podsłuch w domu kiedy podłożyli? – dochodził Artur.

– Jak ten kipisz zrobili. Na szczęście mnie już tu nie było, bo ponoć większą ekipą się wpasowali. Dom na uboczu, samochód zostawili za mostem, to mogli sobie używać.

– To co, kieliszczek? – zaproponowała Joanna

– Podjadłem, to teraz mogę – Miron podstawił kieliszek do nalania. – Za służby! Wzniósł go w toaście i kontynuował. – Pamiętasz, jak jechałaś do szpitala i samochód weterynarza miał cię osłaniać przed ewentualnymi zbirami. – Zuza potaknęła. – No. A to właśnie on na ciebie wtedy tych zbirów nasłał. Zobaczył, że wyjechałaś i dał znać kumplom. I znów niczego nie znaleźli. Swoją drogą, to podziwiam ten pomysł z chowaniem fantów we włosach. Jak się tu ludzie ze wsi zebrali, żeby łapać satanistów, to pamiętacie, Zatópek ciągle gdzieś wydzwaniał, ale po tamtej stronie nikt nie odbierał, więc nie miał ich jak uprzedzić o akcji. Wtedy w tych burakach to nie zasnął, tylko specjalnie czekał. Raz, żeby koleśiom nie zaszkodzić, dwa, żeby koleśie nie zobaczyli, że przeciwko nim kombinował. Siedział w bruździe, dopóki nie ucichło. Żeby się w oczach mafii zrehabilitować, zwołał to durne, nikomu niepotrzebne zebranie, niby w sprawie zapór przeciwniegowych. Swoją drogą też wymyślił. Potrzebny mu był tu tłum, żeby w zamieszaniu uszkodzić alarm. Tylko psi medyk nie zna się na elektryce i zamiast alarmu odłączył kabel od spryskiwaczy.

– A, pamiętam, podejrzewaliśmy tych od fotowoltaiki – przypomniała sobie Joanna.

– A Zatópkową dlaczego aresztowano? – spytała Jolka. – Też miała czynny udział czy tylko tak „przy mężu”?

– Zatópkowa to gorsza niż Zatópek. Pamiętacie, kto pierwszy z gości zjawił się tego dnia, kiedy się tu sprowadziłem?

– No, baby się zleciały, żeby wypitą przez mężów herbatę nam zrekompensować – przypomniała sobie Babcia.

– A konkretnie? – drążył Miron.

– A konkretnie to falbaniasta Małgośka, jej mać – ze złością wycedziła Zuza.

– Właśnie – przytaknęła Jolka. – I po jej wizycie straciłem szyby w samochodzie.

– Myślisz, że jeszcze ktoś z naszej wsi jest umoczony w to towarzystwo? – Jasiek polał następną kolejkę.

– Raczej nie. A jeśli, to chude żuczki jakieś, których nie było na liście płac od księgowego. Tacy nie będą groźni, bo to tylko frajerzy od czarnej roboty. Stawiałbym na to, że gdyby nawet jakiś sąsiad miał coś za paznokciami, to bez bata nad głową raczej odetchnie.

– Czyli co? Możemy świętować?

– Do świąt to jeszcze daleko – studziła Joanna. – Raczej bierzemy się porządnie do roboty. Europy wam się zachciało, to zaiwaniać, bo jeśli do pierwszego nie ruszymy, cofną nam dotację.

Nie pierwszy to dzień, kiedy dom nad rzeką był pełen ludzi. Joanna w swoich pokojach robiła porządek w książkach. Oprócz segregacji, które zachować wyłącznie dla siebie, a które dać na dół do ogólnego udostępniania, trzeba było porządnie zetrzeć kurz z regałów i w obliczu odzyskania wolnego miejsca na nowo rozplanować. Na dole Miron z Jaśkiem i Arturem skręcali zakupione w IKEA regały. To już druga transza. Książek znajomi podarowali im tyle, że mogliby założyć poważną wypożyczalnię. Woluminy wypełniły przeznaczone im pierwotnie miejsce i chociaż sporo trafiło już między ludzi, to konieczne stało się rozszerzenie biblioteki. Znudzony Rysiek na swój sposób próbował męzczyznom pomagać, skutecznie utrudniając wykonanie zadania.

W kącie mama Jolki uziemiła pana Stanisława zwijaniem włóczki. Siedział, patrząc jej w oczy, uwięziony motkiem jak kajdankami, ale z uśmiechu błakającego się pod wąsem wywnioskować można było, że chętnie oddaje się tej niewoli.

Zuzka z Jolką w kuchni trzaskały brytfankami, piekąc kolejną porcję maślanych ciasteczek, i podśpiewywały o czerwonych koralach na przemian z żołnierskimi piosenkami.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytała ni z tego ni z owego Zuza z pretensją i znów podjęła przerwana zwrotkę.

– O czym? – nie zrozumiała Jolka.

– No wiesz, o rycerzu.

– Jakbym ci powiedziała, toby nie było frajdy – odparła Jolka ze śmiechem.

– Tylko się wygłupiłam, a ty pozwoliłaś mi zrobić z siebie idiotkę.

– Wcale się nie wygłupiłaś. To urocze, że masz marzenia i do tego jeszcze mogą się spełnić. Nie martw się, nikt inny o tym nie wie. Przecież nie latałam po wsi i nie trąbiłam na prawo i lewo, że Zuzka wierzy w księcia na warczącym koniu. Poza tym pomyślałam, że jeśli się dowiesz, to czar pryśnie. Chociaż... Może wtedy wcześniej... Ale nie, bo wy oboje jesteście wycofani.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – piosenki poszły w zapomnienie.

– Że nie zrobiłaś z siebie idiotki, tylko ślepa jesteś.

Zuzka wołała nie drażzyć. Przyjaciółka miała rację, zabrakło jej odwagi, żeby przyznać się do cichej nadziei, bo a nuż uleci. Lepiej ją schować głęboko w sercu.

Miron z Jaśkiem i Arturem wciąż zmagali się z regałami.

– Myślicie, że po tych ostatnich aresztowaniach to już całkiem będzie spokój? – przez trzymane w ustach śrubki wycedził Artur.

– Według moich chłopaków cała grupa rozbita. Sięgało to dalej, niżby wynikało z zapisków księgowego. Co się okazało, jak zaczęli sypać. Najważniejsze, że udało się ich odciąć od kasy. Wszystkie konta zablokowane. Głównie postacie siedzą. Interpol wdzięczny, bo u siebie też pozamiatali. Jeśli zostały jakieś niedobitki, to w ciemnej dziurze i nie będą się wychylać.

– To nie do końca dobrze – mruknął znad wkrętaka Janek.

Koledzy podnieśli na niego wzrok.

– Bo według ciebie są nadal zagrożeniem? – powątpiewał Miron.

– Co ci w tym nie leży, że szajka rozbita? – Arturowi ze zdziwienia aż wypadł klucz ampulowy z ręki.

– Ja ci powiem, co mu nie leży – Miron wierzchem dłoni otarł pot z czoła. – On myśli, że to on leży.

A widząc, że obaj nie rozumieją, kontynuował.

– Jasiek, dzieciaku... No i czego patrzysz wilkiem? Jakby mi się za pierwszym razem udało, to mógłbyś być moim synem i wcale nie musiałbym zaczynać zaraz po komunii. Ty nie potrzebujesz

żadnego pretekstu, żeby być przy Zuzce. – Miron zignorował zachnięcie Jaśka. – Myślisz, że jak już nie wymaga ochrony, to nie masz tu nic do roboty? Jeśli wierzysz, że widzi w tobie jedynie bodyguarda, to koza Rafałskiego ma więcej rozumu. Lepiej odłóż ten wkrećtak, bo jeszcze sobie krzywdę zrobisz.

– Chyba potrafisz wkręcić śrubę? – burknął Jasiak.

– Potrafić potrafiisz, tylko z wrażenia nie wiesz, co robisz. Miłość ci oczy zalewa... No i co się wściekasz? Ogarnij się, Romeo. Bierz przykład z przyjaciela – wskazał na Artka. – Zaprosił dziewczynę na balety, poszli do kina, pomógł jej z formalnościami wysyłki obrazów.

– No właśnie. A ja co?

– A co wam szkodziło iść na podwójną randkę?

– Służbę wtedy miałem, kiedy oni szli na dyskotekę – mruknął rozczarowany.

– A potem to już klub spalili? – naciskał Miron.

– Daj spokój – Janek próbował zakończyć niewygodny temat.

– To że ja dam ci spokój, to nie znaczy, że zaznasz spokoju. Działaj, chłopcze. Warto.

I Janek działał. Właśnie trzymając się z Zuzką za ręce wędrowali przez wieś, rozlepiając plakaty z zaproszeniem na zajęcia w świetlicy.

Klub brydżowy już w niej działał, chociaż bez jednej z lepiej rozgrywających, bo Małgosia nadal przebywała w odosobnieniu. Również centrum decyzyjne dla całej wsi przeniosło się właśnie tutaj. Na kolejnych nieformalnych zebraniach przy herbacie i ciasteczkach maślanych zapadło już wiele ważnych decyzji. Uznano za konieczne odnowienie wiaty przy przystanku autobusowym, dla miastowych wędkarzy zorganizowano łowisko w starym wyrobisku żwiru. Wykorzystano doświadczenie Marcinkowskich w zarybianiu i zbudowane pomosty były już zarezerwowane do samych świąt. Zaplanowano ścieżkę edukacyjno-rekreacyjną w lesie. Nadleśnictwo obiecało przyznać drewno na budowę urządzeń i gmina podpisała z Arturem umowę na wykonanie siłowni plenerowej i tablic informacyjnych. Projekty Jolki bardzo pomogły w podjęciu kluczowych rozstrzygnięć. Kiedy pokazała rysunki samorządowcom, przyklepanie wspólnie wygenerowanych pomysłów stało się formalnością. Burmistrz z niemym podziwem przyglądał się funkcjonowaniu świetlicy, i chociaż w Mieście miał inne pokusy, czasami wpadał na partyjkę brydża albo po prostu pogadać z Joanną. Dzieciaki od dawna z ciekawości przychodziły po lekcjach, grały w niezliczone planszówki i zgłębiały tajniki robót ręcznych. Pan Stanisław z chłopakami robił cudeńka z drewna i z drutu, a mama Jolki w gromadce dziewcząt wodziła rej, machając szydełkiem i igłą do haftowania. Do tutejszych dzieciaków dołączyli koledzy z sąsiednich wiosek, bo u nich nic ciekawego się nie działo, a w domach mogli jedynie pobębnić na komputerach albo pooglądać telewizję, pod warunkiem że ich starsi nie poodganiaли od klawiatury. Joanna pomagała im w nauce. Odrabiali z nią lekcje, czytała im na głos lektury, z Zuzką rozmawiali po angielsku. Dziewczyna nauczyła sąsiadki korzystania z zasobów internetu, bo dotychczas tylko skrolowały fejsa. Obaj Bożymorscy skupili się na szukaniu żon na portalach randkowych i nawet przestali pić, bo co drugi dzień jeździli na jakieś schadzki. Leśniewska założyła blog kulinarny, a Gąsowski z kolegą z technikum założyli stronę porad ogrodniczych. Na razie niewiele osób z niej korzystało, ale koledzy Zuzki z roku obiecali zrobić warsztaty z pozycjonowania stron. Dwojka podopiecznych Jolki postanowiła złożyć papiery do liceum plastycznego, a sama Jolka właśnie szykowała się do pierwszego wernisażu w stołecznej galerii. Sotys chodził dumny jak paw, bo w całej okolicy nie mówiło się o niczym innym, tylko o „ich” inicjatywie. Dom Nowaczek imponująco prezentował się na zdjęciach w lokalnej prasie. Napis na płócie „Żona dla rolnika” został zastąpiony nowym: „Bezpieczny dom”. I był bezpieczny... Prawie.

Rodzice Zuzki w trakcie pobytu na święta nie mogli się odnaleźć. Przez ich z założenia cichy i spokojny dom przewijały się tabuny ludzi. Pan Marek był zdziwiony, bo otwierał rano oczy z myślą, że będzie musiał odśnieżyć podjazd, a droga od garażu do samej szosy odkurzona była do gołej kostki.

Miron właśnie otrząpywał buty. I zaraz wziął się do wymiany baterii w zegarze. Pan Marek planował także naprawienie urwanego pod ciężarem ubrań wieszaka, ale pan Stanisław zdążył i w tym go wyręczył. Legalny gospodarz sądził, że po dłuższej nieobecności zastanie tu wiele męskich napraw, ale niczego takiego nie znalazł. Pętał się więc po domu, rozkoszując się lenistwem.

Kiedy pani Anna w obecności Jolki nastawiła ekspres, żeby zrobić sobie kawę, zanim wróciła z toalety, zastała parującą filiżankę i talerzyk pierniczków na stole. Nie wytrzymała.

– Dajcie mi, do cholery, coś samodzielnie zrobić we własnym domu!

– Przepraszam – bąknęła spłoszona Jolka.

Babcia, żeby mieć gdzie usiąść, troskliwie przestawiła niedokończoną makietę Biskupina, szykowaną przez Karolka na historię, i zaanektowała gotową kawę.

– Zrób sobie następną, ja się tą zajmę. Dziękuję, Jolu. A gdzie twój kubeczek? Ania, zrób dziecku herbatkę. Tylko Jola lubi owocową. Może być ta z marakują.

– Ja też poproszę – usłyszeli Zuzkę. – A jak już się chcesz wykazać, to nastaw duży czajnik, bo... – Na schodach dało się słyszeć wesołe głosy i odgłos obtupywania butów. – ...No właśnie! Chodźcie, chodźcie.

Po pierwszych zaskakujących doświadczeniach Nowakowie przywykli, że ich dom zamienił się w huczący ul. Nawet przestali się kryć w swoim apartamencie, nieskalanym dotąd niczyją obecnością. Łyskacz Marka szybko parował z butelki, bo do jej wysuszenia dołączyli Miron ze Stanisławem. Artur i Janek woleli „damskie” drinki.

– Jak u Matysiaków – podsumował te wędrówki ludów pan Marek. – Kiedy podejmowaliśmy decyzję, czy możemy zostać w Grecji, największą obawą było, że zostawiamy was tu same, wśród obcych, daleko od cywilizacji.

– A zostałyśmy wśród ludzi, którzy szybko stali się swoi.

– A cywilizację same sobie sprowadziły – dodał Miron, sącząc trunek ze swojej szklaneczki.



## Epilog

Znów nad domem Nowaczek świeciło słońce, w ogrodzie wystawiono leżaki, z których chętnie korzystały sąsiadki, czując się tu już jak u siebie. Słychać było śmiechy dzieci i pohukiwania dorosłych. Świetlica tętniła życiem i powoli przeistoczyła się w serce wsi.

Zbliżał się jednak dzień, którego wszyscy się obawiali i mąciło to spokój i bez troskę. Czas zatem był najwyższy, żeby Zuzanna wprowadziła w życie swój tajny plan, nad którym pracowała prawie cały rok.

– Proszę o poważne potraktowanie tego, co powiem – zastrzegła na wstępie.

Zgromadzeni na ganku mieszkańcy uciszali się nawzajem, żeby nie uronić ani słowa. Już dawno przekonali się, bo i niejedną mieli do tego okazję, że Zuzanna Nowak, choć w oczach niektórych smarkata, a do tego baba, to jednak głowę na karku ma i czasami warto posłuchać, jeśli chce coś powiedzieć.

– Nadchodzi Dzień Prawdy – zaczęła swoje przemówienie, a po sali przeszedł szum. – Tak, nie dziwię się, że mają państwo pewne obawy, jak tym razem będzie przebiegał...

Ponieważ niektórzy zaczęli wymieniać się doświadczeniami poprzednich lat, zrobił się mały harmider.

Babcia postukała łyżeczką w szklankę. Na ten dźwięk wszyscy ucichli.

– Chciałabym – kontynuowała Zuzka – żeby tym razem ten dzień wyglądał zupełnie inaczej.

– Wiśta wio, łatwo powiedzieć – dało się słyszeć gdzieś spod wiszącej fuksji.

– Ale nie tak trudno zrobić – zapewniła Zuzia. – Jeśli państwo pozwolą, przedstawię pewną propozycję. Najprostszym sposobem, żeby nikt we wsi nie skłamał...

– Nie ma takiego sposobu... – mruknął sołtys.

– Cicho, Wąsowski, daj dziewczynie powiedzieć. Jak mówi, że jest, to może wie, co mówi – uciszył sąsiada Marcinkowski.

– Dziękuję – Zuzia skłoniła się właścicielowi stawu. – Najprostszym sposobem, żeby we wsi nikt nie skłamał jest... żeby we wsi nikogo nie było.

– Że niby jak to? – Drogowski zainteresował się pomysłem.

– Ano tak, że jeśli nikogo tu nie będzie, to nie będzie komu kłamać – wy tłumaczyła Joanna.

– To gdzie my się podziejemy? – spytała Gąsowska.

– I to jest właśnie moja propozycja. Wyjedziemy.

– Wszystkie? Zygmunta to ma córkę w mieście i może go przyjmie, ale nie wszystkie mają gdzie wyjechać – dociekała sąsiadka.

– Wszystkie... To znaczy wszyscy. I proszę się nie martwić. Dzieciaki wyślemy na kolonię albo na wycieczkę nad morze.

– Na jakie kolonie?! Toż to żniwa. Dzieciska w domu są potrzebne do pomocy.

– Trzydniowa wycieczka żniw nie przekreśli – zdecydowała Zuza.

– Trzydniowa może być. Jakoś ogarniem – przyznali.

– A stare gdzie? – spytał senior Bożymorski.

– A dorośli... – zaczęła pomysłodawczyni...

– Na trzy dni nie wyjedziemy, bo zwierzków na tyle czasu się nie da zostawić – wtrącił się Rafalski.

– Nawet na jeden trudno – dał się słyszeć czyjś głos.

– Ale na jeden dzień damy radę – Zuza była pewna swoich słów. – Rozmawiałam z gospodarzami za lasem. Na jeden dzień przyjmą krowy do siebie. Już wiem, że latem to dwa razy trzeba je doić. Zajmą

się. Powiedzieli, że jak swoimi.

– Ja tam bym wołał, żeby jak cudzemi, bo one tam swoich to za bardzo nie szanują – mruknął właściciel czarnej jałówki.

– Kozę też trzeba doić – wtrącił Rafalski.

– Kozę też przyjmą. Drób przez jeden dzień sam sobie da radę – wyliczała dalej Zuza. – Najgorsza sprawa z chlewnią. Nie wiem, na świniami się nie znam... – Zuzka zawiesiła głos, z nadzieją patrząc na jedynego we wsi hodowcę trzody.

– A jakaż to sprawa? – facet sam rozwiązał problem. – Jak na jeden dzień, to tylko mieszanki treściwej więcej tucznikom się podsypie i dadzą radę. Byle wodę zwierzaki w poidłach miały, to pomarudzą, pomarudzą, będą się dąsać, ale poradzą.

– Świetnie! Czyli jedziemy – klasnęła w dłonie Zuza.

– Ale gdzie? – padło pytanie.

I od razu posypały się pomysły:

– Do Krakowa.

– Do SPA.

– Do stolicy i do kasyna.

– Cichajta, ludziska! – Zgromił wszystkich Mostowski. – Dzieciaki to rozumiem, dziecko grzech pierworodny na chrzcie świętym zmyło i nich sobie posawoli niewinnie na tej tam wycieczce. Ale my nie dla przyjemności jedziem, ino w intencji jakiej. Kasynów wam się zachciało. Jeśli nie zauważyliście, to o zmycie grzechu ojców naszych się rozchodzi. Dom i gadzinę zostawia pod opieką boską, a tarzać się w grzechu hazardu będzieta. Tfu!

Po ludziach przeszedł pomruk.

– Racja. Święte słowa, sąsiedzie. Nie wypada, żeby uroki rozrywkami odczyniać. To może tam na górze nie być mile widziane. Trzeba się chyba lepiej postarać, żeby nam pokutę zaliczono.

– A ty co, na kolanach do Częstochowy chcesz iść? To ci dwa tygodnie zajmie. Chodziłim, to wiemy.

– Może na kolanach to nie, ale z tą Częstochową to niezły pomysł. Panienkę o wstawiennictwo poprosić, klasztor zwiedzić, skarbiec zobaczyć – myślała na głos Jolka.

Zuzanna zobaczyła w oczach sąsiadów wyraz aprobaty.

– Okej, załatwione. Czyli Częstochowa.

– A wiewa to będzie kosztowało? – padło pytanie.

Znów przez taras przetoczył się szumek.

– Proszę się nie martwić. Nic nie będzie kosztowało. Znalazł się sponsor.

Ludzie zaczęli się po sobie rozglądać, snując domysły, którzyż to z mieszkańców wsi mógłby być tak hojny.

– Proszę mnie nie pytać, kto to, bo warunek jest taki, że da pieniądze, ale anonimowo.

– To kupa kasy – ktoś zdążył już oszacować wstępne koszty. – Musi bogaty albo firma jaka.

– Nie snujcie domysłów i nie dociekajcie. Widocznie stać tego kogoś.

– Dają – brać, biją – uciekać – podsumował całą sprawę Drogowski. – Jak tak, to pięknie dziękujęm i jadziem. Ino kto dobytku pozostałego dopilnuje?

– To jeszcze ustalimy. No to jesteście umówieni.

Drugiego sierpnia wieczorem na plac przed sklepem Wrońskich zajechały lśniące autokary. Oczekujący wydali cichy pomruk, bo nie spodziewali się jechać w takim luksusie. Do pierwszego zapakowano dzieciaki pod opieką nauczycielek. Niektóre z maluchów pierwszy raz w życiu oddalały się od domu na dłuższy czas. Karolek starał się być dzielny, ale broda mu się trzęsła. Wkrótce autobus zniknął z oczu machającym wciąż rodzicom. Teraz oni złapali swoje bagaże i rzucili się zajmować

miejsca. Dwa przednie podwójne fotele zajmowali nasi młodzi. Całą drogę spędzili wtuleni w siebie, obserwując, jak auto polyka czarną drogę. Babcia usiadła z tyłu. Mogła wyciągnąć nogi na sąsiednie siedzenie, bo jechała sama. Nie dziwiło ją, że mama Jolki, poruszająca się po operacji o jednej kuli, wolała usiąść z panem Kowalskim.

Kiedy odjeżdżali, tylko jeden człowiek został na placu. Człowiek i pies.

Miron obiecał dopilnować dobytku. Nie spodziewał się wizyt obcych ludzi we wsi. Odkąd spokój przestało zakłócać czarne BMW i zwabione nim radiowozy, nikt niezaproszony do Wioski Małej nie zaglądał. Obietnica jest obietnicą, więc już trzeci raz Miron w towarzystwie zadowolonego ze spacerów Ryśka robił obchód. Nic ciekawego się nie działo. Gdzieniedzie zaszczeakał pies czy zapiał kogut. Rysiek z nosem przy ziemi badał pobocze. Jaskółki przelatwały nad głową. Jednym słowem sielanka.

– Zgłodniałem, a ty? – spytał Miron Ryśka, kiedy dotarli do domu. W odpowiedzi usłyszał radosne szczeknięcie. – No to bierzemy się do obiadu. Gdzie tu nam Joanna zostawiła zraziki. Nie śliń się tak, dla ciebie zrazika nie ma.

Zmianę wyrazu pyska psa można było połączyć z rozczarowaniem, ale zjeżenie sierści na karku i wrogie warczenie w drodze do drzwi świadczyło raczej o tym, co się dzieje za nimi, nie w kuchni. Mirona zachowanie Ryśka zaniepokoiło.

– Co jest? – spytał i wyjrzał na podjazd. Panował tam absolutny spokój. Nikogo nie było, furтка zamknięta. – Skłamałeś? – rzucił psu oskarżycielsko.

Tym razem Rysiek rozszczekał się nie na żarty. Morderczy charkot, jaki z siebie wydawał, zmroził Mironowi krew w żyłach. Tknięty złym przeczuciem otworzył drzwi.

Pierwsze co zobaczył, to wylot lufy. Usłyszał niezidentyfikowany odgłos nad głową. Lufa i należąca do niej pistolet były we władaniu Zatopeka. Towarzyszył mu nieznany, ale równie nieprzyjaźnie wyglądający typ. Twardym spojrzeniem usiłował zastraszyć Mirona. Pies przysiadł obok, wciąż obnażając zęby. Zdaje się, że weterynarza przestały lubić zwierzęta.

– Wypuścili cię? – Miron opanowanym głosem spytał niedawnego sąsiada.

– Jestem niewinny – oznajmił Zatopek, w odpowiedzi na co odgłos nad głową zasugerował jakieś przesunięcie.

– Przejdziemy się. Pora na słończko. Jak z nami grzecznie pójdziesz, nic ci się nie stanie – rzucił kamiennym głosem drugi typ.

To na dachu, co przed chwilą było nieznacznymi chrobotami, zamieniło się w hurgot. Wszyscy trzej spojrzeli w górę. Weterynarz odruchowo nacisnął spust, padł strzał, ale jedynym jego efektem była dziura w rynnie. Na głowy oprawców z wizgiem i impetem zwałił się moduł słoneczny. Obaj padli nieprzytomni, ogłuszeni ciężkim uderzeniem. Wyglądali w tej chwili, jakby ucięli sobie drzemkę przykryci od chłodu panelem. Miron podszedł do nich, sprawdził, czy żyją i odsunął czubkiem trampka broń poza zasięg Zatopeka. Dokładnie przyjrzał się panelowi. Pomagał mu obwąchujący zwałisko Rysiek. Miron podniósł coś z ziemi i pokazał psu.

– Śruba. – Przyjrzał się jej dokładnie. – Powinna być nierdzewna. Jednak trzecia ekipa też była trefna.

Kilka razy podrzucił zardzewiały metal, po czym spojrział na wciąż nieprzytomnych agresorów.

– Kurwa – mruknął pod nosem. – Skłamali.

KONIEC

Warszawa, 14 lutego 2021 r.